

**JOANNA CHMIELEWSKA**

# **AUTOBIOGRAFIA**

**WIECZNA MŁODOŚĆ  
(ANEKS DO WSZYSTKICH POZOSTAŁYCH)**

*Kadłub przywiędły,  
ale dusza młoda*

No dobrze, a czyja się nie mogę pomylić? *Errare humonum est*, a kobieta to podobno też człowiek. Przez cholerną „Marię” Malczewskiego wyrwałam sobie z głowy resztki włosów, bo dopiero w wydanej książce przeczytałam, co mi się udało napisać.

Ogólnie biorąc, nie tylko pisuję, także czytam. Różne rzeczy. W chwili tworzenia tamtego tekstu czytałam sobie akurat Orzeszkową, gdzie ustawicznie plątała się ta „Maria”, może to było *Nad Niemnem*, „...czy Maria ciebie kocha, mój miły, mój złoty...” i tak dalej, po czym bezmyślnie zamieniłam „Czaty” Mickiewicza na „Marię” Malczewskiego, za co ze skruchą tłukę głową w podłogę. Ogluszyłam nawet wydawnictwo.

Oczywistą jest bowiem rzeczą, iż „Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany” to są „Czaty”, a nie „Maria”, i kołysany na łonie brudny łeb żadnej Marii nie dotyczy. Dziwię się, że jeszcze nikt nie zgłosił protestu, przystrojonego w słuszne okrzyki oburzenia.

Okropna, skandaliczna i kompromitująca pomyłka z „Marią” i „Czatami” znajduje się w drugim tomie autobiografii, opiewającym moją pierwszą młodość. Między nami mówiąc, ta cała prawda i ścisłość już mi nosem wyszły i marzę o bodaj odrobinie fikcji. Ja sama sobie również nosem wyszłam i zaczynam żywić do siebie serdeczny wstręt oraz obrzydzenie. Obawiam się, że osoby czytające również, ale im dobrze, bo przymusu czytania jeszcze u nas nie ma.

Niemniej kilku sprostowań i uzupełnień bezwzględnie powinnam dokonać.

Pierwsze dotyczy czasów najdawniejszych. Ten drób mianowicie urznął się wiśniami ze spirytusu wcale nie u hrabiego Rościszewskiego, tylko u mojej prababci w Tończy. Możliwe, że u hrabiego też, ale przy rym nie będę się upierać. Pierwotna informacja była prawdziwa, a dopiero znacznie później rodzina pokreśliła wydarzenia, mącąc mi w głowie.

Ponadto wyszła na jaw przyczyna nieobecności prababci przy stole, kiedy moja matka i wujek Piotrek na wyścigi nabierali łyżką gorącego mleka. Otóż prababci nie bywało z reguły. Nie pospolitowała się z własną rodziną, jadła oddzielnie w swoim pokoju i nie żadne ordynarne byle co, tylko wymyślne smakołyki. Niewiele, ale za to bardzo dobre, co zaświadczyła Maryśka, którą spotykał niekiedy zaszczyt towarzyszenia babci, bo dla Maryśki moja prababcia była babcią, przy posiłku. Pozostałych dzieci i wnuków pilnował dziadek. Możliwe, że po prababci odziedziczyłam niechęć do jadań w towarzystwie, do czego przyznaję się bez oporów, a możliwe także, iż moje upodobanie do samotności w tych okazjach pochodzi z okresu późniejszego i ma ścisły związek z upodobaniem do lektury.

Przez ładne parę lat, kiedy moje dzieci były jeszcze małe, poczytać książkę mogłam wyłącznie przy jedzeniu. Jedyne prawo, jakiego mi nie odmawiano, to prawo do pożywienia, jadać, nie było siły, od czasu do czasu musiałam, a trudno z widelcem i nożem w ręku zamiatać podłogę, zabawiać dziecko, kreślić czy robić zakupy. Wykorzystywałam te chwile na czytanie i nie będę ukrywać, że starałam się jeść w możliwie wolnym tempie. Po czym weszło mi w nałóg i pozostało na zawsze.

Z okresu dzieciństwa pochodziło także jedno doświadczenie osobiste, które nie wiadomo dlaczego pominęłam. A pewnie, że stanowi mało ważną drobnostkę, ale z jakichś tajemniczych powodów pamiętam je doskonale do tej pory, więc może gdzieś, w jakiejś komórki, zapadło. Każda przyczyna daje jakiś skutek, ciekawe, co też mogła wywołać akurat ta jedna...

Moja matka dbała o towarzystwo jedynaczki i postanowiła sama wybierać mi przyjaciółki. Nie z każdym mogłam się bawić. Wskazała jedną dziewczynkę jako odpowiednią, zgodziłam się na nią posłusznie, chociaż sama serca do niej nie miałam. Dziewczynka była nieco starsza ode mnie. No i zaraz przy pierwszej zabawie wybór okazał się nie najszcześniejszy, owa dziewczynka bowiem rąbnęła młotkiem w plecy drugą, młodszą, chcąc na niej wymusić posłuch i karząc za grymasy. Poczułam się wstrząśnięta, bo nie przywykłam do przemocy fizycznej, i oceniłam czyn jako szczyt niegrzeczności. Popędziłam do matki zwierzyć się z przeżycia, rezultat zaś był taki, że moja matka porzuciła wszelką myśl o dobieraniu mi przyjaciółek i koleżanek i nie wtrącała się do nich aktywnie już nigdy więcej. Najwyżej wypowiadała swoją opinię tak jakby w przestrzeń.

Zaniedbałam także Tomirę. Teresa poślubiła Tadeusza, kiedy miałam osiem lat, rodziny poznały się wzajemnie. Tadeusz miał starszą siostrę, ta siostra zaś dwie córki, Zosię i Tonie. Różnica wieku między nimi wynosiła trzynaście lat, Zosia była starsza. Czteroletnia wówczas Tomira odznaczyła się osobliwością, do dziś przez wszystkich zapamiętaną.

Mieszkali na Żoliborzu, byliśmy tam z wizytą obie, Teresa i ja. Tomira bawiła się w ogródku w jakiś bardzo ruchliwy sposób, starsza od niej o pięć lat, nie brałam w zabawie udziału, siedziałam na ławce, Teresa chyba obok, był tam ktoś jeszcze. Tomira porzuciła nagle zabawę i podeszła do nas.

— Zmęczyłam się — oznajmiła w tonie zwierzenia. — Muszę pobiegać.

I rzeczywiście zaczęła biegać z jednego końca ogródka w drugi.

Niezwykłość tego rodzaju wypoczynku dotarła do mnie i niejeden raz później, kiedy ktoś mówił, że się zmęczył, odpowiadałam pod nosem:

— I co, musisz pobiegać?

Nic dziwnego, że uważano mnie za jednostkę o umyśle niekoniecznie zrównoważonym.

Z dzieciństwa pochodzi także pogląd na rogi. Nie jelenie albo krowie, tylko ulic, innymi słowy skrzyżowania, tym mianem określane. Nic gorszego, niż sterczeć na rogu ulicy, dno upadku, szczególnie w towarzystwie chłopaka. Przekonanie o niestosowności takiego postępowania zakorzeniło się we mnie tak dokładnie, że przez całe dzieciństwo i wczesną młodość miałam same kłopoty. Wracałam, na przykład, ze szkoły, chłopak, zwyczajny kolega z klasy, szedł ze mną, bo mieszkał w pobliżu, na ostatnim rogu rozchodziliśmy się w dwie różne strony. Rozmawiałam z nim po drodze, oczywiście, dlaczego nie, zazwyczaj o sprawach szkolnych, i na tym ostatnim rogu następowało nieszczęście. Trudno urwać pogawędkę w pół słowa, wymienialiśmy ostatnie zdania stojąc na rogu i ziemia gryzła mnie w zelówki. Cierpiałam w sobie. Łypałam nerwowo okiem, czy mnie nikt nie widzi, traciłam wątek rozmowy, wylatywała mi z pamięci tabliczka mnożenia, chłopak nie mógł zrozumieć, co mi się nagle stało i dlaczego zaczynałam się tak okropnie śpieszyć. Reasumując, róg padał mi na mózg i trwało to całe lata.

To się nazywało, że byłam dobrze wychowana.

Wymagania miałam również. Znacznie później wstępne kroki podrywczce rozpoczął obcy młodzieniec w ogonku do kina. Sposoby zdobywania biletów w powojennych czasach już opisałam i nie będę ich powtarzać, ale wszyscy widzą, że znajomości nawiązywało się przy tych okazjach łatwo. Chłopak mi się nawet spodobał, prawie gotowa byłam zrezygnować ze sztywnego oporu, bilety kupowaliśmy równocześnie i na widowni siedział obok mnie, na ekranie szła kronika, pokazywali żaglówki na jeziorze i chłopak skomentował widok.

— To przyjemność tak pływać — rzekł. — Pogoda i taki wiater...

No i tym wiaterem wykończył się z miejsca. Po skończeniu seansu postarałam się czym prędzej zniknąć mu z oczu, mógł sobie być najpiękniejszy na świecie, ale własnym językiem mówić nie umiał. Odpadał w przedbiegach.

Cofnę się jeszcze do chwil dzieciństwa, bo przeoczyłam także utwór literacki. Napisałam go pod koniec wojny, a zaczynał się następującymi słowami:

„Umarłam i ku własnemu zdumieniu poszłam prosto do nieba”.

Zacytować dalszego ciągu nie zdołam, bo oryginał zginął mi już dawno i posiadam tylko przeróbkę, ale pamiętam treść. Poszłam do tego nieba, razem za mną zaś znalazło się tam mnóstwo ludzi, tak samo zdumionych. Tryb życia w niebiosach od razu okazał się ustabilizowany, każdy dzionek zaczynał się o szóstej rano, w charakterze budzika występował przeraźliwy jazgot rajszych ptaków, odbywała się zbiorowa modlitwa i śniadanko. Na śniadanko podawano kaszkę mannę bez soli. Potem było nabożeństwo, a po nabożeństwie wszyscy gromadzili się w celu śpiewania nabożnych pieśni, anioł pilnował porządku i dyrygował chórem. Po pieśniach następował obiad, którego menu nie ulegało zmianie, dzień w dzień zupka z brukwi, drugiego dania nie pamiętam, może był to makaron z białym serkiem, na deser zaś kompot z rajszych jabłuszek bez cukru, bo rajskie owoce same w sobie zawierają słodycz dostateczną.

Po obiedzie następowała modlitwa, po niej zaś rekreacja. Wszyscy brali się za ręce i bawili w kółko graniaste, albo spacerowali parami po rajskim ogrodzie. Potem było nabożeństwo wieczorne, potem kolacja złożona ze zbożowej kawy i razowego chlebka z marmoladą z buraków, potem zbiorowa modlitwa i o dziewiątej szło się spać. W pamięci utkwiło mi ostatnie zdanie:

„...i wszyscy doszli do wniosku, że lepsza już najgorsza wojna na ziemi niż ten niebiański spokój”.

Ściśle biorąc, nie było to ostatnie zdanie, bo następował po nim akapit wyjaśniający. Kiedy już zbawione dusze doszły do stanu bez mała wariactwa, okazało się, że wcale to nie było niebo, tylko czyściec. Cierpieliśmy za grzechy, a karą dodatkową miało być przekonanie, że to już tak do końca świata i na całą wieczność. Do nieba zostaniemy przeniesieni dopiero teraz. Otwarto przed nami wielką bramę, za którą ukazało się coś tak nieziemsko pięknego, że w ogóle nie umiałam tego opisać.

Jako osoba już całkowicie dorosła przerobiłam ten utwór na słuchowisko radiowe, konkretyzując osoby i odrobinę zmieniając treść. Radio tego nagrać nie chciało, nie wiem dlaczego, bo słuchowisko bardzo mi się podoba do tej pory. Skorzystam z okazji i uszczęśliwię nim czytelników. Tytuł miało zwyczajny: NIEBO.

Osoby:

- |           |   |
|-----------|---|
| RUDA      | — szalowy kociak na własnym utrzymaniu.   |
| PLATYNOWA | — kobieta złamana życiem, struta złem, na stanowisku wykwalifikowanej sekretarki. |

|            |   |
|------------|---|
| SZPAKOWATA | — matka dzieciom, żona przy mężu, wzór gospodyni.           |
| BRUNET     | — stuprocentowy mężczyzna w kwiecie wieku, chluba palestry. |
| ŁYSY       | — dyrektor poważnej instytucji w kieracie obowiązków.       |
| BLONDYN    | — dziennikarz z bogatym doświadczeniem życiowym.            |
| ANIOŁ      | — postać zaziemska, istota nadprzyrodzona.                  |

Miejsce akcji:

Część I — powietrze na wysokości od 1.000 do 0 metrów nad poziomem terenu.

Część II — niebo.

Część III — ziemia.

Czas akcji:

Fragment wieczności.

Część I

*Słychać równomierny warkot samolotu.*

PLATYNOWA: — ... mówię pani, żyć się odechciewa.

SZPAKOWATA: — Młoda pani jeszcze, to właśnie między ludźmi lepiej...

PLATYNOWA (z *rozgoryczeniem*): — Między ludźmi! To właśnie najgorsze! Czy pani da wiarę, zaraz potem, jak mnie porzucił, to trzy noce przepłakałam, a w dzień musiałam wyglądać. Czego ja nie robiłam! Fryzjer, kosmetyczka... pod henną płakałam!

SZPAKOWATA: — To podobno na oczy bardzo niezdrowo...

PLATYNOWA: — A pewnie, że niezdrowo. A musiałam być reprezentacyjna, z zagranicznymi interesantami jakby worek pękł!

SZPAKOWATA: — Niech pani nie narzeka, ja pani mówię, że w tych czterech ścianach to gorzej. Ten jeden raz mi się udało wyrwać do

siostry i sama pani widzi, samolotem wracam! Żeby mi  
Delikatesów nie zamknęli, bo co ja im dam na kolację?

*Dwa ciężkie westchnienia.*

SZPAKOWATA (z zazdrością): — Tej to dobrze...

PLATYNOWA: — Której?

SZPAKOWATA: — A tej, niech się pani tak nie odwraca, tej rudej, co siedzi  
na prawo pod oknem. Za tym brunetem.

PLATYNOWA: — A tej! On ją podrywa już od startu...

SZPAKOWATA (z niechętnym uznaniem): — Piękna para! On czarny, ona ruda...

PLATYNOWA: — Też ją porzuci, nie ma obawy.

SZPAKOWATA: — Ale w kolejkach po cielęcinę nie stoi, prania nie robi. A tu  
człowiek musiałby umrzeć, żeby odpocząć...

\* \* \*

RUDA: — ...i tak bez przerwy. To katorga! Nie wolno mi  
przekroczyć pięćdziesięciu pięciu kilo, bo stracę posadę.  
Już bym woląa zestarzeć się i zbrzydnać. Czy pan wie, że  
ja jestem bez przerwy głodna?

BRUNET (z uczuciem): — Prosto z lotniska jedziemy na kolację...

RUDA (z oburzeniem): — Żebym utyla?!

BRUNET: — A taniec? Taniec odchudza. Przecież lubi pani tańczyć?

RUDA (mięknięc): — Uwielbiam!

BRUNET: — To jest najpiękniejsza podróż w moim życiu...

\* \* \*

BLONDYN: — ...pan, widzę, też w podróży pracuje?

ŁYSY: — Panie, a czy to można inaczej? Doba za krótka, człowiek  
wiecznie jak w kieracie...

BLONDYN: — Komu pan to mówi? Wie pan, że już od paru lat niczego  
tak nie pragnę, jak odpocząć. Tak się gdzieś schować i nic  
nie robić. Nic...



ŁYSY: — A patrz pan na tego faceta. Tego czarnego, przed nami, koło tej rudej. Tak mu się przyglądam i myślę sobie, że mu się jeszcze chce. Od Szczecina ją podrywa.

BLONDYN: — Ja ją znam, to modelka. Widział pan jej nogi?

ŁYSY: — Co tam nogi, panie, ja znam tego faceta. To cholernie wzięty adwokat, żeby pan wiedział, ile on ma roboty! I jeszcze mu się chce podrywać!

BLONDYN: — No, zdaje się, że już dolatujemy...

*Silnik zaczyna źle działać, przerywa i strzela.*

BLONDYN (z lekkim niepokojem): — Co ten silnik tak przerywa?

*Silnik kontynuuje niepokojące odgłosy.*

SZPAKOWATA: — Niech pani słucha, coś się chyba zepsuło?

RUDA: — O Boże, co się dzieje?!

PLATYNOWA: — Spadamy!!!

BLONDYN: — Rany boskie, spadamy!!!

BRUNET: — Spokojnie, schodzimy do lądowania...

BLONDYN: — Coś pan, z taką kanonadą?! Jakaś awaria...!

PLATYNOWA: — Ratunku...!!!

ŁYSY: — Czekał pan, puść pan do tego okna, ja muszę widzieć, gdzie zlecimy!

BLONDYN: — A na cholerę to panu, nie wszystko panu jedno?!

ŁYSY: — Nie, bo ja mam katar. Żeby nie w wodę...

*Różne okrzyki, charkoty silnika i tym podobne.*

ŁYSY (nerwowo): — Służewiec, wyścigi... Puławska... Wierzbno...!!!

*Odgłosy, znamionujące niewątpliwą katastrofę.*

## Część II

*Słysząc dźwięki niebiańskiej muzyki konkretnej, na tle której zaczynają rozlegać się nieśmiało szepty.*

PLATYNOWA (*nieco oszołomiona*): — Co to jest? Ja umarłam?

BLONDYN (*ponuro*): — A co pani myśli? Wszyscy na miejscu, nikt się nie uratował!

PLATYNOWA (*z niepokojem*): — Ale nas gdzieś niesie? Co to znaczy?!

\* \* \*

- ŁYSY: — Panie, jak pan myśli, gdzie nas tak niesie...?
- BLONDYN (*niepewnie*): — A cholera wie, do góry, to pewnie do nieba...
- ŁYSY: — Panie, coś pan...! Ja jestem partyjny!
- BLONDYN: — Ciiiicho! Ja też... Może przeoczyli. Patrz pan, tam pilot leci, pilot chyba też partyjny...?
- ŁYSY: — Zaraz, ale jak to tak... do nieba? Za co?!
- SZPAKOWATA (*stanowczo*): — Po takim życiu na ziemi to powinniśmy pójść do nieba żywcem!
- BLONDYN: — Żywcem to już odpada...
- PLATYNOWA: — Cicho!
- ŁYSY (*w osłupieniu*): — O rany, anioł...!
- ANIOŁ (*pogodnie i dźwięcznie*): — Witam państwa w progach nieba. Święty Piotrze, proszę otworzyć, mamy nowy turnus...
- Słysząc zgrzyt wrzeczadzów niebieskich, a następnie wyraźniejsze dźwięki niebiańskiej muzyki.*
- PLATYNOWA: — Boże. jak tu pięknie...
- ŁYSY: — Niech ja skonam, rajski ogród! Patrz pan, faktycznie jesteśmy w niebie. Kto by to pomyślał...
- BRUNET: — W niebie, z panią... To zbyt piękne...
- RUDA (*wzruszona*): — Razem zginęliśmy. Jak romantycznie...

\* \* \*

- ANIOŁ: — Jesteśmy na miejscu.
- BLONDYN: — Co to jest? Wieś murzyńska? Prasłowiańska osada?
- PLATYNOWA: — Chyba coś pośredniego...
- ANIOŁ: — Oto chaty, przeznaczone dla państwa. Pokrzepcie snem znużone dusze, a jutro zbudzą was pienia anielskie i

świergot rajskich ptaków. Dzień rozpoczniecie  
dziękczynną modlitwą...

\* \* \*

RUDA (*z niesmakiem*): — To na tych pryczach mamy spać?

SZPAKOWATA: — Ależ to kamień, nie prycze! Niech pani pomaca!

PLATYNOWA (*niepewnie*): — Same dusze, to może nie poczują...

SZPAKOWATA: — Nie wiem, czym ja to czuję, ale czuję. Jak pani usiądzie,  
to też pani poczuje...

\* \* \*

ŁYSY: — Panie, czy tu aby nie będzie przeciągów? Te chałupki jak  
sito... Ja mam katar!

BLONDYN: — Miał pan katar. Teraz pan jest w niebie, to pan nie ma  
kataru.

ŁYSY: — A rzeczywiście, tak jakby mniej... No to co, chyba  
idziemy spać?

BLONDYN: — A co innego... Rany boskie, jak tu twardo! Przez chwilę  
słysząc stękanie i poskrzypywanie prycz.

BLONDYN (*przyciszonym głosem*): — Patrz pan, co on...? Zwariował?

ŁYSY (*po chwili*): — Mecenasio, co pan robi?

BRUNET (*nieco zmieszany*): — Co? A nie, nic... A wie pan, to dziwne...

BLONDYN: — Co dziwne? Co pan tak się kiwa do tych drzwi tam i z  
powrotem? Nie może się pan zdecydować? Wyjdź pan  
wreszcie, my nic nie powiemy. Babka wystrzałowa, warta  
grzechu...

BRUNET: — Kiedy wie pan, nie mogę. Rzeczywiście, umówiłem się z  
dziewczyną, że się spotkamy, tak trochę... tego...  
przespacerować się przed snem... I nie mogę wyjść.

ŁYSY (*z niepokojem*): — Jak to pan nie może? Dlaczego?

BRUNET: — Nie wiem. Coś mnie od tych drzwi odpycha.

BLONDYN: — Panie, nie strasz pan! Pułapka...? Czekać, ja spróbuję...  
*Prycza skrzypi, słycać kroki BLONDYNA.*

BLONDYN: — No i co? Wyszedłem, jak pan widział. Nic nie przeszkadzało.

BRUNET (*nieco zły*): — No a ja nie mogę.

ŁYSY: — To czekaj pan, ja też spróbuję...  
*Znów prycza i kroki.*

ŁYSY: — W porządku, o co chodzi? Da się wyjść i wrócić.

BRUNET: — Nie rozumiem, coś w tym jest...

BLONDYN: — A niech pan może weźmie rozpęd!

BRUNET: — Gdzie tu wziąć rozpęd, miejsca za mało... Zaraz, może stąd, weź pan te nogi...  
*Słycać dziwny dźwięk, podobny do „bum”.*

BRUNET (*zdławionym głosem*): — Rany boskie...!

BLONDYN: — Patrz pan, ale go odrzuciło...!

ŁYSY (*zaintrygowany*): Coś w tym musi być... A ona? Pan wyjrzy, ona wyszła?

BLONDYN: — Nie, stoi w drzwiach, ręką macha... Coś pokazuje...

\* \* \*

PLATYNOWA: — ...sama pani widziała, że ja wyszłam. Pięć razy!

RUDA (*bardzo zdenerwowana*): — Nie rozumiem, co to znaczy...

SZPAKOWATA: — Zorientowali się. Niech już pani da spokój, tu działa nadprzyrodzona siła. Idźcie panie lepiej spać, bo nie wiadomo, co jutro będzie...

\* \* \*

*Na tle narastających pień anielskich, rozlega się nagle przeraźliwy jazgot, skrzeki oraz pianie kogucie.*

RUDA: — Jezus Mario, co to...?!!!

SZPAKOWATA: — Boże, co to za dźwięki...?! To pewnie znak, że trzeba wstawać. Która godzina?

PLATYNOWA: — Nie wiem, nie mam zegarka. Zdaje się, że to te rajske ptaki...

RUDA: — Co pani mi się tak przygląda? O Boże, co to? Pani się jakoś dziwnie zmieniła! I pani też...! Czy ja też...?

PLATYNOWA: — A pewnie, że pani też. Niech się pani pokaże, tu, do światła... Nie, no, coś cudownego...! (*Dostaje ataku histerycznego chichotu.*)

SZPAKOWATA (*krytycznie*): — Rzeczywiście, do twarzy to pani w tym nie jest. I te włosy... Jak słoma.

RUDA (*wstrząśnięta*): — Jezus Mario, co ja mam na nogach?! Pepegi...!!! I ten chałat... Przecież to zgrzebne płótno!

PLATYNOWA: — Tu się coś majta pod szyją...

SZPAKOWATA: — Szpagat. Prawdziwy szpagat, tylko ufarbowany na niebiesko...

\* \* \*

BLONDYN (*z zainteresowaniem*): — Panie, czy ja też wyglądam tak jak pan? Co to jest, to niebieskie? Wór pokutny?

ŁYSY: — Coś pan, w niebie pokutny? Szata niebiańska! (*z żywą radością*) Panowie, od dziesięciu lat nie miałem jednego włosa na głowie, a teraz, proszę, jaka fryzura!

BLONDYN (*z gryźliwie*): — Na Piasta Kołodzieja...

ŁYSY: — Mnie tam wszystko jedno, grunt, że nie jestem łysy. Panu to nawet z tym ładnie, oczki zostały czarne, brewki też, a tylko włoski jak słoma... Co pan tak patrzy?

BRUNET: — Ja tu chyba kogoś uduszę... Jak ja wyglądam, jak małpa...

ANIOŁ (*radośnie, ale stanowczo*): — Do modlitwy, proszę państwa, do modlitwy! Nie czas na rozmowy...

\* \* \*

- ANIOŁ: — Teraz udajemy się do krynicy przemyć oczy i wypłukać zęby...
- RUDA (*nieśmiało*): — A reszta...?
- ANIOŁ: — Reszta...?
- RUDA: — No, reszta. Mycie reszty...
- ANIOŁ (*karząco*): — Reszta nieważna. W niebie jest czysto i nikt się nie brudzi. Z krynicy wrócimy na nabożeństwo, po czym będzie śniadanie... Słyszać chlupot i pluski wody.
- BRUNET: — Rany boskie to lód a nie woda!
- ŁYSY: — Nie mogę, zęby mi ścierpły...
- BLONDYN: — Płucz pan, anioł patrzy...!

\* \* \*

- SZPAKOWATA: — Ciekawe, co tu dają na śniadanie. Może szynkę? W niebie wszystko jest możliwe.
- PLATYNOWA: — Głodna jestem okropnie.
- ŁYSY: — Ja też... Co to? Mleczna zupka? Jak na wczasach!
- BLONDYN: — Coś pan, jaka zupka! To jakieś świństwo! Ludzie, co to może być?
- SZPAKOWATA: — Kaszka manna. Tylko jakaś inna, jeszcze bardziej bez smaku... Bez soli, a jakby trochę słodka...
- PLATYNOWA: — Już wiem! To pewnie manna niebieska! Nie, no, to jest przecież nie do jedzenia!
- RUDA: — Nie będę jadła tego świństwa. Patrzeć na to nie mogę. Przepraszam państwa...
- Słysząc okrzyk, znamionujący przerażenie.*
- PLATYNOWA: — Co się pani stało?
- RUDA: — Nie mogę wstać...!!!
- ANIOŁ (*pouczająco*): — Od stołu wstajemy dopiero po zjedzeniu śniadania...

\* \* \*

*Słysząc szmer licznych kroków na ścieżce.*

- RUDA: — To tak cały czas będziemy spacerować parami? Nie można się jakoś rozejść?
- BLONDYN: — Wczoraj parami, dzisiaj parami... Widać tu taki zwyczaj.
- RUDA: — I codziennie nam każą leżeć po obiedzie...?
- PLATYNOWA: — Źle pani leżeć? Trawa przynajmniej miękka...
- RUDA: — Ale ja utyję!
- BLONDYN: — Co pani? Na tym niebiańskim wikcie? Kaszka manna na śniadanie, zupka z brukwi na obiad, kawka zbożowa na kolację... Jedno mnie tylko ciekawi, co to jest ten ocet siedmiu złodziei, który nam dają na deser.
- PLATYNOWA: — Kompot z rajskich jabłuszek. Bez cukru.
- BLONDYN: — Dlaczego bez cukru?
- PLATYNOWA: — Nie słyszał pan? Anioł mówił, że rajskie jabłka zawierają same w sobie wystarczająco dużo słodyczy i nie trzeba ich słodzić.
- SZPAKOWATA: — A to coś na kolację to jest marmolada z buraków. Pamiętam, taka sama była za okupacji...
- ŁYSY: — Tam z końca podają, że specjalnie nas karmią lekkostrawnie, żeby nikt nie cierpiał na koszmary senne.
- BLONDYN: — Daj nam Boże jaki koszmar senny dla urozmaicenia, bo przyjdzie oszaleć z nudów. Żeby tak było cokolwiek do roboty...
- PLATYNOWA: — Niech pan na to nie liczy. Tu już ktoś się zwracał do anioła w tej sprawie.
- KILKA OSÓB RAZEM (z zainteresowaniem): — I co?
- ANIOŁ (*dźwięcznie i wzniośle*): — Praca jest przekleństwem i karą za grzech pierworodny, od którego niebo jest uwolnione...

\* \* \*

*Słyszać brzęk łyżek i odgłosy jedzenia.*

ŁYSY (z *najwyższym wstrętem*): — Nie wiecie państwo, czy w tym niebie to tylko sama brukiew rośnie? Niedobrze mi się robi już na widok tej zupki.

BRUNET (z *równym wstrętem*): — Zupka to jeszcze nic, ale ja od dzieciństwa kaszki manny do ust nie wzięłem. A teraz spróbuj pan nie zjeść! Już nie mówię, że anioł patrzy, ale przecież od stołu się nie wstanie!

SZPAKOWATA (z *westchnieniem*): — Nadprzyrodzona siła trzyma. Wiedzą, co robią, inaczej nikt by nie jadł...

RUDA (rozpaczliwie): — A po obiedzie znowu ta potworna cisza i to obrzydliwe leżenie na trawniku, a potem znowu ten ohydny spacer, a potem rekreacja i te koszmarnie piosenki... Nie, ja tego nie wytrzymam!

PLATYNOWA: — Żeby chociaż pozwolili coś zrobić! No, bodaj głowę umyć...!

RUDA (*ponuro*): — Słyszała pani, w niebie się nie brudzi...

PLATYNOWA (*marząco*): — Albo żeby się coś stało! Jakiś cud albo trzęsienie ziemi...

BLONDYN (*trzeźwo*): — Ziemię mamy z głowy, za daleko, a na cud nie zasługujemy.

SZPAKOWATA (z *odrobiną ożywienia*): — A właśnie, wie pan, ten anioł to się czasem tak patrzy, że ja zaczynam mieć nadzieję...

PLATYNOWA: — Jaką?

SZPAKOWATA: — Że nas z tego nieba wyrzucą...

PLATYNOWA: — Co pani? Tak bez niczego, bez powodu, nie wyrzucą.

BLONDYN (z *nagłym zainteresowaniem*): — Wyrzucą, powiada pani? To jest myśl! Zaraz, a jakby się tak postarać...?



\* \* \*

*Słychać szmer licznych kroków i chóralny śpiew:*

*„A kto te choinkę zasiał w ciemnym lesie...”*

BLONDYN (*szeptem*): — Proszę pani... Niech pani udaje, że pani śpiewa! Nasz kolega, wie pani, ten poprzednio brunet...

*„... ci ją ten wiaterek, co nasionka niesie...”*

PLATYNOWA (*szeptem, z przejęciem*): — ...w tej co przedtem była ruda...?

BLONDYN: — W tej, właśnie... Zasiał ci ją ten wiaterek... Jeszcze w samolocie, a teraz nawet więcej.....*sionka niesie!* A ona, jak pani myśli...?

PLATYNOWA: — Co tu myśleć, to widać. Mówię panu, nic, tylko wzdycha!

BLONDYN (*ucieszony*): — No właśnie! Bo wie pani, tak myślimy, jak by im pomóc. Pani rozumie? Grzech! Wyleją nas na zбитy pysk...!

PLATYNOWA: — Anioł patrzy!

*Chór śpiewa bardziej skocznie: „Uhuha, unii ha, nasza zima zła!”*

PLATYNOWA: — ...może chociaż na spacerze? Ona się zamieni z tą panią za mną, a pan się zamieni... Mroźnym śniegiem! ...z tym brunetem i będą w jednej parze...

\* \* \*

*Szmer kroków na spacerze.*

PLATYNOWA (*zdenerwowana*): — Niech się pani nie pcha z powrotem! Niech pani idzie spokojnie! Anioł się zorientuje!

RUDA (*również zdenerwowana*): — To nie ja się pcham, to mnie coś pcha!

ŁYSY (*życzliwie*): — No, skacz pan na jego miejsce!

BRUNET (*zdenerwowany*): — Nie mogę, coś mnie zatrzymuje...

BLONDYN: — Siłą, siłą...! Pchnij go pan, a ja się cofnę. Pani pociągnie...

SZPAKOWATA (*niezadowolona*): — No i co z tego, to nie ja miałam być z panem w jednej parze, tylko tamta pani. Niech pani uważa, pani tylko zwolni, pani ją pchnie, a pan pociągnie. No...!

PLATYNOWA: — Anioł...!!!

*Szmer kroków w milczeniu.*

BLONDYN: — No, o jedno miejsce się go przepchnęło, zawsze jakiś postęp jest.

\* \* \*

*Słychać chóry anielskie i wściekły jazgot ptaków.*

PLATYNOWA — Znów te gawrony! Ja choroby nerwowej dostanę...

ANIOŁ (*pogodnie i dźwięcznie*): — Do modlitwy! Do modlitwy!

ŁYSY: — ...módl się za nami, łby tym cholero poukręcam, jak Boga kocham, poukręcam, święty Kacprze, módl się za nami...

SZPAKOWATA — Nie wiecie państwo, nie dałoby się ich jakoś wytruć? Szóste nie cudzołóż, siódme nie kradnij...

BLONDYN: — Gdzie tam wytruć, to rajskie, pewnie nic nie żrą, święta Cecylia, módl się za nami...

PLATYNOWA — ...święty Patryku, nas karmią, to i ten drób pewnie też, módl się za nami...

BRUNET: — ...wieczne odpoczywanie, racz im dać, Panie, a jakby tak procę zrobić...? Nie ma kto kawałka gumki? Ja nieźle strzelam...

ŁYSY: — Żebyś zdechł, cholero, żeby ci ten dziób odleciał, na wieki wieków, amen...

RUDA: — ...przebacz nam nasze grzechy, niech mnie pani pchnie przy źródółku z tej pochyłości...

PLATYNOWA — Włeci pani do wody i kataru pani dostanie...

RUDA: — ...święta Anastazjo, nie, już się z nim umówiłam, złapie mnie i przyciśnie...

\* \* \*

*Szmer kroków na spacerze.*

- BLONDYN (*z niesmakiem*): — Nie mógł pan jej dłużej przytrzymać? Zawsze byłoby bliżej grzechu...
- BRUNET (*z goryczą*): — Wyrwało mi ją z rąk. Do cholery z tą siłą nadprzyrodzoną!
- SZPAKOWATA — Bo anioł się akurat odwrócił i zauważył.
- BLONDYN: — Co by tu wykombinować...? Niechże pani myśli!
- SZPAKOWATA — A co pan myśli, że ja nie myślę? (tkliwie) Ja bym im nieba przychyliła...
- BRUNET (*gwaltownie*): — Tylko nie nieba...!
- SZPAKOWATA — ...ziemi przychyliła! Przecież, niech pan pomyśli, ci dwoje to nasza jedyna nadzieja na całą wieczność! Sam pan widzi, nikt inny z nikim innym nie chce zgrzeszyć.
- PLATYNOWA (*półgłosem*): — Ja się im też dziwię, co oni widzą w sobie w tych chałatach... (*z nadzieją*) Ale niech widzą, niech widzą, może co z tego będzie...
- ŁYSY: — Daj Boże. Codziennie mi zęby cierpną od tej parszywej wody. Chciałem tylko udawać, że płuczę, ale jak się anioł spojrział...
- SZPAKOWATA — Proszę państwa, tam jeden pan z końca mówi, że podobno mają nam zrobić szkolenie ideologiczne, bo jesteśmy za mało szczęśliwi.
- BLONDYN: — Niech zrobią, rany boskie, niech zrobią! Może się trzeba będzie czegoś nauczyć? Żeby tak jakie zajęcie, wszystko jedno jakie!
- BRUNET (*ponuro*): — Ja bym już chyba nawet zmywał.
- SZPAKOWATA (*z westchnieniem*): — Podłogę zapastować... Pranie zrobić...
- ŁYSY: — Też się pani zachciewa! Żeby chociaż pozwolili drewna na ogień nanosić...
- BLONDYN: — Cała nadzieja w tych dwojgu, bo inaczej krewa...
- RUDA (*z rozpaczą*): — I pomyśleć, że tak może być aż do końca świata!

- BLONDYN: — Do jakiego końca świata? W niebie pani jest, po końcu świata nigdzie pani nie przeniosą! To już tak w nieskończoność!
- ŁYSY (*z przestraczem*): — Jak to, w nieskończoność...?
- BLONDYN: — Nieskończoność. Wie pan, taka ósemka w poprzek. Nie uczył się pan w szkole matematyki?
- PLATYNOWA — W poprzek...! Nie, to niemożliwe! Moi państwo, musimy się postarać.
- SZPAKOWATA: — Przecież sama pani widzi, że ich od siebie odpycha.
- PLATYNOWA — Odpycha, bo anioł patrzy. Jakby nie patrzył...
- BRUNET: — Ma pani rację, raz był odwrócony tyłem i wtedy przez chwilę nic nie pchało...

\* \* \*

*Brzęk łyżek i odgłosy jedzenia. Słychać dźwięczne klaskanie w dłonie.*

- ANIOŁ: — Proszę państwa, dziś po kolacji przeżyjemy wzniosłą chwilę. Będziemy sobie na głos rozpamiętywać, jak źle nam było na ziemi, a jak dobrze jest nam w niebie.
- ŁYSY (*szeptem*): — To jest chyba to szkolenie ideologiczne, które nam mieli zrobić...
- BLONDYN: — Czekaj pan, czekaj, coś mi to przypomina... Coś mi przychodzi do głowy... Rany boskie!!!
- ŁYSY: — O co chodzi? Co się panu stało?
- BLONDYN (*ze zgrozą*): — Ja już rozumiem. Tych partyjnych też... Panie, myśmy się dostali, niech ja skonam, do socjalistycznego nieba! Takiego dla Demokracji Ludowych...
- SZPAKOWATA (*marząco*): — ...w kolejkach musiałam wystawać, koszule mężowi musiałam prać, wannę po dzieciach myłam...
- ŁYSY: — Musiałem ciężko pracować. Ciągle miałem konferencje, do późnej nocy. Konferencje, mój Boże...! (*rzewnie*) Kawka, koniaczek, brydzyk... (*z niesmakiem*) Sama rozpusta i te, jak im tam, grzechy...

- PLATYNOWA: — Musiałam pisać na maszynie, musiałam załatwiać korespondencję, musiałam przyjmować interesantów...  
Boże jedyny, musiałam chodzić do fryzjera...
- RUDA: — Do fryzjera...! Do kosmetyczki... Musiałam przymierzać suknie, musiałam pięknie wyglądać, musiałam mieć wielbicieli... Ach...!
- BRUNET (*namiętnie*): — Musiałem się golić dwa razy dziennie! Dla pani... nawet dwieście razy dziennie! Musiałem grzeszyć...
- RUDA (*w upojeniu*): — Ach, grzeszyć...  
*Anioł karcąco klaszcze w dłoń.*
- BLONDYN: — Musiałem pisać artykuły, nie dosypiałem, paliłem papierosy... Niszczyłem sobie organizm... O rany, pomyśleć... niszczyłem sobie organizm...!
- ŁYSY (*rozdzierająco*): — Ach! Niszczyć sobie organizm...!
- BRUNET (*namiętnie*): — Pracować, o Boże! Drzewo rąbać...
- BLONDYN: — Kamienie na szosie tłuc...
- SZPAKOWATA: — Obiad ugotować... Ciasto upiec, prawdziwe ciasto, w piecu...
- ŁYSY: — Przestań pani z ciastem, bo aż mnie w dołku ścisza...
- ANIOŁ (*pogodnie i z entuzjazmem*): — A teraz jesteśmy w niebie i nic nie musimy robić!

\* \* \*

*Szmer kroków na spacerze.*

- PLATYNOWA (*tajemniczo*): — No to ustalone na dziś po kolacji. Niech pani szybko zje, żeby pani na tym stołku nie trzymało.
- RUDA: — Nie wiem, czy zdołam przełknąć, taka jestem zdenerwowana...
- BRUNET (*niespokojnie*): — A jak jeszcze co przeszkodzi...?
- BLONDYN: — Pośpiesz się pan, może nie zdążą. Anioła zajmujemy rozmową, tak od razu się nie połapie.
- BRUNET: — Chyba że jeszcze jakaś siła wyższa...

- ŁYSY: — To już pańska w tym głowa, dodaj pan gazu. Na ziemi się zawsze mówiło, że zgrzeszyć to można raz–dwa–trzy, zanim się człowiek obejrzy...
- BRUNET (*nieco speszony*): — Wiecie panowie, szczerze mówiąc, wołałbym tak jakoś... W innych warunkach... Może nieco bardziej kameralnie...
- BLONDYN: — Trudno, nie ma wyboru.
- ŁYSY: — Jak się człowiek trochę uprze, to zgrzeszy w każdym warunkach.
- SZPAKOWATA: — Tylko niech pani nie zawiedzie, kochana moja, cała nasza nadzieja w tym waszym grzechu!
- PLATYNOWA: — Jak pani zobaczy, że podchodzimy do anioła, od razu niech pani startuje...

\* \* \*

*Brzęk łyżek w śmiertelnej ciszy.*

- PLATYNOWA (*szeptem*): — No, niech pan zaczyna!
- BLONDYN (*szeptem*): — Uważaj pan, za ten krzew... I z biglem... (*głośno*)  
Proszę anioła, co to takiego, tam? O, tam, tam, na tym drzewie? Ptaszek?
- PLATYNOWA: — Jaki śliczny ptaszek! Proszę anioła, co to za ptaszek?
- SZPAKOWATA: — Ale anioł źle patrzy! Nie tam, tylko tu...! (*szeptem*) Tyłem go, tyłem...
- BLONDYN: — O, tu! Taki z ogonem...
- ANIOŁ: — To rajski bażant..
- PLATYNOWA — Ale nie ten. ten drugi! Za listkiem...

\* \* \*

- BRUNET: — Nareszcie, ukochana...

RUDA (*wściekłym szeptem*): — Tu coś kłuje... Do diabła, nie wytrzymam tego!

BRUNET (*zirytowany*): — Szyszki, cholera... Chodź tu, obok...

\* \* \*

BLONDYN: — O, teraz się schował za gałązkę!

ANIOŁ: — Ten z niebieskim czubkiem...? (*ze zgrozą*) Ach...!!!

*Słyszać grzmot i złowrogie dźwięki muzyki konkretnej.*

\* \* \*

RUDA (*wściekła*): — ...nie można go było zająć chwilę dłużej?!

PLATYNOWA (*też wściekła*): — Całą noc go mieliśmy zabawiać?! Nie mogliście się pośpieszyć?! To idiota, ten pani fatygant!

SZPAKOWATA: — Serce mi zamarło, jak zobaczyłam, że się tam miotają dookoła tego krzaka! Po diabła on panią włączył z miejsca na miejsce, zamiast się od razu zabrać do roboty?!

RUDA (*z furią i rozpaczą*): — A co za kretyn wybrał takie miejsce?! Tam było pełno szyszek! Ja nie jestem z żelaza...

\* \* \*

BRUNET (*wściekły*): — ...kolanem, cholera, trafiłem na jedną i aż mi świece w oczach stanęły!

BLONDYN: — Co znaczy jedna szyszka w obliczu wieczności! Rozczarował mnie pan...

ŁYSY (*z rozpaczą*): — I nic pan nie zdążył?!

BRUNET (*z rozpaczą*): — Nic, kompletnie. Żeby jeszcze chociaż ze dwie minuty!

BLONDYN (*ponuro*): — No to krewa. Dopiero teraz nas zaczną pilnować...

- ŁYSY (*z nadzieją*): — Ale może pan ją chociaż pocałował? Może by to wystarczyło?
- BRUNET: — Może by i wystarczyło, ale gdzie człowiek miał głowę do karesów w takiej sytuacji...
- BLONDYN: — Można powiedzieć, że wygłupił się pan za całą nieskończoność...

\* \* \*

- PLATYNOWA (*ziewa*): — O mój Boże, co to taka cisza? j Drogie panie, wstawajcie, coś się stało! Rajske ptaki dziś się wcale nie darty!
- SZPAKOWATA: — Rzeczywiście. Po słońcu sądząc, to już późno. Co to znaczy?
- PLATYNOWA (*niespokojnie*): — Może to ten wasz grzech...?
- RUDA (*przestraszona*): — O Boże, co teraz będzie? Słysząc klaskanie w dłonie.
- BLONDYN: — Co się dzieje? Jakaś draka...
- ŁYSY (*z nadzieją*): — Zaraz, zaraz... Mecenasiu, jak to tam jest z tym usiłowaniem...?
- BRUNET: — Ma pan na myśli usiłowanie popełnienia przestępstwa?
- ŁYSY: — No właśnie... Zgrozę budzące dźwięki muzyki konkretnej. Następnie martwa cisza,
- ANIOŁ: — Pożalowania godny wypadek... (*po chwili, szlochając*) Po raz drugi, tu. na tym terenie... Od stworzenia świata... Nie dorośliście jeszcze do raj... A więc... A więc idźcie odbywać pokutę!
- ŁYSY (*przerażonym szeptem*): — Do piekła...?!
- ANIOŁ: — Gorzej! Znacznie gorzej...

Część III



*Słychać grzmot, świst wichru, straszne dźwięki muzyki, po czym zapada nagle cisza. Stopniowo narastają odgłosy, charakterystyczne dla różnych pojazdów mechanicznych.*

PLATYNOWA (*szeptem*): — Co to?

BLONDYN: — Gdzie my jesteśmy? Nie rozumiem...

ŁYSY (*w radosnym zdumieniu*): — Niech ja skonam, ludzie, Wierzbno! To tu nas szlag trafił! A mówiłem, patrzeć przez okno...!

RUDA (*olśniona*): — Niemożliwe... To zbyt piękne, żeby mogło być prawdą...

PLATYNOWA (*gorączkowo*): — Moi państwo, na litość boską, idźcie wykończyć ten wasz grzech, bo jeszcze nas zabiorą z powrotem do nieba...

BRUNET: — Prędko! Wolna taksówka, chodź prędzej...!

SZPAKOWATA: — Może by ich kto dopilnował, bo znów się wygłupią... Ja nie mogę, tu jest kolejka, pewnie podroby przywieźli...

ŁYSY: — Na ziemi? Co pani...? Już ja pani za nich ręczę!

PLATYNOWA: — Przepraszam panów, ale śpieszę się do fryzjera, miała przyjechać delegacja z Madrytu, może jeszcze zdążę...

ŁYSY (*z nagłym niepokojem*): — Czy aby ten jeden grzech wystarczy...?

BLONDYN: — Jaki jeden? Myśli pan, że poprzestaną na jednym? W duchy pan wierzy? Chodź pan! Tu zaraz jest „Słowiańska”, chodź pan! Zniszczymy sobie organizm...!

*koniec*”

Drugiego słuchowiska, napisanego znacznie później, już cytować nie będę, bo primo, zostało nagrane, a secundo, otrzymałam za nie wyróżnienie na jakimś konkursie. Nosiło tytuł „Jaskółki” i opierało się na wydarzeniu autentycznym.

Nastąpiło ono w Podgórzu, gdzie przebywały na wakacjach moje dzieci ze swoją babcią i Lucyną. Gniazdo jaskółcze wypadło spod okapu, rąbnęło w ziemię i rozleciało się na drobne kawałki. Ocalały dwa pisklęta, dwie małe jaskółeczki, skazane na zagładę, bo rodzice nie umieli dać sobie rady z katastrofą, latali dookoła, wrzeszcząc rozpaczliwie, i nic poza tym. Moje dzieci dostały szału, Lucyna radośnie im dopomogła, pozbierali ofiary, wymościли gniazdko i zaczęli to hodować. Podobno odratować i wykarmić pisklę jaskółcze jest prawie niemożliwe, a w każdym razie niesłychanie trudne, nikt z otoczenia

nie wierzył w sukces, co nie przeszkadzało, że muchy łapała cała wieś. Jerzy i Robert nie tylko mieli zajęcie, ale przeżywali emocje potężne, jaskółki zaś jadły, rosły, nauczyły się latać i wreszcie pofrunęły na wolność, dzięki czemu słuchowisko mogło uzyskać happyend. Lucyna twierdziła, iż oba ptaki oswoiły się, przywykły do opiekunów i codziennie, aż do odlotu, fruwały im nad głowami, a niekiedy nawet siadały na oknie chałupy.

Jedno, czego jestem absolutnie pewna i przed czym powinnam wszystkich ostrzec, to to, że melanz w aneksie pobije wszystkie rekordy, zarówno czasowo, jak i tematycznie, w przeoczeniach i zapominaniach wykazałam się bowiem ogromnym talentem. Załatwię najpierw „Energoprojekt”, żeby mi znów nie umknął, a niektóre wydarzenia i zjawiska były wysoce pouczające.

Na marginesie muszę wyznać, że mam okropny Kłopot z imionami. Pomijając już straszliwy tłum Jerzych, teraz widzę, że zamieszanie wprowadzają Tadeusze. Nie mogę ujawniać nazwisk, bo w końcu są to ludzie żywi, a nie każdy lubi być wytykany palcami, używam imion i mają prawo pomylić się wszystkim. Wyliczę ich.

Jeden Tadeusz to mój wuj, mąż Teresy. Drugi to mój kumpel z pracy, para od Ewy. Trzeci, Tadzio, jest to syn mojego przyjaciela Maćka. Teraz doskoczy mi czwarty, współpracownik z „Energoprojektu”. Nie pamiętam jego branży, chyba konstruktor, na imię miał właśnie Tadeusz, był przystojny, sympatyczny, inteligentny i dobrze wychowany, prawie z rzetelną kindersztubą. Lubiłam go. Żadne bicia serca nie wchodziły w rachubę, ponieważ mężem i dzieckiem zajęta byłam bez reszty, ale zwyczajnie lubić człowieka mogłam.

Nie jest wykluczone, że uczynił jakąś skromną próbę podrywania, zapewne tak sobie, dla uciechy. Kiedyś wracaliśmy z pracy przez jakiś skwerek, a może to były Łazienki, chociaż skąd Łazienki pomiędzy Kruczą a Grójecką...? Wszystko jedno, na tym skwerku usiłował mnie pocałować i rozumiem, że tym jednym zdaniem mogę doprowadzić współczesną młodzież do pęknięcia ze śmiechu. Ale po pierwsze, działo się to czterdzieści lat temu, a po drugie, wyraźnie mówię, że byłam przedwojenna. Przy okazji komunikuję, iż miałam na studiach koleżankę, która wstydziła się śmiertelnie czesać przy mężczyźnie. Rozpuszczenie włosów na ludzkich oczach płci odmiennej dla niej chyba czymś gorszym niż dla konserwatywnej Arabki odsłonięcie twarzy, więc, ostatecznie, rekordów w tej dziedzinie nie biłam. Przed pocałunkiem jednakże cofnęłam się ze zgrozą,

ówże Tadeusz nie upierał się wcale, raczej go to rozbawiło, i powiedział do mnie bardzo rozumne słowa:

— Jest pani taka młoda, że chyba mogę sobie pozwolić na udzielenie dobrej rady. Niech pani nigdy nie pokazuje mężczyźnie tej śmiertelnej powagi w oczach...

Zastosowałam w życiu ową radę, ale nie w tym rzecz. Podrywanie podrywaniem i powaga powagą, niezależnie od nich zaprzyjaźnieni w jakimś stopniu byliśmy i Tadeusz zwierzył mi się z przypadku swojego dzieciństwa. Przysięgłabym, że chował się w nobliwym domu kochających rodziców, tymczasem nic podobnego, nie w żadnych salonach się kształcił, tylko w ryszotku. Jego rodzice zginęli na samym początku wojny i pozostał z babką, starą, niedołązną i chyba głupią. Nie zwracała na dziecko uwagi, bystre dziecko zaś połapało się rychło, że nie jest dobrze i pożywienie należy zdobywać metodą wilczego stada. Przystał do kumpli, nieco starszych i oblatanych życiowo, doskonale nauczył się kraść, wtedy to było nawet patriotyczne, bo okradali niemieckie wagony kolejowe, egzystencję wiódł raczej uliczną, później zaś, po wojnie, miał wielkie szansę zostać bandziorem. Nie spodobało mu się to, nie wiadomo dlaczego. Miał ochotę się uczyć, dobrowolnie poszedł do szkoły, dobrowolnie zdobywał wiedzę, podłapywał różne roboty, żeby nie umrzeć z głodu, jeszcze karmił babkę, możliwe, że później dostał jakieś stypendium, skończył studia i poszedł do pracy, a skąd mu się wzięło autentyczne dobre wychowanie, ciężko odgadnąć. Może sprzed wojny albo też babcia odruchowo stosowała właściwe metody postępowania i, na przykład, nie umiała jeść inaczej, jak nożem i widelcem. A może to były geny, bo w ogóle wywodził się z dobrej rodziny, w każdym razie tej złodziejsko-ryszotkowej przeszłości nikt by się po nim nie domyślił.

Podrywanych zabiegów w stosunku do mnie zaniechał całkowicie i przerzucił się na kreślarkę, niejaką Wandę, która miała wyjątkowo piękne włosy. Zachwyciłam się nimi, nie kryjąc zazdrości.

— Ach, proszę pani! — powiedziała Wanda. — Rok temu ja byłam prawie zupełnie łysa!

Zdumiałam się niedowierzająco i poprosiłam o szczegóły. Wyjawiała je chętnie.

Wyłysiała po jakiejś chorobie do tego stopnia, że więcej miała na głowie gołych placek niż włosów, a w dodatku te resztki wychodziły jej pasmami. Na całe garście już ich nie starczało. Zrozpaczona, pod wpływem czyjejś rady, zaczęła smarować głowę rycyną i przez rok miała zmarnowane wszystkie soboty i niedziele, zabieg wyglądał bowiem następująco: w sobotę wieczorem wcierała w głowę ciepłą rycynę za pomocą szczotki do zębów, raz koło razu w całą skórę, okręcała łeb ręcznikiem i spała w tym

naboju. W niedzielę rano myła szczątki włosów i czekała, aż jej wyschną, bo suszarki stanowiły luksus w owym czasie niedostępny. Z zaciśniętymi zębami przetrzymała ten rok i skutek był wstrząsający, grzywa jej wyrosła jak u tarpana.

Przyszła później chwila, kiedy ruszyły w dal także i moje włosy. Żadnej ciężkiej choroby nie przechodziłam, może najwyżej jakieś drobne dolegliwości, ale włosy zaczęły mi wylazić również grubymi Pasmami i przeraziłam się tym śmiertelnie. Nie miałam ambicji dorównać ówczesnemu premierowi. Przypomniałam sobie o rycynie Wandy, rzuciłam się na kurację, z tym że nie musiałam marnować żadnych sobót i niedziel, pomijając już to, że co innego rozrywkowe wieczory dla młodej dziewczyny, a co innego dla matki dzieciom. Potrzebne mi było tylko wolne popołudnie spędzone w domu, bo głupio trochę wychodzić na ulicę z ręcznikiem na głowie, trzymałam miksturę pięć godzin albo trochę dłużej, potem to myłam i dla odmiany spałam na wałkach do kręcenia, ten zaś rodzaj tortury znają chyba wszystkie kobiety. Wytrzymałam trzy miesiące, a rezultat był taki jak u Wandy, przy najgorszym szarpaniu wychodził jeden włos, czasem dwa. Po paru latach sytuacja się powtórzyła, znów się uczepliłam rycyny i znów pomogła olśniewająco.

Autorytatywnie stwierdzam, że nie istnieje lepsze lekarstwo na włosy, rycyna działa bezbłędnie i ma tylko dwie wady. Primo, każde mycie głowy, co tydzień, zabiera człowiekowi co najmniej siedem godzin, a secundo, nieszczęście dla prawdziwych blondynek, włosy od niej trochę ciemnieją i wyglądają jak odrosty po farbowaniu. Nie śmierdzi to natomiast wcale, wbrew dość rozpowszechnionym poglądom, i zmywa się bez trudu szamponem i porządnie ciepłą wodą. Tamże, w tym „Energoprojekcie”, wystąpiła także sprawa pani Henryki i też uważam ją za doświadczenie przydatne każdemu. Mam nadzieję, że pani Henryka mi przebaczy.

Pani Henryka była wdową, miała wówczas trzydzieści dwa lata i pracowała jako kreślarka. Zdążyła się zahaczyć, kiedy jeszcze kreślarze pracowali na akord, zarabiała bardzo dobrze i w nędzy nie żyła. Prezentowała się za to okropnie.

Zaczynając od góry, ciemne kręcone włosy miała uklepane na ciemieniu jakoś tak, że przyplaszczało jej to głowę bez mała do połowy, niżej zaś odstawało koło uszu, makijażu nie robiła żadnego, na figurze nosiła koszmarny, gruby, świecący fartuch, na nogach grube pończochy i półbuty na płaskim obcasie z Cedetu i razem wzięwszy, wyglądała jak prowincjonalna nauczycielka, mocno zaniedbana.

Zwierzyła mi się, że mąż, którym opiekowała się przez kilka lat, był od niej starszy o trzydzieści wiosen i poślubiła go nie z namiętnej miłości, tylko z szacunku i podziwu.

Bałwochwalczo wielbiła w nim umysł i charakter, ale przez blisko dziesięć lat miała trudne życie, bo okazało się, że jest chory na raka. Nie miał sił fizycznych, umierał długo, do końca nie tracąc zalet wewnętrznych.

Zwierzenia dokonała nie bez powodu. Na jakiejś delegacji poznała młodego faceta, który jej się spodobał. Nic z tego nie wynikło, ale nagle dokonała odkrycia.

— Wie pani — powiedziała ze wzruszeniem i lekkim zakłopotaniem — jak on chwycił moją walizkę... Ja z tego zupełnie zgłupiałam, do głowy mi nie przychodziło, że mężczyzna może nosić walizki, zawsze ja nosiłam, a jemu to tak łatwo przyszło, że mi dech zaparło...

Obie z Danusią, opisaną już wcześniej, tą, która poszła za Egipcjanina, postanowiłyśmy zniecka zrobić z pani Henryki młodą kobietę. Broniła się parę tygodni, ale wreszcie uległa presji. Pogoniłam ją do fryzjera, została ostrzyżona i uczesana na Simone, Danusia polecała z nią do komisji, kupiły piękną spódnicę i eleganckie pantofle, pani Henryka z rozpedu poszła w zakupach dalej, pomalowała się, wetknęła w uszy białe klipsy i przybyła do biura. Rozkwitła z miejsca jak ten róży kwiat, ponieważ na korytarzu nie poznało jej dwóch facetów z tej samej Pracowni.

— Przecież to jest piękna kobieta! — wykrzyknął później do mnie jeden z nich w całkowitym osłupieniu.

Odmłodniawszy o ładne parę lat, przywiązała się do nowego wyglądu zewnętrznego i postanowiła go utrzymać. No i na kolejnej delegacji znów poznała chłopaka i znów przyszła z tym do mnie.

Dygresyjnie pragnę zwrócić powszechną uwagę, że z wyjawianych mi w tamtych czasach sekretów przez czterdzieści lat nie zdradziłam ani słowa. Robię to dopiero teraz. Czterdzieści lat minęło, to już chyba przedawnienie...?

Wracam do pani Henryki.

— Nie wiem, co zrobić — oznajmiła. — On się chyba we mnie zakochał, na umysł mu padło, a ja się staram jak mogę, ale też się zakochałam.

— Bardzo dobrze — pochwaliłam. — I co?

— No co też pani, jakie dobrze, on jest ode mnie młodszy o siedem lat!

— A wie o tym?

— Nie. Myśli, że też mam dwadzieścia pięć, a najwyżej dwadzieścia siedem, I nie wiem, co zrobić.

— Dać się poderwać — poradziłam stanowczo. — Przyznać się do wieku dopiero, jak on do reszty zwariuje.

Pani Henryka zakłopotana się smętnie.

— Ale przecież on mnie porzuci. Jeszcze pięć lat i ja będę miała trzydzieści siedem, a on ledwo trzydzieści, poleci na młodsze i co?

— I nic. Z góry się pani nastawi na to porzucenie, a zanim co, będzie pani szczęśliwa. Każdą z nas ktoś zawsze może porzucić, z dwojga złego lepiej już być przygotowanym, niż żeby to nastąpiło znienacka. Co przeżyjemy, to nasze. Niech się pani nie wygłupia, przecież to całkiem tak, jakby pani nie poszła do kina albo na dansing, bo trzeba będzie wyjść!

Do pani Henryki argument przemówił, zdecydowała się na chłopaka. Spotkałam ją po następnych ładnych paru latach i doznałam wielkiej satysfakcji.

— Chciałam pani podziękować — powiedziała ze szczerą wdzięcznością. — To pani mnie namówiła, on mnie właśnie porzucił ł jestem nieszczęśliwa, ale nie szkodzi. Rzeczywiście, co przeżyłam, to moje i miałam kilka pięknych lat. Na rękach mnie nosił. Bez pani bym się wahała jak głupia i nic by z tego nie wyszło. Teraz się chyba namyślę na jednego takiego w średnim wieku, to już nie to, ale zawsze człowiek...

Straciłam ją z oczu i nie wiem, co się z nią dzieje, niemniej potwierdzenie słuszności własnych poglądów ogromnie podniosło mnie na duchu.

Od razu mi się przypomina następne.

Pracowała w „Energoprojekcie” także kreślareczka imieniem Nacią. Dla odmiany pochodziła z tak zwanych nizin społecznych i gust miała wyrobiony, czerwone plusze z frędzlami i złożone żyrandole wydawały jej się szczytem urody i elegancji. Co w tym dziwne, to to, że ubrać się umiała bezbłędnie, odzież od pluszów oddalona była bez mała o lata świetlne, instynkt chyba...? Zagięła parol na jednego konstruktora, faceta bardzo przystojnego i na wysokim poziomie, zdolnego, z językami i przyszłością. Szkopuł leżał w stałej podrywce, dziewczynie bardzo pięknej i na poziomie zbliżonym do niego. Nacią jednakże miała wdzięk, ślicznie tańczyła na łyżwach, a w dodatku wiedziała, czego chce.

— Tyle ode mnie dostanie co brudu za paznokciem — powiadomiła mnie z zaciętością. — Musi się ze mną ożenić i zobaczy pani...

Zobaczyłam, ożenił się rzeczywiście, budząc sensację w całym biurze. I znów spotkałam Nacie po latach. Wyglądała zachwycająco i nad wyraz elegancko.

— Zrobiłam maturę — wyznała. — Bo wie pani, do niego przychodzą znajomi, koledzy, o rany, ja w ogóle nie rozumiem, o czym oni mówią. Ale niech pani nie myśli, nie jestem taka głupia, żeby gębę otwierać, słowem się nie odzywam, tylko się grzecznie

uśmiecham i wszyscy uważają, że jestem taka inteligentna. Ale nic, dam sobie radę coraz lepiej, dziecko mamy, proszę bardzo, mogę urodzić jeszcze i drugie...

Jako nieoczekiwane skojarzenie staje mi w oczach mój własny syn. Nie, z Nacią i jej poglądami nie miał nic wspólnego, przyszedł mi na myśl raczej w związku z panią Henryką i jej pierwotnym uczesaniem.

Nie jestem nietoperz i fryzur się specjalnie nie czepiam, ale modna była swymi czasy koafiura na głupiego Jasia. Mój starszy syn poszedł za modą i twarzowo mu to nie wypadło. Naprawdę ciężko patrzeć na własne dziecko, jeśli ma gębę absolutnego debila, a tak właśnie w tych włoskach wyglądał. Łagodnie poprosiłam, żeby się ostrzygł inaczej, co nie dało żadnego rezultatu. Poprosiłam energiczniej, też bez skutku. Zapowiedziałam wreszcie, że z tym uczesaniem i z tą gębą ma nie wracać do domu. Wrócił. O jedenastej wieczorem wygoniłam go na dworzec Główny, bo tylko tam o tej porze czynny był fryzjer, zakazując przekroczenia progu. Poszedł nadęty, zbuntowany i ze Izami w oczach, ale następnego poranka mogłam już spoglądać na jednostkę normalną, rozwiniętą umysłowo w stopniu pożądanym.

Jego obecnym uczesaniem niech się martwi moja synowa.

Ominięłam także przestępstwo, które popełniłam na ruskiej granicy.

Błąkając się po kraju na motorze, dojechaliśmy z mężem do Medyki i z zaciekawieniem obejrzelśmy przejście graniczne. Nikt się tam w owym czasie nie tłoczył, jak wiadomo bowiem, granice przyjaźni były nieprzekraczalne. Zachwyciła mnie brama wymalowana w barwne, acz wyblakłe kwiatki, wyjęłam aparat i zrobiłam zdjęcie. Trzymałam jeszcze ten aparat w rękach i przekręcałam taśmę z zamiarem dołożenia paru innych szczegółów, kiedy dopadł nas jakiś facet ze strasznym krzykiem, że tu nie wolno. Żadnych zdjęć!!! Brama w kwiatki stanowi tajemnicę stanu!!!

Schowałam aparat za siebie, bo miałam obawy, że mi go wyrwie, stary był bo stary, ale jeszcze przydatny, facet zaś gwałtownie spytał, czy już coś zrobiliśmy. Mój mąż, który nie widział, jak pstrykałam bramę, z całym przekonaniem zapewnił go, że nie, dopiero mieliśmy zamiar. Praworządność biła z niego jak ukrop z gejzera i osobnik uwierzył, dał spokój i kazał tylko odjechać precz. Odjechaliśmy, a brama została mi na pamiętkę.

Podobnie wyleciała mi gęś, element dość istotny, występujący w *Lesiu*.

Gęś wymyślił Tadeusz, ten od Ewy, z Miastoprojektu „Stolica”. Gadał o tej gęsi i gadał, słyszał o doskonałym sposobie pieczenia, była to podobno metoda żołnierzy

radzieckich, na ognisku, w pierzu i glinie, namawiał nas, żeby spróbować, i wreszcie ulegliśmy, wdając się w tę nieziemską głupotę.

Długo zastanawiałam się, kiedy to było i kto z mojej strony brał udział w imprezie, Marek czy Wojtek.

W zasadzie do pętania się po plenerach lepszy był Marek, ale z drugiej strony wątpiłam, czy dopuściliby do takiego idiotyzmu. Dopiero Ewa, do której zadzwoniłam, upewniła mnie, że jednak był to Wojtek.

Wojtkowi było wszystko jedno, miejsce kretynstwa wybierał zatem Tadeusz, zakamieniały harcerz, który ognia w lesie nie paliłby za skarby świata. Tylko nad wodą! W dodatku element niezbędny stanowiła glina, zatem najlepiej nad Wisłą. Pojechaliśmy wszyscy razem w kierunku Wilgi.

Istotniejsza nawet od gliny była gęś, produkt, można powiedzieć, podstawowy. Zamierzaliśmy nabyć ją w pierwszej lepszej wsi po drodze i przywiązanie do tradycjiomal nie zniweczyło całego przedsięwzięcia w zarodku, baba nie chciała bowiem sprzedać nam drobiu, twierdząc, że nie pora. Na gęsi przychodzi czas w listopadzie, a tu dopiero koniec września. Uparliśmy się jednak i dokonaliśmy zakupu, nie przejmując się wyrazem twarzy wieśniaczki, która patrzyła na nas jak na grono matołów. Możliwe, że podejrzewała nas o ucieczkę z Tworek i zgodziła się na sprzedaż ze zwyczajnego strachu przed wariatami. Zabiła nawet ptaka i wypatroszyła, upierzenie, na naszą prośbę, pozostawiając nie tknięte.

Szczegóły, w dużym stopniu, umieściłam w *Lesiu* i mogłabym je tu sobie darować, ale nie popadajmy w przesadę. Wszystko odbyło się tak, jak tam napisałam, Tadeusz z Wojtkiem wleźli do Wisły i ukopali gliny z brzegu, gęś została wypchana kartoflami i porządnie oblepiona, materiału opałowego zaś nie było wcale. Obie z Ewą w istnym obłędzie szukałyśmy wokół czegokolwiek palnego. Protestując przeciwko paleniu ognia w lesie, Tadeusz nie wziął pod uwagę, że na łące drewno nie rośnie. Możliwe, że to ognisko wypadło zbyt skromnie i pomijam już taki drobiazg jak to, że to oni ją pchali do ognia, a nie my, i ulokowali pieczone grzbietem do góry, a brzuchem do dołu, odwrotnie niż trzeba.

Piekła się ta cholera w nieskończoność bez żadnego skutku. No nie, przesadzam, skutek był. Cały grzbiet spalił się na węgiel, pierze śmierdziało przeraźliwie, mięso natomiast wciąż miało konsystencję lin okrętowych albo rzemieni od końskiej uprzęży. Pół litra soplicy wypiliśmy pod upieczone kartofle i może siedzielibyśmy tam do rana, gdyby nie to, że w całej okolicy nie dawało się już znaleźć ani jednego patyczka.



Wyrzebaliśmy z popiołu śmierdzącą i twardą jak kamień gęś i pojechaliśmy do Tadeusza. Obie z Ewą zmywałyśmy glinę z ptaka, szorując go szczotką i wrzącą wodą pod kranem, zdaje się, że użyłyśmy nawet mydła, zeszło w końcu, Tadeusz podziabiał drób na kawałki i wetknął do garnka w celu uduszenia. Dusił potrawę chyba przez tydzień, codziennie przynosząc po kawałku do pracy, wciąż była niejadalna i zdaje się, że blisko połowę wreszcie wyrzucił.

Każde z nas oczywiście doskonale wiedziało, że gęś powinna skruszeć i świeżo zabitej zjeść się nie da, ale eksperyment ciekawił wszystkich. A może ta glina coś daje...? Nie dała, w ostatecznym rezultacie uznaliśmy, że spożyć coś takiego może tylko ruskie wojsko, z pewnością nikt inny.

Odwrotne doświadczenie spadło na nas później, już za czasów Marka. Piekliśmy na ognisku bażanta. Do bażanta był chlebek i boczek, którego płatkami owinęliśmy dziczyznę, trochę zostało, odbywało się na skraju lasu, o czym zdecydował Marek, i opału mieliśmy pod dostatkiem. Tadeusz oddalił się i poszedł na łąkę, żeby nie uczestniczyć w skandalicznej akcji podpalania przyrody. Pożar nie wybuchł, nic się nie podpaliło, za to bażant okazał się stanowczo za maty. Był znakomity, upieczony idealnie, woń wzmagała apetyt, w ostatnich chwilach wisieliśmy nad ogniskiem jak sępy, zachłannym wzrokiem patrząc Markowi na ręce, pożarliśmy pieczone w mgnieniu oka, potem pożarliśmy chlebek ze szczątkami boczku i wróciliśmy do domu tak straszliwie głodni, że z szaleństwem w oku rzuciliśmy się na pożywienie. Zdaje się, że nawet Marek zrezygnował z kąpieli przed posiłkiem.

Ostrzegam wszystkich, że jeden bażant na cztery osoby to nie potrawa, tylko nieszczęście, które może obudzić ludożercze skłonności.

Załatwię jeszcze Stefana, tego z BLOKU, opisanego w *Podjejranych*, *Lesiu* i *Dzikim białku*. Rzeczywiście był instalatorem sanitarnym, ale w tym wypadku nie o to chodzi, Stefan miał brata.

Nie znałam tego brata osobiście, ale tak o nim, jak i o wydarzeniu opowiadano mi bezpośrednio po fakcie, wszyscy mówili to samo, święcie zatem wierzę, iż jest to prawda i sam autentyk, a nie jakaś głupia anegdota.

Brat Stefana odznaczał się skąpstwem, to po pierwsze, po drugie był awanturnikiem, a po trzecie namiętym kibicem piłkarskim. Oglądał mecz Polska–Argentyna, nie wiem, dlaczego akurat ten mecz tak się po mnie płacze.

Jak wiadomo, zaczęliśmy od przegrywania. Brat Stefana zdenerwował się tym tak okropnie, że wyrwał z obudowy telewizor i wyrzucił za okno. Następnie o mało go szlag

nie trafił, bo zaczęliśmy wygrywać, zaś odgłosy sukcesu dobiegały od sąsiadów zza ściany. Jasne jest, że wszyscy nastawiali fonię na cały regulator i krzyki komentatora rozlegały się właściwie wszędzie dookoła. Brat Stefana cierpiał i zgrzytał zębami, mecz się skończył, po czym zaraz przyszedł chłopczyk, synek sąsiada.

— Proszę pana — powiedział do brata Stefana. — Tatuś mówi, żeby pan zszedł na dół, bo jakiś łobuz wyrzucił telewizor prosto na pana samochód.

No i potem różne osoby twierdzą, że to ja wymyślam nieprawdopodobne wydarzenia...

Na marginesie, znów czuję się zmuszona sprostować nieścisłości. Mecz Polska—Argentyna, jak mnie ostatnio powiadomiono, skończył się wynikiem dwa trzy, a nie jeden cztery, zaś po spotkaniu autorskim w owej świetlicy czy klubie, gdzie młodź męska oczekiwała rozrywki, wcale nie musiałam wymieniać akurat takich liczb. Mogłam powiedzieć co innego i w ogóle mogli czekać na jakiś inny mecz, też międzynarodowy, prawdą jest tylko, że w wynik trafiłam bezbłędnie ku powszechnemu oraz własnemu zdumieniu. Jedyne mecz, jaki osobiście pamiętam, to Górnik—Manchester, a i to tylko dzięki bramkarzowi, który z całą pewnością nie nazywał się Kostka—Napierski, ale „Kostka” miał w nazwisku, a może w imieniu. „Człowiek, który zatrzymał Anglię”, tak o nim mówiono. Nie dość, że w łapaniu piłki był genialny, to jeszcze robił to z wdziękiem i mógł śmiało konkurować z Szogunem, psem z pieczarkarni. Natomiast brat Stefana wyrzucił przez okno telewizor rzeczywiście przy meczu Polska—Argentyna.

Jakoś tak w tamtych czasach, gdzieś między Wojtkiem a Markiem, postanowiłam napisać traktat o podrywaniu. Nie tylko postanowiłam, nawet napisałam. Zacytować go nie mogę, bo cały maszynopis gdzieś mi zginął już dawno, a treści dokładnie nie pamiętam. Stworzyłam zaś owo dzieło w celach głównie dydaktycznych, zde gustowana błędami popełnianymi przez obie płci, a także opętana konserwatyzmem.

Inna sprawa, że zmieniły się czasy i obyczaje. Ćwierć wieku temu jeszcze było trochę inaczej, na poglądy i postępowanie dorosłego pokolenia wpływały nieco czasy przedwojenne, a zbliżoną do zdziczenia swobodę prezentowała wyłącznie część młodzieży. Zdziczeniu zamierzałam przeciwdziałać, głęboko przekonana, że zdrowy instynkt weźmie górę. No, głęboko jak głęboko, powiedzmy, że miałam nadzieję, bo minione obyczaje były jakby ładniejsze, miały swój urok i wydzielały z siebie romantyzm, obcy tym obecnym.

Pamiętam, że w traktacie zaczęłam od kwestii zawierania znajomości, która to kwestia kompletnie straciła rację bytu chyba nawet dla mnie. Na mój wiek uprzejmie proszę nie

zwracać uwagi, dopiero co, wręcz przed chwilą, oświadczył mi się jeden kierowca taksówki, więc taka całkiem zdezaktualizowana jeszcze nie jestem. Znajomość zawiera się dziś jak popadnie, a miejsce i okoliczności nie mają na to żadnego wpływu, nie będę zatem przypominać sobie i z wysiłkiem opisywanych w utworze pozytywnych i negatywnych przykładów, rozmaitych zabiegów dyplomatycznych, licznych błędów i wynikłych z nich komplikacji.

Pouczone sedno rzeczy zaczynało się od tego, że nie każdy nie z każdym chce sypiać. Poziomu poniżej rynsztoka nie brałam i nie biorę pod uwagę, miałam na myśli normalną część społeczeństwa, zdolną do posługiwania się intelektem, aczkolwiek może i rzeczywiście nie intelekt w łóżku najważniejszy. Ale ogólnie się przyda...

Na moje oko, generalnie w tej dziedzinie poszliśmy za daleko i stąd panika na tle dolegliwości zdrowotnych. Z ręką na sercu niech sobie właściwa wiekowo część społeczeństwa policzy, ile razy bierze udział w seksie wcale nie z wielkich chęci, tylko dla towarzystwa. Albo z wszelkich innych przyczyn, gruntownie wyzuty z elementów uczuciowych. Kwestia gustu oczywiście, ale pewne umiarkowanie zawierało w sobie atrakcje, niedostępne dzisiejszej swobodzie. Zdaje się, że w traktacie usiłowałam ten problem poddać pod rozważenie.

Ponadto opisałam tam różne wydarzenia wstrząsające, nie wiadomo po co, może tylko dla przestrogi. Dużo się tego człowiek nasłuchał. Jedno akurat pamiętam ze szczegółami i mogę je podać.

Pewien mój kumpel, osobnik oczywiście bardzo wówczas młody, jechał na rowerze Alejami Ujazdowskimi i zaczął zjeżdżać w dół Belwederską. Wieczór był późny, prawie noc, oświetlenie smętne, z jakichś przyczyn chciał wykorzystać spadek ulicy, może się śpieszył do domu w Wilanowie, rozpędził się rzetelnie i nagle ujrzał przed sobą tył stojącego bez żadnych świateł samochodu. Nic nie zdążył zrobić, rąbnął w bagażnik, wyleciał z siodełka, przeleciał przez dach i runął na maskę. Cudem zapewne nic mu się nie stało, chociaż rower stracił swoją pierwotną postać. Pozbierał się stękając, kumpel, nie rower, i ujrzał, że z samochodu wyłażą dwie osoby różnej płci w stanie szoku.

Romansowali sobie ci państwo w owym kretyńskim miejscu, jakby nie mogli wybrać lepszego, ale trzeba przyznać, iż w tamtych czasach ruch był mały i późnym wieczorem po mieście nic nie jeździło, parkować zaś można było, gdzie kto chciał. Musieli być bardzo sobą zajęci, skoro nawet, nie włączyli świateł postojowych. No i popatrzmy od ich strony, ni z tego, ni z owego dostali zniecka okropnego dubla w tył, coś im gruchnęło w dach i zleciało na maskę. Łatwo można sobie wyobrazić ich uczucia, a wstrząsu doznali

chyba porządnego, bo mojego kumpla zaczęli przeproszać, odwieźli go do Wilanowa i jeszcze dali dwieście złotych jako odszkodowanie za rower.

Morał mi z tego wynikał jasny, należy starannie wybierać miejsca do romansowania.

Drugi mój kumpel miał przeżycia barwne i liczne, wśród nich zaś przytrafiały się sceny iście dziewiętnasto– albo nawet osiemnastowieczne, jak chociażby złażenie z piątego piętra po rusztowaniach budowlanych w noc zimową, bo niespodziewanie wrócił mąż heroiny. Dobrze, że nie dał się zamurować w alkowie. Albo miły wieczór z panienką przypadkową, który to wieczór wyśledziła panienka stała, piekło na ziemi urządziła pode drzwiami, a wieczór diabli wzięli. Potem jeszcze podpaliła niewiernemu samochód marki „Trabant”. Znałam detale tych wydarzeń i od tamtych właśnie czasów twierdzę, że w dziedzinie ludzkich poczynań nie ma nic niemożliwego.

Mój traktat nigdy nie został opublikowany, zdaje się, że słusznie. Może go źle napisałam, a może był po prostu staroświecki, czegoś mu z pewnością brakowało. Fragmenty jednak, autentyczne, nadawały się prawie do wszystkiego, można by je zużytkować i bardzo żałuję, że mi zginął. Nie pisuję wprawdzie romansów, ale uczuciami sercowej natury można uzasadnić wszystkie głupoty świata, jeśli już w żaden sposób nie da się znaleźć motywu zbrodni, zawsze pozostaje możliwość, iż rąbnął ofiarę zakochany kretyn albo zakochana kretynka, i to w dodatku przez pomyłkę.

No ale zginął, trudno, przepadło i nic nie poradzę.

Realia sprawdzałam naprawdę uczciwie i rzetelnie, niekiedy nawet na wyrost i na wszelki wypadek, chociaż może nie bardzo metodycznie. Do kopalni miedzi wdarłam się bez określonych zamiarów, do niczego mi to akurat nie było potrzebne i nie jest potrzebne nadal, ale kto wie...?

Nadziałam się na flotację. Nie wiem, co to jest i czemu służy, ale napiszę, jak wygląda. Proces znałam z Tivoli, dziwne, ale prawdziwe.

Otóż w nader wielkim pomieszczeniu na szerokiej taśmie posuwa się do przodu gęste błoto, prawie całkiem czarne, i nie posuwa się samo z siebie, tylko jest popychane. Popychane kawałek i zostawiane w spokoju. Takie coś jakby pionowa zagroda pcha to błoto, zatrzymuje się, potem znów pcha i znów się zatrzymuje, błoto zaś powinno lecieć w dół. Nie leci. Już zwisa, już się ledwo trzyma i powinno polecieć, a tu chała. Cholera. Polecą za następnym pchnięciem czy nie? A otóż nie. No to teraz...! Kurza jego twarz, znów nie! No to może za tym razem... Jeszcze nie, psia jego nędza, teraz... Nic z tego. Teraz...!!! No, wreszcie...

Po przeszło dwóch godzinach z pomostu obok tego całego ustrojstwa zostałam wywleczona przemocą. Pozostawiona sama sobie, przestałabym tam zapewne ze dwie doby, bo nie sposób oderwać od tej błotnej masy roziskrzonego oka. Zleci ścierwo czy nie zleci...?

Identyczne urządzenia znajdują się w wesołych miasteczkach i unikam ich jak ognia, bo znam je doskonale. Dla mnie bankructwo gwarantowane. Dla mnie... Ale nie dla każdego.

Dwie takie maszyny stoją w Tivoli. Rzecz oczywista, nie błoto się w nich znajduje, tylko żetony, duże placki, największe ze wszystkich. Leżą na kupie i też mają zlecieć, co stanowi wygraną. Wrzuca się następne, te następne spadają za plecami leżących i popychają je do przodu. Zwis potworny ledwo się trzyma, no już, już, powinien runąć... A figę... No to jeszcze trochę, wymienić na placki następne dziesięć koron...

Mylący był ten zwis, aż się niedobrze robiło. Majątek w cały interes wrzucali naporzeni gracze, ja też, chociaż rzadko, bo poznałam się na zarazie wyjątkowo szybko. Ale plątał się tam jakiś stary, brodaty pryk, Wernyhore mógł zagrać bez żadnej charakteryzacji, i czatował. Cierpliwość miał nadludzką. Czekał chwili, kiedy od kogoś kawałka odejdzie wykończony gracz, który uwierzył w zwis, nawrzucał mnóstwo, nic mu z tego nie przyszło, zniechęcił się albo wyzuł z pieniędzy, i porzucił rozrywkę. Wtedy Wernyhora wrzucał trochę, zwis wreszcie leciał, Wernyhora zabierał swoje, przytomnie nie wierzył w drugi zwis obok, i czatował na następną ofiarę. Wychodził z tego wygrany, specjalnie przyglądałam mu się przez parę dni i stwierdziłam to osobiście.

Drugiego wygranego spotkałam w Brukseli. Wesołe miasteczko ciągnęło się wzdłuż toru kolejowego i miało chyba parę kilometrów długości. Maszynierii do flotacji miedzi stało tam ładne parę sztuk. Od tych z Tivoli różniły się dodatkowymi atrakcjami, mianowicie na wierzchu całego żetonowego chłamu leżały zegarki elektroniczne, wówczas jeszcze nowość. Razem z którymś kolejnym zwisem zlatywał zegarek. Przy jednej maszynie natknęłam się na rodaka, też nie był głupi, robił prawie to samo co Wernyhora, może trochę mniej cierpliwie. Wypatrywał gracza pechowego, kontynuował po nim i pokazał mi cztery zegarki, które już miał w kieszeni. Właśnie spychał sobie piąty. Zwierzył mi się, że za te zegarki egzystuje w Belgii całkiem niezłe, ma ugadanego kupca, który bierze od niego towar po dwieście franków za sztukę, zamierza jechać w czasie wakacji jeszcze gdzieś dalej i na tę podróż musi sobie zarobić. Już ma oszczędności, trochę mu tylko brakuje, pogra z tydzień i będzie...

Podobna impreza istniała w Tuileryach. Francuzi musieli chyba upaść na głowę, bo zrobili tam coś okropnego...

No i proszę, myślałam, że w aneksie będzie jeden ogólny, zwyczajny melanz, a tu okazuje się, że jednak dojdą dygresje. Usiłowałam przypomnieć sobie, kiedy to było, i wyszło mi, że z ówczesnym pobytem we Francji wiążą się okoliczności towarzyszące. Tkwiałam w Danii, u Alicji. Poprzedniego roku na wyścigach w Charlottenlund spotkało mnie coś okropnego, mianowicie wymyśliłam trójkę, 2-7-10, w czwartej gonitwie, zaznaczyłam ją na kuponie jeszcze przed gonitwą trzecią, kupon wetknęłam do programu i zapomniałam zagrać. Przypomniałam sobie o tym, kiedy konie w czwartej gonitwie osiągały celownik i na trzecie miejsce wychodziła dziesiątka. Przed nią była dwójka i siódemka. O mało mnie szlag nie trafił na miejscu, przezornie nie sprawdziłam nigdy, ile płacili, wmawiając w siebie, że nie więcej niż trzysta koron, bo od trzech, na przykład, tysięcy . padłabym trupem, ale później bardzo już pilnowałam, żeby drugi raz w życiu takiego idiotyzmu nie popełnić.

Alicja wypatrzyła w reklamach wycieczkę do Paryża za siedemset koron, prawie darmo. Jej siostrzenica, Małgosia, kupiła sobie właśnie dom w Bretanii i z wielkim krzykiem zapraszała ją do siebie, nawet razem ze mną, bo spragniona była rady i pomocy w urządzaniu. Alicja nie rwała się namiętnie do ciężkiej pracy, ale miała chęć pojechać, z drugiej znów strony był sierpień, najgorętszy miesiąc w Paryżu, z trzeciej w ogóle zawsze lubiła jeździć, a tym razem mogłyśmy pomieszkać darmo w pustej willi szwagra j Małgosi, siedem minut pociągiem z dworca St. Lazare, z czwartej nie znosiła upału i razem wzięwszy, wahałyśmy się obie. Pojechałam na wyścigi, wciąż jeszcze wściekła i rozgoryczona przez tę trójkę z zeszłego roku, pilnowałam trójek, grałam je z zaciętością i wreszcie jedna przyszła.

Ubzdurzyłam sobie, że ósemka musi być trzecia i dołożyłam jej dwa konie z przodu. Grałam pojedynczymi kombinacjami, po pięć koron, żeby było taniej, zagrałam coś tam jeszcze i po skończonej gonitwie o mało nie wyrzuciłam biletu. Wyścigi odbywały się późno, światło na trybunach nie lśniło jasnością wielką, spojrzałam na bilet i wydało mi się, że na trzecim miejscu mam siódemkę. Już chciałam usunąć całą przegraną makulaturę, kiedy przypomniałam sobie, że przecież trzecia miała być ósemka i na niej się opierałam, to jak to. gdzie ta moja ósemka, która przyszła jak trzeba? Przyjrzałam się uważniej, żadnej siódemki nie miałam, ósemka znajdowała się na swoim miejscu, trafiłam trójkę.

Zapłacili tysiąc dwieście koron, zważywszy, że przedtem i potem przegrywałam, netto zostało mi na plusie siedemset dwadzieścia. Akurat koszt wycieczki do Paryża!

— Przeznaczenie — powiedziałam uroczyście do Alicji. — Nie wiem jak ty, ale mnie pcha do Francji siła odgórna.

Alicja zgodziła się z decyzją czynników nadprzyrodzonych i pojechałyśmy.

Pomijam drobnostki. Pomijam to, że musiałam sobie pożyczyć kieckę od Alicji, bo wyekwipowana byłam na Danię i nie miałam nic naprawdę letniego, pomijam, że cudem chyba nie pogryzłyśmy się na Saint Lazare, bo nie było pewne, która z nas powinna mieć adres willi szwagra, a upał dobijał, pomijam chwilę, kiedy Alicja zdjęła z siebie własną sukienkę i spytała mnie z zainteresowaniem:

— Jak myślisz, jak wyschnie, to już będzie stała sama...?

...pomijam to, że jedynym chłodnym miejscem w całym mieście była ławka na placu Pigalle koło wychodka, bo i tak nie mogłam tam przesiedzieć całego pobytu, pomijam koszmarną piramidę w Luwrze i książki Małgosi, które ustawiałam z nią do drugiej w nocy, pomijam...

Nie, zaraz, tego pominąć nie mogę. Francuzi wpadli w gigantomanię.

Ani Alicja, ani ja, nie czujemy gwałtownej potrzeby towarzystwa, lubimy być same. Nie latałyśmy po Paryżu razem, tylko oddzielnie. Skutki były imponujące.

— Byłam w dawnych halach — powiedziała Alicja wieczorem. — Słuchaj, tam zrobili coś niesamowitego. Wielka szklana ściana, za tą ścianą woda, pływa w niej rekin czy inna zaraza, coś jeszcze na górze, ale trzeba było płacić pięćdziesiąt franków za wstęp i nie wiedziałam, czy warto. Więc nie zapłaciłam i nie wiem, co tam było.

— Nie szkodzi — odparłam. — Pójdę tam, poświęcę te pięćdziesiąt franków i potem ci wszystko opowiem.

Pójść poszłam, ale żadnej szklanej ściany z wodą n e znalazłam, przeciwnie, znalazłam najpierw kwietnik z olśniewającą roślinnością, a potem olbrzymie centrum handlowe. Alicja centrum handlowego w ogóle nie widziała.

Następnie ona pierwsza pojechała do la Defense, ja zaś nazajutrz. Podzieliłyśmy się wrażeniami.

— Widziałaś taki plac z wielką bramą? — spytała ona.

— Oszalałaś, jaki plac? — zaprotestowałam. — Plac był, bez bramy, a czy ty widziałaś taki wielki słupek mozaikowy, z trzech części i każda w innym kolorze?

— Żadnego słupa nie było...

Wielkie jest to wszystko do tego stopnia, że traci ludzkie wymiary. Oglądałyśmy wszystko porządnie i dokładnie i każda widziała co innego. Pomijam już to, że w la Defense nie było sposobu wyjść z metra, poświęciłam bilet, bez skutku, zirytowałam się w końcu i przelazłam pod barierką. Kiedy ujrzałam, że tak samo czołgają się pod barierką jacyś bardzo nobliwi państwo w starszym wieku, uznałam, że widocznie tak trzeba, i przestałam się przejmować. Po czym znów nadziałam się na upiornie wielkie centrum handlowe, w dodatku we wnętrzu monstrualnego budynku. Chciałam wydostać się na zewnątrz. Słowo daję, że po francusku czytać umiem, rozumiałam napisy, pojechałam do góry, żeby z wierzchu zobaczyć, gdzie jestem, dostrzegłam światło dzienne, ucieszyłam się bez sensu, bo światło dzienne okazało się sztuczne i należało do restauracji ogródkowej, zjechałam na dół, zapadłam na klaustrofobię, przeszłam pół świata i trafiłam na parking samochodów dostawczych. Niech to piorun strzeli. Zaczęłam szukać autobusu, bo co jak co, ale autobus na zewnątrz z pewnością wyjeżdża. W rezultacie zwiedziłam la Defense autobusem i natknęłam się na ten trójkolorowy słup, a bramy nie widziałam i cześć.

Za to wtedy właśnie ujrzałam liczne bramy w Tuileriach. Nie wiem, kto wpadł na ten szatański pomysł, musiał być pijany. Przeszłam przez Karnak, propyleje, średniowieczne bramy miejskie i coś ruskiego, co bardzo przypominało bramę w Medyce. Chyba zrobione to było z tektury i szmat, idealnie jarmarczne i odpustowe, zdaje się, że ustawili nawet krakowski Barbakan, nie wspominając o Mykenach. Wstrząsające. Potem zaś znalazłam wesołe miasteczko i maszyny do flotacji miedzi. Osobiście wygrałam na nich zegarek, zapalniczkę, budzik turystyczny i telefon, z którym nie wiadomo było, co zrobić, bo do naszych instalacji nie pasował. Komuś go oddałam.

W każdym razie automaty do gry i flotacja miedzi opierają się na tej samej zasadzie i nie mam pojęcia, do czego mi się to może przydać.

Kolejną wiedzę zyskałam w Krośnie, dokąd udałam się na cykl spotkań autorskich. Być może miało to wpływ na mój wyścigowy rekord.

Pojechałam głównie dlatego, że chciałam zwiedzić hutę szkła. Orientowałam się, na czym ta cała robota ze szkłem polega, ale nie umiałam sobie tego wyobrazić. Jak się to dzieje, płynne ono, dmucha się, no dobrze, kiedy to ciało płynne przechodzi w ciało stałe? Jakim sposobem utrzymuje kształt, kiedy i jak stygnie, co się z tym robi po drodze? Musiałam to zobaczyć, bez obejrzenia procesu na własne oczy nie było dla mnie życia!

Do Rzeszowa poleciałam samolotem, stamtąd zabrano mnie furgonetką, bo samochodu już nie miałam, sprzedałam go pod wpływem Marka, który prawdopodobnie miał po



dziurki w nosie ustawicznych napraw, nakłonił mnie do pozbycia się rupiecia i zapewnił, że dostanę talon na fiata. Żadnego talonu nie dostałam, nie należałam do uprzywilejowanych, poza tym zaraz potem zaczęły się zmiany ustrojowe i talony znikły z naszej egzystencji. Pieniądzy nie miałam i pozostałam spieszona.

Główną siedzibę załatwiono mi w Krośnie i chyba od razu pierwszego dnia uparłam się przy tej hucie. W obawie zapewne, że zniecka odmówię udziału w spotkaniach, załatwiono sprawę i zaprowadzono mnie do hali produkcyjnej.

Widok okazał się przecudowny. Rzeczywiście to szkło było płynne, rzeczywiście dmuchano w kroplę masy, rzeczywiście robiły się z tego naczynia wszelkiego autoramentu, oszalałam z zachwytu i z żywą radością spędziłabym tam całe cztery dni, zaniedbując obowiązki służbowe. Znowu zostałam stamtąd wywleczona przemocą, dobrowolnie bym nie wyszła.

Przy okazji zwróciłam uwagę na urodę zatrudnionych w hucie jednostek płci żeńskiej. Zauważyłam jedną, potem drugą i trzecią, potem zaczęłam przyglądać się specjalnie. W życiu nie widziałam takiego nagromadzenia pięknych dziewczyn, jedna w drugą konkursowe! Zainteresowało mnie to, spytałam, czy dobiera się tu personel pod kątem wyglądu zewnętrznego, a jeśli tak, to z jakiej przyczyny? Dyrektor–podrywacz...? Otóż nie, wcale się ich nie dobiera. Krośnieńskie od lat słynie z urody kobiet i chciałabym wiedzieć, dlaczego się tego nie reklamuje? Tabuny chłopów z całego świata przyjeżdżałyby je oglądać i odnieślibyśmy dodatkową korzyść z turystyki. W hotelu udało mi się wprowadzić Europę. Jak zwykle po spotkaniach głód przekształcał mnie w dzikie zwierzę i uparłam się jeść kolację. Sala restauracyjna mogła odebrać apetyt nawet trzodzie chlewnej, szczegółów opisywać nie będę, każdy je zna, nie wyrzekłam się jednak posiłków, złapałam kelnera i poprosiłam o przyniesienie pożywienia na górę do pokoju hotelowego prywatnie. Służbowo tak wyszukana obsługa gości nie była praktykowana. Zrozumieliśmy się wzajemnie i w ciągu całego pobytu jadałam u siebie bez dodatkowych wrażeń.

Zaplanowałam sobie wszystko tak, żeby wrócić do Warszawy w sobotę rano i zdążyć na wyścigi. Samolot miałam z Rzeszowa około szóstej, może o szóstej trzydzieści. Wstałam o czwartej piętnaście, furgonetka przyjechała punktualnie, po drodze na lotnisko obejrzałam sobie piękny wschód słońca, zdążyłam bez problemu, po czym pojawiły się kłopoty z bagażem.

Obsługa w postaci bardzo grzecznej i sympatycznej pani zapragnęła obejrzeć zawartość mojej torebki. Nie miałam nic przeciwko temu, ale życzenie mnie zdziwiło. Po dłuższej

chwili dopiero zorientowałam się, iż padam ofiarą akcji antyterrorystycznej, mogłabym mieć broń i porwać samolot. Ewentualność zainteresowała mnie od razu, żadnego porywania, stanowczo chciałam wylądować w Warszawie, wzięłam udział w rozważaniach, co może być niebezpieczne, a co nie. Moje nożyczki do manikiuru na przykład, wożone w kosmetyczce, niby małe, ale bez trudu da się nimi pilotowi odciąć ucho. Torbę miałam tylko podręczną, niczego nie oddawałam na bagaż i od razu pojawiła się zgryzota, w Krośnie kupiłam kieliszki, szkła przewozić nie wolno, nie dość na tym, posiadałam także wielki fajansowy garnek, w którym gotowałam sobie wodę na herbatę, gruby, ciężki i z uchem. Co z tym fantem zrobić?

— Garnek nie — powiedziała stanowczo. — Ten garnek niech mi pani zostawi, przyłożyć nim komuś w łeb i efekt murowany. W razie gdyby się tu objawił jakiś porywacz, wkroczę do akcji, bo mi bardzo zależy na Warszawie. Rąbnę od tyłu w potylicę.

Pani z obsługi ujrzała we mnie sprzymierzeńca i machnęła ręką na mój stan posiadania. Polecałam ze wszystkim, porywacza, chwalić Boga, nie było.

Na wyścigi zdążyłam śpiewająco i zagrałam triple. Na wszelki wypadek wyjaśnię, co to jest, bo nie-gracze, których, mimo wszystko, jest więcej niż graczy, mają prawo tych rzeczy nie pamiętać. Otóż tripla są to konie wygrywające w trzech kolejnych gonitwach, należy odgadnąć, który będzie pierwszy w gonitwie na przykład trzeciej, czwartej i piątej. Może być także pierwsza, druga, trzecia albo szósta, siódma i ósma, obojętne, można grać również wszystkie triple jak leci, zawsze składając te gonitwy po trzy.

W skład jednej z tripli owej soboty wchodziła imienna gonitwa klaczy, nie pamiętam już jaka, ale szła w niej absolutna faworytka całego toru, niejaka Implozja. Na Implozji, klaczy dotychczas nie pobitej, jeździł Mełnicki, który chyba akurat wyjechał. Nie było go w każdym razie i zamiast niego miał jechać Filipowski. Wśród licznych rozważań pomyślałam, że Filipowski tak jak Mełnicki nie pojedzie, to mowy nie ma, Mełnicki, pierwszy dżokej toru, jeździł genialnie i nikt mu nie dorównywał, Filipowski pojedzie gorzej, może popełni jakiś błąd, o co w takiej kupie koni nietrudno, na wszelki wypadek zatem należy zagrać coś jeszcze. Pytanie co?

Obejrzałam program z uwagą, szło tych klaczy może dziewięć, a może jedenaście, też nie pamiętam. Wszystkie dobre i mniej więcej jednakowe, wszystkie miały szansę. Postanowiłam dać sobie spokój z końmi i zagrać na jeźdźców, kto ostatnio leci do przodu...? Warsztocci! Bardzo dobrze, dostawię do Implozji Warsztockiego na Alpinie.

Tak uczyniłam, po czym okazało się, że miałam jasnowidzenie, Filipowski popełnił nawet dwa błędy, w ostatniej chwili poszedł na duże koło, nie zdołał tego nadrobić i był drugi o krótki łeb. Wygrała Alpina, a na niej rozszalały Warsztocki, który chyba chciał dostać kontrakt do Niemiec i dlatego tak się starał. Za triplę bez Implozji zapłacili dwieście siedemdziesiąt cztery tysiące złotych i był to mój rekord życiowy. Dla porównania komunikuję, iż za spotkanie autorskie, katorżniczą pracę, o której już pisałam, płacono wtedy jeden tysiąc. Gdybym potrafiła nabyć samochód we własnym kraju, pewnie bym go sobie wtedy odkupiła, ale ta umiejętność była mi niedostępna. Giełdy bałam się panicznie.

Wszyscy mnie potem pytali, skąd wzięłam Alpinę, i nikt nie chciał uwierzyć, że wcale nie grałam Alpiny, tylko Warsztockiego. Nabrałam obaw, iż warunkiem mojego bogacenia się na wyścigach są wczesne poranki, muszę wstawać o czwartej rano, żeby wygrać. Może były to słuszne obawy, ale do dziś tego nie sprawdziłam, o czwartej rano wstawałam tylko na bursztyn.

Zaniedbałam także działkę, która wlokła się za mną przez blisko trzydzieści lat i zatruwała mi życie w różnym stopniu. Ogólnie biorąc, lubię działkę. Nie tylko działkę, lubię w ogóle ogród. Lubię kopać, sadzić, siać, nawet pielnić, i generalnie grzebać w ziemi, lubię także zbierać plony i łuskać fasolę. Nasza rodzinna działka jednakże dokopała mi potężnie, szczególnie pod koniec swego istnienia.

Przez długi czas uprawiali ją we troje, moja matka, mój ojciec i Lucyna, potem już tylko moja matka z Lucyną. Lucyna mieszkała prawie naprzeciwko wejścia, po drugiej stronie ulicy, i problem komunikacji dla niej nie istniał, moja matka korzystała z mieszkania siostry i też było to dla niej bardzo wygodne, od siebie zaś, z Niepodległości, jechała jednym autobusem, który miał przystanek pod domem Lucyny. Sama radość. Ja jednakże, bez samochodu, musiałam jechać już dwoma autobusami i kiedyś specjalnie sprawdziłam, podróż na działkę ode mnie z domu trwała pięćdziesiąt minut. Nigdy w życiu nie miałam nadmiaru czasu.

Nie miałam także kluczy. Ani do bramy, ani do furtki, ani do altanki. Do dzisiejszego dnia w głowę zachodzę, dlaczego te piekielne baby nie dały mi kluczy, które w końcu łatwo było dorobić, a ich brak stanowił uciążliwość potworną. Zdawałoby się, że przebywały tam bezustannie, od wiosny do jesieni, a pomimo to jakimś tajemniczym sposobem nie trafiałam na nie co najmniej dwa razy na trzy wizyty i nie mogłam się dostać do środka, co mnie w końcu tak zirytowało, że prawie przestałam przychodzić.

Miały o to pretensję, więc próbowałam umawiać się konkretnie, też ze złym skutkiem. Zdobywszy samochód, przez kilkanaście lat stanowiłam komunikację, woziłam krowie łąjno i niegaszone wapno, wapno rozsypało mi się po bagażniku, dobrze chociaż, że nie było akurat deszczu. Angażowałam się do robót ściśle określonych, kopanie na wiosnę, zbieranie i kopanie na jesieni, na drobnostki brakowało mi czasu. Lucyna z moją matką uprawiały tę działkę tak, że dostawały nagrody, była to ich mania, hobby, szmergiel i samo szczęście, wszystkiego miały tam za dużo i znęcały się nad otoczeniem, żądając zabierania sobie pomidorów, buraczków, cebuli, sałaty, selerów, jabłek i diabli wiedzą czego jeszcze. A, porzeczek. Od porzeczek w ogóle można było zwariować...

Poza wszystkim, miałyśmy sprzeczne poglądy, one co innego, ja co innego. Na początku rosła tam grusza prababci z Tończy, Lucyna postarała się o sadzonkę, owoce z tej gruszy przerastały wszelkie pojęcie, ale coś jej się stało. Byłam zdania, że należy ją ratować, może przeszczepić na inną, dałoby się to zrobić, ale nic takiego nie nastąpiło. Ścięły ją, zdaje się, że z rozpędu, i same później tego żałowały. Ku mojej rozpaczce wyrzuciły maliny, twierdząc, że rozrastają się przesadnie i trzeba z nimi walczyć. Nie wtrącałam się przesadnie, bo mój udział w pracy był nikły, niemniej cierpiałam głęboko i czułam się zniechęcona.

Oczywiście przebywały tam często moje dzieci. Jerzy dostał grządkę do swojej wyłącznej dyspozycji i na bazie tej grządki udowodnił pochodzenie po kądzieli. Odezwały się w nim cechy praprababci, posiał tam i posadził co popadło, niektóre rośliny do góry nogami, nie szkodzi, wyrosło wszystko. Zostałam specjalnie wezwana, żeby obejrzeć tę dżunglę, rzeczywiście, zbite kłębowisko flory wręcz szalało, w samym środku zaś wesoło dojrzewały pomidory jak pięść. Miał, znaczy, rękę po przodkiniach i może szkoda, że nie został ogrodnikiem.

Robert zięlska nie znosił, na prace ziemne się otrząsał, za to wykonał wózeczek, który wprawdzie nie mieścił się w furgonku, ale poza tym był doskonały. Przez całe lata był to eden, istniejący na marginesie mojej egzystencji, po czym przyszła chwila, kiedy musiałam zaangażować się silniej. Nastąpiło to już po śmierci Lucyny, moja matka nie dawała sobie rady i należało jej pomóc. Ogólnie, w ostatnich latach, wysoce użyteczny okazał się Marek, drzewa przycinał fachowo, przerzucanie kompostu w jego wykonaniu robiło wrażenie miłej rozrywki, wreszcie zrobił daszek nad drzwiami altanki i zdaje się, że koniec świata nastąpi, a ten daszek jeszcze będzie trwał. Później jednakże wyłączył się z mojego życiorysu i całą robotę odwalalam sama.

No dobrze, nie da się ukryć, że moja matka uparła się jakby urozmaicić mi życie. Przede wszystkim była wyraźną piromanką, uwielbiała palić ognisko, a im większe, tym chętniej. Nie udawało się jej pohamować, nie bacząc na warunki atmosferyczne, podstępnie pchała do ognia całe naręczka zdrewniałych łodyg, ścięte gałęzie peonii, suche liście wielkimi kupami, dziwne się wydaje, że nie sfajczyła całego Okęcia. Do tej pory jeszcze nie wyrzuciłam bluzki, która ma na plecach wypalone wielkie dziury, bo była to moja najukochańsza bluzka i wciąż mam nadzieję na załatanie braków.

Przy obcinaniu suchych gałęzi błagałam ją na wszystkie świętości, żeby mi przestała pomagać. Jednym patykiem omal nie wydlubała mi oka, zdążyłam cofnąć głowę i zyskałam tylko zadrapanie na twarzy, grubszym kawałkiem przyłożyła mi w ciemność. Była niecierpliwa, śpieszyła się, jej spontaniczna pomoc groziła człowiekowi konsekwencjami nie do przewidzenia. Dlatego wpadłam w panikę w Kanadzie, kiedy obie z Teresą ścinałyśmy suchą sosenkę na stromej skarpie nad jeziorem, a moja matka pojawiła się nad nami z siekierą w dłoni, zamierzając nam pomóc. Włos mi się zjeżył na głowie.

— Teresa, uciekajmy!!! — wrzasnęłam rozpaczliwie.

Teresa zaczęła się awanturować i moja matka z wielkim żalem zrezygnowała z udzielania pomocy. Uszłyśmy z życiem.

Na działce uparcie łąpała się za najcięższe prace, głównie zajęta byłam wydzieraniem jej z rąk wideł, topora i łopaty. Grzecznie prosiłam, żeby zajęła się pieleniem, może siedzieć na stołeczku i kawałek po kawałku usuwać zielsko, owszem, dlaczego nie, robiła to, kiedy mnie nie było. W mojej obecności rwała się do roli Horpyny.

Klątwa jakaś musiała wisieć nade mną, bo rodzona matka w najlepszych zamiarach przyczyniała mi szkód. Też miałam tam dla siebie jeden narożnik, który został poświęcony moim zielskom, a robiłam już wtedy suche dekoracje i nieśmiertelniki były mi niezbędne. Posiałam je, wyrosły gęsto i o to mi chodziło.

Moja matka rozflancowała je porządnie i rzadko, część wyrzucając, bo rzadko się nie mieściły. O mało się nie popłakałam.

— No i po co ci to było? — pytałam z rozpaczliwym wyrzutem. — Mało masz roboty na całej reszcie? To miał być mój kawałek, co cię pcha do mojego kawałka?!

— Przecież mówisz, że masz mało czasu, więc chciałam ci pomóc...

Przez trzy lata usiłowałam wyhodować zatrwan, który ma to do siebie, że musi kiełkować pod przykryciem. W domu się nie udawało, posiałam na działce, w zakamarku, przykryłam dużym pudełkiem od butów, na wierzchu ułożyłam kamienie, żeby już nie

było wątpliwości. Kiedy przyszedłam po trzydniowej przerwie, zarówno po pudełku, jak i po zatrzymaniu nie było nawet śladu. Moja matka uprzątnęła niepotrzebny śmieć.

Za to groszek załatwiła koncertowo. Przy braku czasu koniecznie chciałam przerzucić się na rośliny wieloletnie, duży trawnik i ozdobne krzewy. Zaczęłam czynić starania, żeby uzyskać coś, co nie mam pojęcia, jak się nazywa, ale z pewnością jest byliną z rodziny motylkowatych, podobne nieco do groszku pachnącego, rozrasta się samo, kwitnie długo i obficie, tyle że kwiaty nie pachną. Kradłam jesienią strąki od sąsiada bez żadnych wyrzutów sumienia, głęboko przekonana, iż utrata trzech strączków wielkiej szkody mi nie przyczyni. Z pewnością dałby mi je w prezencie, ale kradzione lepiej się chowa. Siałam to wszędzie, w domu, na działce i na balkonie, bez skutku, trzy lata się męczyłam, wreszcie dwie drogi równocześnie doprowadziły mnie do celu. Jedno małe, wiosenne kłaczko z determinacją rąbnęłam sąsiadowi zza siatki, za siatką tego mieć nie chciał, usuwał co roku, znów zatem mogłam sobie na to wykroczenie pozwolić, a równocześnie posiadała żołądź moja matka. Mojej matce oczywiście wyrosło. Zabrałam skrzynkę, rozsadziłam roślinkę na działce i wreszcie miałam upragniony gąszcz, z tym że to sąsiedzkie rozpleniło się najszybciej.

Trzydziestoletnią śliwę ścięłam za trzecim podejściem. Miał to zrobić Marek, ale wystawił mnie rufą do wiatru, tak samo jak z mieszkaniem Lucyny, rozzłościłam się, poza tym panicznie bałam się pomysłów mojej matki, postanowiłam odwalić robotę. Racjonalnie, w zimie, w śniegu i mrozie. Miałam dwie siekiery i trzy piły, umęczyłam się za wszystkie czasy i dopiero później odkryłam, iż wszystkie narzędzia były beznadziejnie tępe. A dziwiło mnie trochę od samego początku, że tak jakoś nędznie tną... Większość drzewa usunęłam, jeden potężny konar został na peoniach, bo już nie miałam do niego siły, a, ostatecznie, w styczniu peonie z ziemi nie wystają i nic im to nie przeszkadza. Zamierzałam pociąć go i przenieść nieco później, ale moja matka, rzecz jasna, zdążyła przede mną, przewlokła cholerny konar, po czym to odchorowała.

Kłęska ostateczna nastąpiła po pierwszym powrocie z Kanady.

Pozostawiona własnemu losowi działka przez dwa miesiące przeistoczyła się w dziką puszczykę. Żeby przez nią przejść, musiałam przedzierać się z łopatą w rękę, brakowało mi maczety, osty dzielnie konkurowały z kwitnącą sałatą, rozszalały się nagietki, lebioda mogłam wykarmić całą kaczę fermę, wszystko razem tworzyło jeden zbity gąszcz. W dodatku załęgło mi się tam coś nowego, jakieś tajemnicze pnącze, które oplotło nawet drzewa, nie mówiąc o siatce, porzeczkach i wszystkim, co rosło pomiędzy krzakami. Ładne było nawet, miało kolczaste kulki, ale śmierdziało przerażająco. Podobno ktoś to

przywiózł ze Związku Radzieckiego, trafił akurat na wietrzne dni i rozsiało mu się po całym terenie. Uparte było przy tym, jeszcze w dwa lata później wrywałam resztki.

Kiedy po przeszło dwóch tygodniach dotarłam wreszcie do ostatniego narożnika, okazało się, iż na krzaku porzeczek ptaszek uwił sobie gniazdko, wyhodował pisklętka i odfrunął, w czym mu nikt nie przeszkadzał. Niegłupi ptaszek, przeczuł widocznie, że będzie tu miał święty spokój.

Nie zdołałam przed zimą pozbyć się chwastów do końca. Ogromnie zadowolone z życia, wiosną ruszyły na nowo i walce z nimi musiałam poświęcać większość sił i czasu. Z różami dokonałam eksperymentu, nie przycięłam ich wcale, ciekawa, co z tego wyniknie. No owszem, efekt był niezły, nowe pędy wyrosły na trzy metry, zagradzając przejście od furtki do altanki, drapały po rękach i nogach i szarpały za włosy. Jabłka znieawidziłam już na jesieni, opadły wszystkie i zaczęły gnić, wykopałam wielki dół i usiłowałam je tam zebrać, bo niby co mogłam zrobić innej pod mirabelką ułożył się gruby czerwony dywan, dość, że musiałam go usunąć, to jeszcze w dom z obłędem w oczach robiłam z tego konfitury i marynaty, bardzo dobre to było, owszem, ale co się uchetałam, to moje. Wracałam tak zmęczona, że o pracy nie mogło być mowy. Zaległo się we mnie straszne przekonanie, że będę zmuszona się powiesić.

Można uprawiać działkę w jedną osobę, dlaczego nie? Ale jedno z dwojga, albo musi to być ogród przy domu, gdzie człowiek znajdzie się uczyniwszy trzy kroki, albo, porzuciwszy dom i wszelkie inne zajęcia, trzeba na niej przebywać przez pięć dni w tygodniu od rana do wieczora. Tak jak jedna facetka, której działkę oglądałam, przechodząc na swoją. Oko biegało. Tkwiła tam nie przez pięć, a przez siedem dni w tygodniu od wschodu do zachodu słońca, wylizując pieczołowicie każdy centymetr kwadratowy.

— To jest ostatnia miłość mojego życia — zwierzyła się jednemu sąsiadowi uroczyście i ze wzruszeniem.

Nie mogłabym tego samego o sobie powiedzieć.

Co gorsza, wyrósł na tej upiornej działce orzech włoski. W przyływie lekkomyślności obie z moją J matką posadziłyśmy w doniczce dwa orzechy różnych gatunków, jeden zwyczajny, a drugi bardzo wielki, i zostawiłyśmy je własnemu losowi. Oba orzechy, żeby je piorun strzelił, wykiełkowały. No dobrze, wykiełkowały, rosną, należy je wsadzić do ziemi, nie oba, jeden, ten wielki. Znakomity pomysł, ale który to jest ten wielki...?

Wsadziłyśmy oba, uznawszy, że okaże się w praniu. Poznamy po owocach, po czym ten mały się zetnie. Do tej pory oba rosną i już od trzech lat owocują, ale nadal nie wiem, który jest który.

Rozszalał mi się perz. Do działań radykalnych nie byłam zdolna, bo zawsze żał mi każdej rośliny, musiałabym wyrwać pigwę, wygrzebać wszystkie cebulki narcyzów i żonkili, usunąć drobne różyczki, nie pamiętam co tam jeszcze, ale zniszczyć mnóstwo. Usiłowałam pozbyć się perzu bez szkody dla otoczenia, łatwo zgadnąć, że perz wygrywał bez bata.

Wykończyło mnie coś, co jednak musiało być klątwą.

Od wielu lat przywoziłam od Alicji różne cudownie piękne zielska, oczywiście byliny, i sadziłam je na działce. Nie podobało im się u mnie, tam chyba miały lepszą ziemię, nie chyba, z pewnością. Tutaj nie chciały rosnąć, marniały, przywoziłam je ponownie, podjęły wreszcie męską decyzję i ruszyły odrobinę bujniej. Patrzyłam na nie tkliwie i z nadzieją, że wreszcie uda mi się uzyskać stały ogród, będzie to kwitło samo, a ja się zajmę wyłącznie trawnikiem. Jeszcze rok, jeszcze dwa...

Nadzieja przetrwała dwa miesiące. Nie dawałam rady sama i różne zaprzyjaźnione osoby przychodziły mi z pomocą. No i za którymś razem wypielili mi to wszystko do czarnej ziemi naprawdę porządnie i radykalnie. Wtedy się poddałam. Niech się nikomu nie wydaje, że to, o czym tu piszę, stanowi drobiazg, barachło i w ogóle bzdety. Kosztowały mnie te ogrodnicze starania co najmniej trzy książki i średnią nerwicę, w zimie jeszcze pół biedy, ale od wiosny do jesieni coś człowiekiem szarpie. Usiąść do roboty czy jechać na działkę...? Po działce o robocie nie ma co marzyć, nie tylko ręce drętwieją, także umysł. Co drugi dzień...? A jeśli będzie lato? A ta cała reszta spraw...?

Nie sprzedawałam tej gangreny, bo pozbycie się jej na zawsze i nieodwracalnie było ponad moje siły. Oddałam ją w prezencie Basi, synowej Marka. Istniał żaden powód, dla którego miałabym zrywać wszelkie kontakty z jego dziećmi, pozostaliśmy przyjaźni, Basia urodziła wreszcie upragnione dziecko, prześliczną dziewczynkę, poszła na długi urlop macierzyński, przyrodę zawsze lubiła i miała o niej pojecie, chętnie przyjęła podarunek. Już wcześniej odwaliała tam robotę. Zawarłyśmy układ, przepisałam działkę na nią, ale pozostało mi prawo bywania i pozyskiwania kwiatów, gruszek i tych cholernych mirabelek, mam klucze i mogę tam iść, kiedy zechcę. Zdaje się, że od dwóch lat nie udało mi się to raz.

Ogród mają za to moje własne dzieci... No trudno, dokonam drgnięcia w czasie, bo tematycznie pasuje. Ratunku!



Dlaczego ja ciągle muszę mieć w życiu taką skomplikowaną mieszankę?

A, już wiem. Bardzo dawno temu na pytanie, jaki jest mój ideał szczęścia, odpowiedziałam: urozmaicone życie. Musiałam wymówić te słowa akurat w złą godzinę. Irena, moja przyjaciółka ze studiów, miała więcej rozumu, na to samo pytanie odparła: urozmaicone NA PRZYJEMNIE życie.

Lęgną mi się właśnie wątpliwości, czy ta zła godzina nie zahaczyła także i o nią. Mieszka w Kalifornii, zdaje się, że ostatnie kalifornijskie urozmaicenia nie zaliczały się do najprzyjemniejszych...

Bardzo dawno temu. raz w życiu, miałam ischias, czyli tak zwane korzonki. Moje dzieci były już doskonale wyrosnięte, co okazało się czystym błogosławieństwem. Samodzielnie podnieść się na tapczanie ~ w żaden sposób nie mogłam, przy dzieciach technika była prosta. Uczepiałam się zgiętej ręki któregośkolwiek syna i reszta należała do niego, obaj podnosili mnie do pozycji siedzącej bez najmniejszego wysiłku. Nie chorowałam długo, po tygodniu dolegliwości zaczęły mijać, a na drobne resztki nie zwracałam uwagi.

Późną wiosną, kiedy moja matka była już ciężko chora i miała w domu tę całą Akademię Medyczną, siedząc przy maszynie, poczułam nieprzyjemność w kręgosłupie. Zmartwiona pomyślałam, że znów te korzonki, żeby je szlag trafił, nie miały kiedy wyskoczyć. Przyłożyłam sobie termofor i niecierpliwie oczekiwałam poprawy, ale nie nastąpiła. Gorzej, wyszło na jaw, że to nie łagodne i niewinne korzonki, tylko koszmar zupełny, zapalenie nerwu kulszowego.

Przeleżałam jeden dzień, na więcej nie mogłam sobie pozwolić, musiałam bywać na Niepodległości. Nocą chodziłam po mieszkaniu, wydając z siebie słabe jęki, bo na głośne wycie brakowało mi siły. Produkty przeciwbólowe nie miały na mnie wielkiego wpływu, rozmaite wrażenia wzmogły się przez lekki niedowład lewej nogi. Do żadnych niedowładów nigdy nie byłam przyzwyczajona, popełniłam nieostrożność i wychodząc z domu, przewróciłam się z dużym impetem we własnej bramie. Okazało się to wysoce korzystne, ponieważ rąbnęłam się rzetelnie z jednej strony w tyłek i dzięki temu jakieś coś wskoczyło na swoje miejsce. Poczułam lekką ulgę, rozum na nowo zaczął mi działać i pazurami uczepiłam się pani Wandy, bioterapeutki, tej samej, którą bez chwili namysłu zaakceptowała Karo.

Pani Wanda diagnozę postawiła bezbłędną i pouczyła męża, służącego jako siła fizyczna, co ma ze mną zrobić. Mąż zrobił, z dużą wprawą. Przyznaję, że po pierwszym zabiegu przez długą chwilę odzyskiwałam dech, potem jednakże zaczęło być lepiej, ani

Wanda powiadomiła mnie, skąd się to świństwo w ogóle wzięło i jaki z pewnością zrobiłam ruch, żeby się wrębać w okropną dolegliwość, zgadzało się idealnie, taki właśnie ruch uczyniłam z czystego lenistwa. Nie chciało mi się wstawać z krzesła, żeby sięgnąć po pomoc naukową, stojącą za mną na niskiej półeczce, odwróciłam się częściowo i wygięłam, ile mogłam. To się nazywa: lenistwo ukarane.

Już mi ta rwa kulszowa zaczynała przechodzić, bolało zwyczajnie, niedowład jeszcze się trzymał i miałam kłopoty ze schylaniem się, ale jednak było lepiej, kiedy w sklepie ogrodniczym trafiłam na lilie.

Moje dzieci miały w ogrodzie w połowie las brzozowy, a w połowie trawnik i nie życzyły sobie żadnych głupich roślin. Nie mogłam im wytłumaczyć, że z bylinami nie ma sprawy, same rosną, ja swoje, oni swoje, mówił dziad do obrazu. Zgniewało mnie to.

W Kanadzie, chodząc do parku z Zosią i Moniką, czyli z moją drugą synową i wnuczką, widziałam coś precudownego. Na ogromnym trawniku znajdował się jeden klomb lilii, w kształcie rogala, gęsty, bujny i kwitnący wszystkimi kolorami. Wyglądało to tak zachwycająco, że postanowiłam tutejszym dzieciom urządzić podobną dekorację. Kupiłam te lilie i zrobiło się śmiesznie.

Samo nabycie roślin nie wystarcza, należy je posadzić, w dodatku w czasie nieobecności państwa, żeby nie zawracali głowy. Do tego niezbędne były wysiłki fizyczne, do których ciągle jeszcze nieszczególnie się nadawałam. Tym sposobem miałam razem: moją matkę na Niepodległości, pracę zawodową w domu, lilie w Konstancinie i rwę kulszowa wszędzie, trzeba było jakoś to ze sobą pogodzić.

Chwilę, kiedy dzieci w domu nie było, znalazłam dość łatwo. Mój syn w pracy, Karolina w szkole, moja synowa załatwia coś na mieście, w domu zostaje pies. I tatuś.

Ojciec mojej synowej, Bohdan... No dobrze, sprostuję go od razu. Tak naprawdę Bohdan ma na imię Bogusław, wobec czego występuje w życiu nie jako Bohdan, tylko jako Bogdan, przez „g” w środku. Zwrócono mi na to uwagę. W porządku, niniejszym dokonuję korekty i będę się odtąd posługiwała Bogdanem.

Bogdan zatem przebywał u dzieci często, pilnując to psa, to robotników, to Karoliny, to czegoś jeszcze innego. Umówiłam się z nim potajemnie, zabrałam Maćka, męża Anki, mojego kościelnego zięcia, i pojechaliśmy z torbą cebul.

Sadziliśmy te lilie we troje w okropnym pośpiechu i może trochę dziwnie. Maciek kopał dół, Bogdan donosił torf, bo pod trawą ziemia była piaszczysta, ja sadiłam. Nie mogłam się schylać i utykałam je byle jak. Maciek kopał za płytko, bo głębiej mu się nie chciało, Bogdan nie nadążał z torfem i gdzieś tam posypywał nim wierzch. Chyba

żadne lilie na świecie nie były sadzone równie idiotycznie i zgoła nie do pojęcia jest fakt, że nie tylko wyrosły, ale nawet zakwitły. Karo wytarzała się w nich tylko raz i złamała jedną, która zdążyła odbić. Moje dzieci po namyśle wyraziły zgodę na powiększenie ukwieconego terenu i mam wielkie nadzieje, że bez rwy kulszowej zdołam w przyszłym roku posadzić rośliny porządniej. W tym roku nie zdążyłam wcale.

Cofnę się, z tego wyłącznie powodu, że właśnie mi się to przypomniało. Ani to nie siedzi w chronologii, ani nie jest na temat. Za to głupie.

Pracowałam wtedy w Danii, u Fritza, na Fiolstraede. Nade mną, piętro wyżej, też znajdowało się małe biuro projektów, w którym zatrudniał się jeden rodak. Przychodził niekiedy na pogawędkę.

Raz przyszedł, przywitał się, za nim zaś wszedł jakiś Murzyn, bardzo czarny, ale mało murzyński, rysy miał raczej arabskie. Zatrzymał się przy drzwiach i oparł o futrynę.

— A ten pan, to co? — spytałam tak sobie, dla draki. — Też mówi po polsku?

— A dlaczego mam nie mówić, proszę pani? — odparł Murzyn najczystszą polszczyzną i bez żadnego obcego akcentu.

Trzeba przyznać, że mnie ustrześlił. Żeby chociaż był mniej czarny...! Okazało się, że jest to Sudańczyk, który przez osiem lat przebywał w Polsce, teoretycznie studiując, a w praktyce zajmując się interesami, aż go w końcu wyrzucili. Zaprzyjaźniony z rodakiem z góry, przyjechał do Danii i zdaje się, że właśnie zaczynał szukać sobie nowego pola do działania.

Skoro już przypominałam sobie o tym ni przypiął, ni wypiął, załatwię inne zaniedbane drobnostki językowe, na razie te, w których polski język objawiał się znienacka.

Alicja kupowała coś w kiosku na Ratuszplacu, rzecz jasna w Kopenhadze. Stałam obok.

— Pić mi się chce — powiedziałam niecierpliwie. — Pośpiesz się w ogóle, muszę siusiać.

— Niech się pani na coś zdecyduje — odezwał się surowo facet za mną. — To są sprzeczne potrzeby.

Następnie narwałam się na „Batorego”.

Przyzwyczajona mimo wszystko, że w Danii nikt mnie nie rozumie, spotkałam się w poczekalni portowej z matką Elżbiety, Marysią, jadącą do Kanady i wiozącą dla mnie pierogi. Tłum z „Batorego” kłębił się wokół nas.

— O Jezu, jaka okropnie gruba baba! — rzekłam równie beztrósco, jak potępiająco.

Marysia wzdrygnęła się niespokojnie, a gruba baba spojrzała na mnie takim wzrokiem, że z samej przyzwoitości powinnam paść trupem. Zupełnie zapomniałam, że ci z „Batorego” rozumieją po polsku doskonale.

W Polsce, obie z Alicją, pilotując przez trzy dni dwoje Francuzów, ulizanego blondyna i Murzynkę, skołowane nieco francuskim językiem, też straciłyśmy rozeznanie i umiar. Francuzi polskiego nie znali i można było przy nich mówić, co się chciało, starając się najwyżej o wdzięczny wyraz twarzy bez względu na treść. W kawiarni w Wilanowie poszłam z dziewczyną do toalety, w której siedziała potwornie długo. Zniecierpliwiona Alicja czekała z chłopakiem przy stoliku.

— Coście robiły tyle czasu w tym sraczu? — spytała na nasz widok pełną piersią i z miłym uśmiechem, usiłując ukryć irytację.

— To nie ja, to ona — odparłam, zanim zdążyłam dostrzec, że wszystkie głowy odwróciły się ku nam. Społeczeństwo siedziało tam tubylcze.

Zapomniałam także o niektórych kwiatkach algierskich, bo na optycznych pomyłkach Roberta wcale się nie skończyło. Rzadko przyjeżdżał tam ktoś z opanowanym językiem francuskim.

Jedna kontrahentka udała się na targ i koniecznie chciała kupić kilo mięsa z guzika. Chodziło o baraninę, *le mouton* i *le bouton* pomieszały jej się z łatwością, ominęła barana i upierała się przy guziku. Druga dla odmiany żądała pół kilo holu. Takiego eleganckiego holu. Na myśli miała, rzecz jasna, wątróbkę, rozbudowaną nieco, wyszło jej z tego foyer. Rezultatów tych starań nie znam, przypuszczam, że jednak swoich zakupów dokonały.

Rekord znów pobiło moje młodsze dziecko, Robert. Znalazł się na suku i wdał w pogawędkę z Arabem, prawdziwym, tubylczym, w burnusie i turbanie.

— *Vous—etez Russe?* — spytał Arab.

— *Non, et vous?* — odparł Robert grzecznie i bez namysłu.

W polskim przekładzie brzmi to nieco mniej błyskotliwie, ale podam tekst:

— Pan jest Rosjaninem?

— Nie, a pan?

Rzecz polegała na tym, że wszystkich naszych szlag trafiał i cholera trzęsła, kiedy ich brano za Rosjan. Nie chcieliśmy pochodzić ze Związku Radzieckiego. Widząc efekt, Robert zaczął stosować odpowiedź nagminnie i możliwe, że niektórym dał coś do myślenia, rodacy w każdym razie popierali go z zapalem.

Przy okazji mogę skorygować opisaną wcześniej sytuację w Tiarecie, kiedy to moje młodsze dziecko mieszkało w samochodzie. Czynię to niechętnie, bo ciągle jeszcze jestem na nich zła, i wyłącznie z poczucia elementarnej sprawiedliwości.

No dobrze, Janka z Donatem nie mieli dla siebie całego domku, mieszkały z nimi co najmniej dwie dodatkowe osoby, które uparcie myślę i mieszam, ponieważ moja pamięć ulega charakterowi. Ale łazienkę można mu było udostępnić. A może nawet i posiłki. Wiem, że nie chciał, no i co z tego? Na uciążliwe przypadłości własnego syna mogę, ostatecznie, reagować nieco przesadnie oraz irracjonalnie. Uparłam się i będę.

Ponadto jestem święcie przekonana, że natychmiast po oddaniu tego ostatniego tomu do druku dowiem się o dalszych atrakcjach językowych, które wszyscy zaczną mi przypominać. Przepadło, niech sami piszą dodatki i sprostowania!

Tak prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego uczepiłam się akurat języków, bo wcale nie o to mi chodziło. Zamierzałam napisać o spadku.

Ciocia Jadzia dzwoniła kilkakrotnie, zwierając mi się zmartwionym głosem, że ma kłopoty. Umarła jakaś daleka krewna, stopień pokrewieństwa pozostał dla mnie tajemnicą, ale mam wrażenie, że matka krewnej i moja babcia były ciotecznymi siostrami, a może jeszcze dalej, matka nieboszczki była ciotką babci, wszystko jedno, w każdym razie jakiś wspólny przodek istniał, a zaraz po wojnie obie, nieboszczka i jej matka, mieszkały jakiś czas u babci na Pradze, bo nie miały się gdzie podziać, straciły wszystko, ciocia Jadzia z babcią pomagały im, ile mogły, nie trwało to długo, rychło stanęły na własnych nogach i stosunki rodzinne uległy rozluźnieniu.

Nie wiem, co robiła matka, siłą rzeczy już nie bardzo młoda, ale wiem, że córka podjęła pracę u złotnika i siedziała w biżuterii. No dobrze, wyznam od razu. Wetknęłam tę całą historię w *2/3 sukcesu* i teraz muszę się porządnie zastanowić, co było prawdą, a co wymyśliłam.

Złotnik gwarantowany. Zamążpójście owej córki też. Mąż był człowiekiem dość majątnym, chociaż nie mam pojęcia, czym się zajmował. Dzieci nie mieli, krewna po śmierci matki była już pozbawiona bliskiej rodziny, jej mąż posiadał siostrę. Z całą pewnością bardzo wcześniej napisał testament, w którym spadkobierczynią uczynił żonę, gdyby zaś żona umarła wcześniej niż on, dziedziczyć miała siostra. Umarł, testament został zrealizowany, żona przeżyła go o wiele lat.

Obie z ową siostrą żywiły do siebie wzajemnie serdeczną niechęć i w ogóle się nie widywały. U dalekiej krewnej bywała ciocia Jadzia, także rozmaite zaprzyjaźnione osoby, wśród nich zaś najlepsza przyjaciółka, której syn miał prawie dwie matki, owa nasza

krewna bowiem została jego matką chrzestną i kochała go jak własne dziecko, a może i więcej. Wszystko dla chłopca! Rozgłosiła wszem i wobec, że będzie po niej dziedziczył, dwupokojowe mieszkanie własnościowe ma należeć do niego, cokolwiek po niej zostanie, również dla dziecka! Ciocia Jadzia знаła sprawę i opowiadała mi o tym ze dwadzieścia razy. Krewna umarła i zaczęła się polka. Prawie płacząc z żalu i oburzenia, ciocia Jadzia zwierzyła mi się, że nie wie, co zrobić. Czuje się zobligowana spełnić ostatnią wolę krewnej, zaś szwagierka, owa siostra męża, rzuciła się na spadek niczym rozszalała harpia. Chrzestnego syna nie ma, siedzi gdzieś na kontrakcie, nie pamiętam gdzie, może w Libii, a może w NRD, jego matka usiłuje ocalić dla dziecka przynajmniej mieszkanie, ale też jest bezradna, testamentu na piśmie nie ma, osoby zaprzyjaźnione wiedzą, iż spadkobiercą ma być chrzestny syn i nie potrafią sobie z tym poradzić, wtrącają się we wszystko jakieś osoby dodatkowe, jakiś sąsiad, jakiś przyjaciel domu, szwagierka wymachuje nieaktualnym testamentem brata, twierdząc, że ma podstawy, zaangażowała adwokata–krętacza, klucze zostały rozdrapane i nikt nie może wejść do tego mieszkania samotnie, wszyscy muszą komisyjnie, ciocia Jadzia w tym uczestniczy, bo też ma jeden klucz, matka chrzestnego syna rozpacza, ogólny płacz i zgrzytanie zębów, a konflikty rosną.

Nie przejęłam się tym w pierwszej chwili wcale, bo byłam zdania, że na biednego nie trafiło. Skoro chłopak siedzi na kontrakcie, od dna już się odbił, nędzarzem nie będzie i da sobie radę, dostanie ten lokal czy nie, mała różnica. Stopniowo wyszło na jaw, że rodzina niebogata, ów kontrakt jest wszystkim, co posiada, w dodatku krótki, półroczny, za trzy miesiące już się kończy, to po pierwsze, po drugie zaś krewna–nieboszczka w grobie się przewraca, bo ostatnią osobą na świecie, jaką chciałyby obdarować, jest właśnie szwagierka. Nie znosiły się, krewna już długo była chora, szwagierka o tym wiedziała, nie zadzwoniła nawet, swoje po bracie dostała już dawno i nic jej się nie należy, a do tego skrzywdzona osobiście jest także ciocia Jadzia. W trakcie jednej z komisyjnych wizyt znaleziono u nieboszczki siedem złotych dwudziestek i rozdzielono je przedziwnie, jedną dostała matka chrzestnego syna, jedną ciocia Jadzia, jedną sąsiad z dołu, jedną przyjaciel domu, jedną adwokat, jedną szwagierka, a jedną zięć szwagierki. Skąd ten zięć w ogóle i co ma w tym interesie do roboty? Ciocia Jadzia chciałyby dostać tylko barometr, który tam wisi na ścianie, i taką jedną małą szafeczkę, zabrałyby to nawet sobie, ale nie wie jak, na plecach przecież nie wyniesie...

Zmartwiona była tak, że mi się jej żal zrobiło, obiecałam, że załatwię jej transport. Witek, mąż Małgosi, mojej siostrzenicy po mężu... należałoby chyba konsekwentnie

powiedzieć: mojej kościelnej siostrzenicy...? ...pracował wówczas jako taksówkarz. Zaangażowałam go, pojechaliśmy po ciocię Jadzię i po szafeczkę.

Wizyta w mieszkaniu nieboszczki odbyła się, jak zwykle, komisyjnie. Weszłam tam, nie mając pojęcia, w co się wdaję.

Atmosferą poczułam się wstrząśnięta od razu po przekroczeniu progu. Kłębiący się wewnątrz tłum to nie były jednostki ludzkie, to było stado wygłodniałych wilków, rozzarte sępy, hieny i szakale. Chciwość i pazerność szalały i obijały się o meble, roziskrzonym zachłannością wzrokiem wszyscy wszystkim patrzyli na ręce, a najgorsza, istotnie, była szwagierka. Nawet w tym gronie rzucała się w oczy. Barometr już na ścianie nie wisiał, zabrał go jej zięć, nieduży, antypatyczny, zacięty wypłosz.

Rozzłościłam się z miejsca. Cholera, gdybym wiedziała...! Szkoda, że nie przyjechałam tam wcześniej...

W końcu, powiedzmy sobie szczerze, jedyną prawdziwą krewną nieboszczki była ciocia Jadzia. Nie dość na tym, nie tylko ciocia Jadzia, także jej bracia, w tym mój ojciec, a po ojcu ja. Krewnej w ogóle nie znałam, w życiu nie widziałam jej na oczy, nic mnie nie obchodził spadek po obcej osobie, kichałam nart generalnie, ale gdybym wcześniej ujrzała to dzikie stado, przysięgam na kolanach, wkroczyłabym do akcji! Tylko po to, żeby im zrobić na złość, bo aż korciło. Należało zwyczajnie stanąć w progu i powiedzieć:

— A państwo co tu robią? Węzły pokrewieństwa istnieją wyłącznie w odniesieniu do mojej ciotki, a w dalszej kolejności i do mnie. Spadkobierczynią jestem ja i nikt nie ma nic do gadania, proszę won, ale już! Zabrać im klucze, bodaj przemocą, i nie wpuścić nikogo. Ciocia Jadzia znała życzenia testatorki, przez całe życie była jednostką nieskalanie uczciwą, zrealizowałyby je spokojnie i porządnie, a ta ohydna szwagierka razem z jeszcze obrzydliwszym zięciem mogliby się wypchać.

Pożałowawszy z całego serca zaniedbania sprawy, zła jak piorun, zrobiłam im dowcip. Od grzebania po szufladach człowieka odrzucało, zajęłam się książkami w szafie, oglądałam je, przyklękałam, zajrzałam do zamkniętej części na dole.

— Ach...! — krzyknęłam wielkim głosem. — Znalazłam skarb!!!

Była to lekkomyślność szczytowa, bo omal mnie nie zabili. W jednej sekundzie miałam to całe towarzystwo na głowie i na plecach. Podparłam się rękami i tylko dzięki temu nie wjechałam gębą do wnętrza. Skarb był prawdziwy i miał postać ogromnego zapasu papieru toaletowego. Wspaniałomyślnie rozdzieliłam go pa wsiech, najwięcej przeznaczając ciocie Jadzi. Następnie powiadomiłam ją, że ma zabrać nie tylko szafeczkę, ale także biureczko, którego skrycie była spragniona, oraz kryształ, poza tym ja również

w tym spadku partycypuję, jeden kryształ dla mnie. Nikt się nie ośmielił odezwać ani jednym słowem, widocznie wykazałam dużą energię, ale wyraz ich twarzy sprawił mi wielką satysfakcję. Do dziś posiadam kryształową salaterkę, potrzebną mi jak dziura w moście, do niczego nie używaną, stanowiącą wyłącznie rodzaj symbolu i memento.

Przedmioty dla cici Jadzi zabraliśmy i na tym się historia skończyła. Mieszkanie, odarte z wyposażenia, odziedziczył w rezultacie chrzestny syn, pięć osób bowiem zaświadczyło, iż razem wysłuchali woli nieboszczki. Nosi to nazwę testamentu ustnego.

À propos Witka, taksówkarzem był przez dwa lata, w owym okresie bowiem osoby zmieniające zawód na dwa lata zwolnione były z podatków. Po pierwszym roku musiał załatwić przedłużenie owego zwolnienia na następny i udał się w tym celu do urzędu skarbowego.

Opowiadał mi o tym w dwa dni później ze szczegółami jeszcze pełen zgrozy. Otóż przyszedł tam o dwunastej w południe.

— O, to już pan dzisiaj nie zdąży, bo my pracujemy tylko do trzeciej — oznajmiła beznamiętnie panienka w stosownym pokoju.

Witek, znając życie, spytał na to, czy nie trzeba przypadkiem wypełnić jakichś formularzy. Zabrałby je ze sobą, wypełnił w domu i na jutro rano miałby gotowe.

A tak, trzeba. Panienka bez oporu wręczyła mu właściwe papiery. Należało je wypełnić w trzech egzemplarzach, wszystkie identycznie, ale broń Boże przez kalkę! Każdy oddzielnie. Położyła na to wielki nacisk, Witek zabrał makulaturę i wieczór spędził na wypełnianiu.

Nazajutrz przybył o ósmej rano i rozpoczął pielgrzymkę od owej pierwszej panienki. Wręczył jej wypełnione formularze, panienka sprawdziła je skrupulatnie, wypisała jego nazwisko na innym papierku i kazała iść do pokoju 25. Poszedł. Tamże inna panienka obejrzała jego dokumenty, postawiła zygzak na papierku z nazwiskiem i odesłała go do pokoju 27. Też poszedł. W pokoju 27 został znaleziony na stosownej liście, odptaszkowany i odesłany dalej, do pokoju 29. W pokoju 29 dokonano prac poważniejszych, mianowicie wypisano jakiś kwit. Z tym kwitem, zgodnie z poleceniem, udał się do pokoju 24, do księgowości, gdzie wypisano kolejny, jeszcze ważniejszy kwit i kazano iść z nim do kasy, żeby wnieść stosowną opłatę.

Przed kasą stał długi ogon, na który padł właśnie blady popłoch, ponieważ kasjerka wyszła, nie mówiąc ani słowa. Dokąd wyszła i na jak długo, nikt nie wiedział, a mogła



wszak wrócić przed samym końcem pracy albo zgoła nazajutrz. Nie było jednak tak źle, wróciła po dwudziestu minutach.

Do okienka Witek dotarł już po godzinie, zapłacił co trzeba i wrócił do pokoju 24. Zabrano mu kwitek kasowy i przywalono pieczętkę na poprzednim kwicie, tym mniej ważnym. Z opieczętowanym kwitem udał się znów do pokoju 29, gdzie kwit pozostał, ale za to uzyskał inny papierek, z którym odpracował pozostałe pokoje. Wreszcie dotarł ponownie do pierwszej panienci. Panienka przywaliła mu pieczętkę na zwolnienie od podatku, po czym dokonała czynu zasadniczego. Mianowicie zgmiotła w kulę te trzy oddzielnie i jednakowo wypełnione formularze i wrzuciła je do kosza na śmieci.

Rozważaliśmy długo i bardzo porządnie, ile czasu zabrałoby jednej paniencie odwalenie tych wszystkich manipulacji. Wyszło nam, że cztery minuty i nawet nie musiałyby się zbytnio wysilać.

To nieprawda, że bezrobocie pojawiło się dopiero obecnie, istniało także w poprzednim ustroju, tylko było starannie ukrywane, między innymi metodą opisaną wyżej. Sztucznie stworzone zajęcia dla administracji, tak proste, że da sobie z nimi radę nawet ostatnia kretyńska, mające tę dodatkową zaletę, że skutecznie utrudniały życie normalnym ludziom. Społeczeństwo, może nie całe, ale w dużej części, przywykło do synekur...

Dawne zarządzenia wciąż pozostają w mocy. Kto się tym powinien zająć? Ja? A może by tak władze...?

O ziołach niewątpliwie już pisałam, ale koniecznie chce napisać jeszcze raz, dla propagandy i reklamy. Jestem ZA z całej siły. Lekarze musieli ogólnie zgłupieć, bo nie mają o nich pojęcia, nie doceniają ich, a zdarzają się i tacy, którzy twierdzą, że to przesąd. Nie będę już precyzować, co o nich myślę, bo potem powiedzą, że publikuję inwektywy i jeszcze mnie któryś otruje.

Alicja chyba trochę się waha, chociaż w zasadzie ma pogląd racjonalny i wychodzi z założenia, że należy sobie ułatwiać.

— Głupia jesteś — powiedziała do mnie ostatnio. — Oczywiście, że wierzę w zioła, nie rób ze mnie kretyński, ale po co ja mam sobie dowalać roboty? Po co mam gotować wodę, odmierzać to siano, parzyć, pilnować, przykrywać, odczekiwać, cedzić, pić litrami i jeszcze długo czekać na skutek, skoro mogę zwyczajnie zjeść pigułkę? Po to one są w koncentracie, żeby człowiek nie musiał się wygłupiać.

Pewna słuszność w tym jest, ale moja dusza przeciwko niej protestuje, mając, być może, na myśli olejki eteryczne. Alicja nie życzy sobie robić za kretynkę, ja mogę, co mi

to szkodzi. Gorszej opinii już nikt o mnie mieć nie będzie. Szczególnie po rozmaitych wywiadach, w których liczni dziennikarze dali upust własnej kawalerskiej fantazji. Wyraźnie z nich wynika, że jestem rozszalałą hazardzistką, alkoholiczką, w pewnym stopniu erotomanką, kwoką domową, tkliwie zapatrzoną w dzieci, zdziecinniałą sklerotyczką, megalomanką, idiotką totalną i zapomniałam, czym tam jeszcze. Nie przypisano mi narkomanii, czemu trochę się dziwię. Jestem, równocześnie, straszliwie bogata i w kompletnej nędzy, przegrawszy cały majątek na wyścigach. Cokolwiek jeszcze ktoś mógłby wymyślić, wielkiej różnicy mi nie zrobi.

Wracając do ziół, mogę sobie pozwolić na rozszerzenie poglądu. Zioła powinno się zbierać różnie. Alicja natrzęsa się z tego zabobonu, eksponując różne pełnie księżyca, rozstajne drogi, północe i tym podobne, i niech mi potem nie mówi, że nic takiego nie mówiła. Tymczasem nie w zabobonach tkwi sedno rzeczy, tylko w zwyczajnej botanice. Rośliny reagują na zjawiska atmosferyczne bardzo różnie, maciejka rozwija kwiaty i wydziela zapach wieczorem, słoneczniki same z siebie obracają się ku słońcu, nieśmiertelniki pod wpływem wilgoci składają kwiaty do rozmiaru pąków i tak dalej, i tak dalej.

Zioła lecznicze zachowują się nader podobnie. Ich wartość zależy od wyprodukowanych aktualnie składników, no dobrze, wiem, że wyważam rozwarte wierzeje stodoły, ale napiszę to jednak. Jedne odwalają robotę w pełnym słońcu, drugie nocą, trzecie o wczesnym poranku, czwarte o zachodzie, piąte wiosną, a szóste jesienią. Taki dziurawiec, na przykład, powinno się zbierać w pełni kwitnienia, a jeszcze przed zawiązaniem nasion, co wcale nie jest łatwe i proste, bo roślinka kicha na potrzeby ludzkie i robi te rzeczy prawie równocześnie. Niektóre zioła wymagają rosy, a niektóre muszą być suche jak pieprz. Stąd poczynania rozmaitych bab, wiedźm, czarownic i znachorek, stąd to zbieractwo przy pełni lub też nowiu księżyca, stąd może nawet owe rozstajne drogi. Może okolica rozjazdu była piaszczysta, a macierzanka lubi piasek. Nie żaden przesąd babami kierował, tylko zwyczajna, pełna wiedza o właściwościach owych ziół. Inna sprawa, że wręcz trudno mi uwierzyć w owo odnajdywanie odpowiednich ziół w kompletnych nocnych ciemnościach. Nie potrafiłabym nawet przy pełni księżyca. Ale może te baby posługiwały się węchem i dotykiem, cokolwiek czyniły, jestem dla nich pełna podziwu i martwi mnie myśl, że już się ich metod nie stosuje. Co tu ukrywać, zbieranie ziół jak popadnie i byle kiedy obniża ich wartość leczniczą i z żadnym zabobonem nie ma to nic wspólnego. Ewentualne mamrotanie pod nosem różnych zaklęć nie szkodzi wcale, a być może, dodaje ducha zbierającemu.

Pozwolę sobie jeszcze na przykłady konkretne. We właściwym okresie wczesnej młodości miałam na twarzy różne rzeczy. No nie, nie trądzik, powiedzmy, że wypryski. Rozpacz mnie ogarniała, właściwa wiekowi, i ktoś wymyślił bratki, nie jestem pewna, czy nie Lucyna, która lubiła przyrodę. Gotowa byłam pić cykutę i szaleć, co mi tam niewinne bratki!

Zaczęłam je parzyć i pić, porządnie i systematycznie, dzień w dzień, o poranku, na czczo. Wymagało to dużego samozaparcia, nie czczość, tylko poranek, nigdy nie miałam cech skowronka. Skutek był przerażający.

Po trzech tygodniach twarz miałam lepszą niż przy czarnej ospie. Wyrzuciło mi na wierzch chyba cały charakter od najgorszej strony, unikałam spojrzeń w lustro, wytrwałam w kuracji zapewne z rozpaczki albo może miałam przyływ masochizmu. Zostałam za to wynagrodzona.

Po trzech miesiącach znikło wszystko, zyskałam cerę jak kryształ, na wszelki wypadek piłam te bratki, razem wzięwszy, przez pełne pół roku i wystarczyło na całe życie. Kwestia przemiany materii, regulują bezbłędnie, kurację mogę zalecić każdemu, z tym że nie ma gadania, koniecznie trzeba na czczo, żadnego śniadania przedtem, żadnej herbatki, nic, bratki jako pierwszy napój po nocy.

Moja poprzednia sprzątaczką, Gienia, lubiła sobie posiedzieć nad filiżanką kawki i pogawędzić, gawędziłyśmy razem przy kuchennym stole. Zwierzyła mi się z najgorszego przeżycia w dzieciństwie.

Mając lat dziesięć albo dwanaście, wlaźła na drzewo, nie pamiętam już jakie, i z tego drzewa zleciała. Zawadziła o sęk, rozwalila sobie nogę okropnie, rana była potężna, głęboka i krwawiąca, nie ona jednak przestraszyła Cienie śmiertelnie, tylko myśl, co powiedzą w domu. Sprawia jej lanie, to pewne. Siedziała pod tym drzewem i bała się wracać, krew płynęła, żeby ją zatamować rwała rosnące wokół liście i przykładła do nogi. Przypadek sprawił, że natrafiła na liście babki, a trwało to kilka godzin.

Ku jej wielkiemu zdumieniu i jeszcze większej uldze, rana zaczęła się goić prawie natychmiast. Nazajutrz była już zasklepiona i bez żadnych gangren, zakażeń i ropy, w krótkim czasie nie pozostawiła po sobie niemal żadnego śladu.

Uzgodniłyśmy starannie, czy była to babka wąskolistna, czy szerokolistna, wyszło nam, że wąsko, omówiłyśmy zalety ziół i udzieliłyśmy sobie wiedzy wzajemnie.

Sprawę wyciągnięcia mojego starszego syna z upadku zdrowotnego przez doktora Kaziora wyłącznie ziołami już opisałam. Przy okazji doktora uśmierciłam, zdążyłam

zamieścić sprostowanie w czwartym tomie autobiografii, ale wydaje mi się ono niedostateczne. Wstrząs przeżyłam tak wielki, że muszę je uzupełnić.

Na dwie strony przed końcem utworu dostałam list. Spojrzałam na nadawcę. Adam Kazior, zdziwiłam się. Może syn...? — pomyślałam i przeczytałam korespondencję.

Brzmiała następująco:

„Droga Pani Joanno

Z głębin czyśćca pozwalałam sobie przesłać wyrazy wdzięczności za słowa serdecznego żalu po mojej nieodżałowanej śmierci.

Nie mogę tu nie wspomnieć, że Pani książkę z tak wzruszającymi dla mnie wspomnieniami przeczytałam akurat na łóżku szpitalnym, leżąc po świeżym zawale. Było to też powodem dużej radości mojej zeskulapizowanej rodziny (czwórka lekarzy), jako że ktoś dawno zmarły nie ma prawa do powtarzania terminalnego eksperymentu. Wynikło z tego, że jakiś głupi zawał nie może mieć głębszego znaczenia i można go w całości zbagatelizować.

O ile pamiętam, Joanna Chmielewska to Pani pseudonim literacki, dlatego nie wiedziałem, gdzie mam Panią dopaść w charakterze upiora (nocnego). Zobaczywszy w «Magazynie 997» wywiad z Panią, pozwalałam sobie przesłać mój przekaz zza grobu na adres w/w redakcji mając nadzieję, że Pani jakoś te kilka słów przekażą.

Łączę pozdrowienia oraz wyrazy szacunku za Pani wkład w odponurzenie i wniesienie odrobiny beztroskiego uśmiechu w smutny krajobraz III Rzeczypospolitej. Równocześnie proszę o przekazanie życzeń zawsze dobrego zdrowia moim byłym pacjentom, a Pani udanym dzieciom.

Adam Kazior

„duch w XIII stopniu zaszeregowania.”

Chyba na palcach jednej ręki mogłabym policzyć listy, które uszczęśliwiły mnie w takim stopniu jak ten. Ucieszyłam się szaleńczo, moja prywatna radość ze zmartwychwstania doktora znacznie przerosła skruchę i przy najbliższej okazji wybiorę się do niego bez względu na stan zdrowia. Nie jestem pewna, czy nie brzmi to jak groźba karalna.

Usiłowałam leczyć ziołami własną matkę w okresie, kiedy straciła apetyt i zaczęła chudnąć. Na bazie dzieła Ziololecznictwo dla lekarzy, księdza Klimuszki i własnych doświadczeń sporządziłam mieszaninę piorunującą i kazałam jej to pić. Po jakichś dwóch miesiącach moja matka znów zaprezentowała brak apetytu. Zdenerwowałam się.

— Pijesz te zioła? — spytałam z troską.

— Nie — odparła moja matka, nieco zakłopotana.

— Dlaczego...?!!!

— Bo jak zaczęłam pić, to dostałam takiego wściekłego apetytu, że z pewnością bym utyla. Więc przestałam...

Wspominam to ze zgrozą i głębokim rozgoryczeniem.

Potem dostałam list ze Szwecji od mojej byłej sąsiadki.

„...Rozmawialiśmy o profilaktycznym leku zielarskim, który zapobiega przeziębieniom, należy brać dwie pigułki dwa razy dziennie, jak tylko wszyscy dookoła zaczynają kichać itp. ...Nawet jak już coś się zaczyna dziać — ból gardła, pierwszy katar — brać natychmiast, do tego dużo witaminy C i po dwóch, trzech dniach powinno przejść...”

Przysłała mi to. Opakowanie posiadam, zawartość zapewne zużyłam. Nie byłam chora, ale nie jestem pewna, co miało na to zasadniczy wpływ, produkt leczniczy czy moja prywatna odporność. Zostało mi dużo witaminy C...

Wiem doskonale, że nikt mi nie uwierzy i żadne przykłady nie pomogą. Ksiądz Klimuszko wyraźnie napisał, a nie mam powodu nie wierzyć osobie duchownej, że na łące przykładał sobie do oczu świetlik lekarski i wyleczył się z choroby. No i co z tego, że ksiądz, co z tego, że się wyleczył, co z tego, że zioła, za skarby świata nie przyłożę sobie świetlika nigdzie, ponieważ kojarzy mi się z jaskrem, który, jak wiadomo, jest bardzo szkodliwy. A czy ja wiem, może się pomyłę? Niby można kupić w sklepie, a jednak...

Nie jestem ani księdzem, ani lekarzem i brak wiary w słuszność moich poglądów w pełni mogę zrozumieć. Mimo to namiętnie pragnę przekonać: ludzkość do ziół. Szmergiel taki...

Sprostowań postanowiłam dokonywać kawałkami. Skoro już włączyłam Alicję, załatwię następne.

Otóż po przeczytaniu trzeciego tomu autobiografii Alicja bardzo się zdenerwowała i rzuciła na mnie z pazurami i zębami. Na marginesie — zęby ma własne.

— Wszystko zniósę, ale tego nie! — rzekła stanowczo. — Wcale nie pamiętam, że bym wyrwała deski z parkanu, ale niech ci będzie, tyle bredni piszesz, że jedna mniej czy jedna więcej nie robi różnicy. Ale Murzynkę musisz sprostować! To NIE JA powiedziałam, że ona śmierdzi, nienawidzę rasizmu, najwstrętniejszą rzeczą na świecie jest dla mnie rasizm! Bądź uprzejma załatwić to publicznie!

Teraz mnie Alicja zabije, ale napiszę, co myślę. Możliwe, że uwagę o woni Murzynki uczyniłam ja, nie zamierzam się o to sprzeczać. Sama z siebie tego nie wymyśliłam, gdzieś musiałam usłyszeć, że Murzyni śmierdzą, co zresztą wcale nie jest prawdą. Specjalnie ich wahałam, w Danii, we Francji, na Kubie, napisałam o Beatricze. Nic podobnego, więcej śmierdzieli co poniektórzy rodacy. Może istnieją jakieś przesłanki biologiczne w kwestii aromatu, ja ich nie stwierdziłam. Nie w tym rzecz jednak.

Alicja jest zakamieniałą antyrasistką, to fakt. Antysemityzmu też nienawidzi. Mój antysemityzm wybacza, ratuje mnie w jej oczach zapewne fakt, że nie odróżniam Żydów od innych nacji, antysemityzm mam w sobie nieco wybrakowany, pisałam już o tym i nawet obiecałam wyjaśnić, skąd mi się wziął. Zrobię to za chwilę. Ale po pierwsze, w tamtych czasach jej poglądy nie były jeszcze aż tak bezkompromisowe, chociaż skłonności miała głębokie, skamieniałość gruntowna w tej dziedzinie ustabilizowała się w niej jednakże dopiero po przyjeździe do Danii. Przypuszczam, że o Murzynce mogła się wypowiedzieć... No dobrze, słabo przypuszczam, możliwe, że to byłam ja. A po drugie, proszę bardzo, niech ją ktoś zapyta, czy poślubiłaby na przykład Portorykańczyka. Albo Serba... Albo w ogóle Araba...

Bardzo dobrze wiem, co na to odpowie. Że to nie kwestia rasizmu, tylko upodobań osobistych, za rudego też by nie wyszła, bo akurat nie lubi takiego koloru. No dobrze, niech będzie. Na wszelki wypadek chyba jej tego piątego tomu w ogóle nie dam...

Żeby nie było nieporozumień, oznajmiam wyraźnie, że Alicję kocham i wielbię z całym dobrodziejstwem inwentarza. Gdybym była ciężko chora, w nędzy, zagrożona śmiercią głodową albo zgoła szafotem, chcę mieć przy sobie Alicję. Gdybym musiała wybrać na całym świecie jedną osobę, zasługującą na absolutne zaufanie, wybrałabym Alicję. Do samej śmierci nie zapomnę, że nie kto inny, a ona wyświadczyła mi zasadniczą, życiową przysługę, właściwie bez żadnego powodu i ze szkody własną. Co wcale nie przeszkadza, że przy różnych okazjach kłócimy się szaleńczo, skacząc sobie z pazurami do oczu.

Wręcz w roztkliwieniu przebaczam jej sklerozę jeszcze gorszą niż moja. Zgłupieć chyba musiała, kiedy mi odmówiła zasługi w ogrodzie. Wyleciało jej zewsząd, nie tylko z pamięci, że ścinałam gałęzie i drzewka na wale ogrodu od strony ulicy, paliłam je od razu, ognisko było imponujące, a wspomnienie o nim istnieje we mnie z przyczyn szczególnych.

Tuż przedtem nabyłam sobie sławetną platynową perukę, opisaną w *Całym zdaniu nieboszczyka*. Razem ze mną pętał się po ogrodzie Alicji niejaki Jacuś, poniekąd kumpel

Marcina, występujący dla odmiany w *Upiornym legacie* pod imieniem Maciusia. Do Jacusia należał malinowy nocnik, przewożony przeze mnie wtedy, kiedy mi pociąg w Berlinie uciekł i Jacuś, a nie kto inny, posiadał pięćdziesiąt dolarów w jednym kawałku i określał banknot mianem półgłówka. Przy tych gałęziach i ognisku u Alicji zażartował sobie beztrąsko.

— O rany, włosy ci się spaliły! — krzyknął zgrozą w jakimś momencie.

Zważywszy cenę peruki, zgorzałam. Przemogła bezwład, jak oszalała popędziłam do lustra. Jacuś dostał ataku śmiechu, słowo daję, że Alicja była przy tym i też chichotała. I teraz twierdzi, że nic nie pamięta i żadnych gałęzi nie paliłam...! No nie, nie raz, twierdziła tak osiem lat temu. Dla ścisłości nic nie spaliłam, peruka była w porządku, Jacuś sobie zrobił dowcip, a w ogóle nie miał pojęcia, że coś na mojej głowie wcale nie jest włosami, tylko peruką.

Alicja także twierdzi, że nie piszę prawdy, tylko tworzę nowy tekst, imaginację i fikcję. Jeśli nawet ma rację, to w nader nikłym procencie, niektóre rzeczy mogą trochę źle pamiętać, ale to, co mi wytknęła, nie stanowi nawet jednej dwudziestej. Na szczęście znalazłam własne listy, wysyłane z Danii, dat w nich co prawda nie ma, nigdy nie piszę dat, ale informacje dodatkowe pozwalają osadzić wydarzenia w czasie. Komunikat, na przykład, że Boże Narodzenie ma być za tydzień, bez wątpienia o czymś świadczy.

Ponadto upiera się, że nie mogłam zeżreć migdała, bo pani von Rosen w ogóle go nie wetknęła w krem przez zwyczajne roztargnienie. Protestuję. Co jak co, ale w końcu wiem, co gryzę.

Przystąpię wreszcie do tych obiecanych wyjaśnień, dotyczących mojego antysemityzmu. Otóż nabyłam sobie kiedyś Biblię, pełny tekst, przeczytałam ją z wielkim zainteresowaniem i poczułam się wstrząśnięta. Wyraźnie z niej wynika, że Mojżesz, przed wyprowadzeniem Żydów z Egiptu, polecił im w przeddzień exodusu pożyczyć od egipskich przyjaciół i znajomych wszystkie srebrne i złote naczynia. Prostopoduszni Egipcjanie pożyczyli, po czym Żydzi razem z tymi naczyniami opuścili kraj. Nic dziwnego, że goniono ich tak zawzięcie... No i to było nieładne. Żeby od wrogów, to jeszcze, ale od przyjaciół...? Takich rzeczy przyzwoity człowiek nie robi!

Później zaś któreś plemię poprosiło ich o informacje o Jehowie, chciałoby bowiem również tego Jehowę czcić, wielbić i znaleźć się pod jego opieką. Żydzi odmówili stanowczo. O nie, rzekli, żadne takie! Jehowa jest tylko dla nas!”

Ale od plemienia czegoś tam chcieli. Też nieładnie. Oburzenie wyzwoliło we mnie antysemityzm, trzeba mieć wstrętny charakter, żeby wywijać takie numery. Podobnych

kwiatków znalazłam tam więcej, chociaż i te by wystarczyły, po czym ugruntowałam się w poglądzie. Między nami mówiąc, praktycznego znaczenia to raczej nie ma...

Skoro już i tak machnęłam ręką na kolejność uzupełnień, wetknę tu następne. Niby drobiazg, też zajmuje czas i trwa przez całe lata, więc jedno, kiedy o tym napiszę.

Mój nowy szmergiel miał początek w Zgierzu. Zostałam tam zaproszona na spotkanie autorskie a razem ze mną pojechała Teresa, która akurat w Polsce i chciała zobaczyć Zgierz. Proszę bar jechałam samochodem, mogłam ją zabrać.

Zatrzymała mnie na skrzyżowaniu ulic przed wejściem do Domu Kultury.

— Słuchaj, czy możesz mi powiedzieć, co to jest — spytała podejrzliwie, wskazując rzeźbę po przekątnej.

Przyjrzałam się.

— Robotnik, zmagający się z ustrojem — odparłam stanowczo po bardzo krótkim namyśle.

Teresa zrobiła zdjęcie i zapisała tekst. Weszłam do środka.

W Domu Kultury urządzona była akurat wystawa rękodzieła artystycznego. Składały się na nią głównie kilimy, tkane w rozmaity sposób, barda piękne, zasadniczo wykonane przez dzieci i młodzież. Zainteresowały mnie ogromnie, rozmawiałam na ten temat także po spotkaniu, w oko wpadło mi coś prześlicznego kolorystycznie, leżącego na półce. Spytałam, co to jest.

— Ach, to takie resztki — powiedziała pobłaźliwie kierowniczką i dała mi to w prezencie.

Co najmniej przez kilka miesięcy, jeśli nie dłużej, patrzyłam na to i z dnia na dzień rosła we mnie chęć wykorzystania owej śliczności. Leżało w przezroczystej foliowej torbie na regale akurat naprzeciwko mojego tapczana i codziennie o poranku mój wzrok padał na te złotości, oranże, czerwienie i brązy, końcu nie wytrzymałam.

Znalazłam w domu kawałek szmaty, był to szczątek albo jakiegoś worka, albo siennika, luźno tkany. Wpadło mi w ręce szydełko i możliwe, że to szydełko zdopingowało mnie ostatecznie. Wykonałam esej, dywan, można powiedzieć, próbny, metodą węzłów smyrneńskich, o czym nie miałam najmniejszego pojęcia, dopiero znacznie później dowiedziałam się, że stosuję tak wyszukaną technikę. Zaczęłam od środka i wyszło nieco dziwnie, ale nawet dość efektownie.

Moja synowa, Iwona, na widok dzieła oświadczyła, iż jest to najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziała, i omal się nie popłakała, bo zła teściowa nie uczyniła żadnego gestu w



kierunku obdarowania jej tym prezentem. Zdziwiłam się trochę, tłumaczyłam jej, że to rzęch, w ogóle nie wykończony, za ledwie próba, zrobię ładniejsze, nie pomogło, zachwycała się nadal bez opamiętania. Dałam jej to zatem i przystąpiłam do produkcji następnego.

Moim zasadniczym celem było zasłonięcie ściany we własnym mieszkaniu. Pół pokoju, od samego początku uzyskane z dawnej kuchni, pierwotnie malowane było na olejno, później na tej lamperii położono farbę klejową, po następnym odnawianiu zaś wszystkie te farby zaczęły odstawać. Wymyśliłam, że zasłonię je dekoracyjną szmatą i z tej przyczyny zaczęłam produkować rękodzieła, powiedzmy, że artystyczne.

Na własność dla siebie zdobyłam szóste. Pierwszy dywan miała Iwona. Młodsze dzieci, Robert i jego ówczesna żona Anka, prawie się obraziły, że tamci postali takie coś, a oni nie, drugie zrobiłam zatem a nich. W żaden sposób nie umiem sobie przypomnieć, co było trzecie, ale czwarte, wykonane po Przerwie, przeznaczone zostało dla Moniki i pojechało Później do Kanady. Piąte dostał Marek i było to moje

jedyne dzieło, jakie chciał mieć. Nie tylko chciał, nawet nie krył tej chęci, z tym że zamówił sobie mniejsze. Bardzo dobrze, mniejsze robiło się krócej. Szóste wreszcie wykonałam dla siebie, przy czym sprawa ściany zdążyła upaść, bo po kolejnym odnawianiu została przeskrobana i pomalowana przyzwoicie. Nie zmieniło to moich zapatrywań, powiesiłam dywan na upatrzonym wcześniej miejscu.

Pierwszy dywan, ten dla Iwony, po pierwsze obecnie służy psu. Karo uważa go za swoją osobistą własność i leży na nim, ilekroć przebywa w mieszkaniu, kolorystycznie nawet do siebie pasują, po drugie zaś zrobiony został z wszelkiego śmiecia. Resztek ze Zgierza rychło mi zabrakło, musiałam postarać się o dalszy ciąg materiału, użyłam wełny, bawełny, akrylu, wiskozy i tkwią w nim nawet włókna z waty szklanej. Następny potraktowałam już poważniej, posługiwałam się głównie wełną kupowaną gdzie popadło, między innymi na Wystawie Rolniczej na Służewcu, bezpośrednio od górali. Farbowałam to własnoręcznie i jakim cudem moja Henia zdołała usunąć tęczę barw z kuchennego bufetu, nawet nie umiem sobie wyobrazić. Usuwała ją wielokrotnie z niewyczerpaną cierpliwością. Dwa małe motki, już przycięte i przeznaczone specjalnie do tych tkackich celów, dostałam od Alicji, która ma dość rozumu, żeby niczego nie wyrzucać.

Jako ostatni, zrobiłam dywan do obecnego domu moich tutejszych dzieci. Nie jestem z niego zadowolona, wyszedł bardzo średnio, na szczęście wisi tak, że słabo rzuca się w oczy. Mam w planach inny, ładniejszy.

Jak wyglądało moje mieszkanie w trakcie tej pracy, nie da się nawet opisać. Szczątki wełny poniewierały się wszędzie, kurz z niej pokrywał wszystko, kłęby, motki, pocięte kawałki, luzem i w pudełkach porozstawiane były po całym domu, każdy gość wynosił trochę na sobie, liczne drobne ścinki pojawiały się w posiłkach. Większy bałagan udawało mi się zrobić tylko suchym zielskiem.

Praca była o tyle skomplikowana, że musiałam się jej poświęcać przy świetle dziennym, którego na przykład w zimie brakuje. Sztuczne światło do bani, zmienia kolor. Wiosna i lato były lepsze, doszło do tego, że wstawałam o wschodzie słońca i siadałam do roboty, ssało mnie do niej, mrowiło w palcach, ciągnęło dziko i szaleńczo. To się nazywa: namiętność.

A mówiłam! Życie bez namiętności jest nic niewarte!

W tym całym kolorystycznym szaleństwie zrobiłam jedno głupstwo, którego skutki ciągną się za mną chyba do tej pory. Mianowicie przywiozłam sobie z Algierii wełnę z suku, uprzedzoną bez skręcania, wprost znakomitą, nie ufarbowałam jej od razu, bo nie byłam jeszcze pewna koloru, i wyszła na jaw straszna rzecz. W tej cholernej wełnie gnieździły się mole.

No i rozwinęłam sobie w domu hodowlę. Pierwszy raz w życiu, bo dotychczas mnie to szczęście omijało. Walczyłam z draństwem wszelkimi sposobami, naftalina śmierdziała aż na klatce schodowej, wszędzie utykałam nasze krajowe mydło „Siedem kwiatów”, też śmierdziało, mole je polubiły, przez trzy zimowe miesiące dwa wory z wełną trzymałam na balkonie, tęsknie wypatrując rzetelnego mrozu, z bólem serca powyrzucałam różne stare szmaty. Wojna to była straszliwa. Zdaje się, że udało mi się w niej wziąć górę za pomocą arabskiej trucizny na karaluchy, też ją sobie przywiozłam z Algierii, a padało od niej wszystko, w tym ludzie. Używszy produktu, należało pamiętać, gdzie nie wchodzić i nie przebywać, gdzie nie oddychać i czego nie otwierać. Mole jednakże w ogromnym stopniu zdechły, pogryzwszy przedtem wszystko, co im pod rękę wpadło.

Wcale z tym hobby nie skończyłam. Mam w planach jeszcze co najmniej kilka artykułów dekoracyjnych.

Teraz będą wyłącznie dyrdymały.

Z żalem stwierdzam, że w pierwszym tomie pominęłam Andrzejki. Wiadomo, o co chodzi, w wigilie świętego Andrzeja odbywają się wróżby i na laniu wosku się nie kończy, mogą być rozmaite, a jest ich w ogóle zatrzęsienie.

U nas w domu z reguły organizowała je Lucyna, kwitnąca tysiącem pomysłów, szczególnie użytecznych w okresie, kiedy wosku za skarby świata nie można było dostać. Skądś pojawił się wreszcie kawał, używany co roku, pilnowany niczym diament z carskiej korony. Poza woskiem, w grę wchodziło wszystko, igły na wodzie, skorupki włoskich orzechów ze świeczką w środku, buty, ustawiane jeden za drugim, a pierwszy wychodzący za drzwi oznaczał najwcześniejsze zamążpójście i sprawdziło się akurat na mnie, wróżby pisemne, wyciągało się karteczki z różną treścią, to imię przyszłego, to profesja, to znów komunikaty obrazkowe, informujące, co kogo czeka w ciągu roku albo w ogóle w życiu. W nic można było nie wierzyć, ale w andrzejkowe wróżby należało.

Z okresu BLOKU zaniedbałam Władka Marczyńskiego.

Był architektem i pracował u nas chyba na pół etatu, bo pojawiał się z przerwami. Prezentował osobowość zachwycającą. Na ogół nic nie mówił, za to jak się odezwał, miało to głęboki sens i jeden przykład pamiętam doskonale.

Zakłopotał mnie wówczas wielki problem, mianowicie zostałam zaproszona na Imieniny Alicji Witka. Tych Alicji w moim życiorysie istnieje cztery i chyba muszę je wyliczyć, bo niektórym osobom dwie z nich się mylą.

Jedna Alicja, zasadnicza, ta z Kopenhagi, występuje wszędzie, druga Alicja, najpierw narzeczona, a potem żona Witka, występuje tylko niekiedy, aczkolwiek jest postacią tak barwną, że stanowczo powinnam używać jej częściej, trzecia Alicja, nie występująca nigdzie, ponieważ od samego początku, już w Podejrzanych, obdarzyłam ją imieniem Moniki, czego sama sobie życzyła, i wreszcie czwarta Alicja, prawdziwa żona Lesia, przemianowana przeze mnie na Kasieńkę. Tu w grę wchodzi druga Alicja, wówczas narzeczona Witka.

Do Alicji Witka zatem miałam pójść na imieniny i powinnam była iść z prezentem. Same kwiaty mnie nie zaspokajały, spragniona byłam czegoś innego. Znałam ją wtedy mało, nie wypadało pchać się z czymś osobistym, pieniędzy brakowało mi straszliwie i nie wiedziałam, co zrobić. O pomoc poprosiłam współpracowników.

— Słuchajcie, chłopaki — powiedziałam, zmartwiona i zatroskana. — Poradźcie mi, co można kupić kobiecie taniego i niepotrzebnego? Potrzebnego nie wypada, a na drogie nie mam forsy. No?

Zakłopotali się wszyscy. Zaczęli myśleć, bez skutku. Po bardzo długiej chwili odezwał się Władek.

— Tanie ma być? — spytał.

— Tanie — przyświadczyłam gorliwie.

— Niepotrzebne?

— Niepotrzebne.

— I dla kobiety?

— Dla kobiety.

— Mydło do golenia...

W rezultacie poszłam z samymi kwiatami. W BLOKU działo się mnóstwo, było to biuro wysoce atrakcyjne, i między innymi przytrafił mi się pouczający drobiazg. Podstawę drobiazgu stanowiła ta trzecia Alicja–Monika.

Wielbił ją Kacper, ona zaś nie miała ochoty odwzajemniać uczuć. Nie pamiętam już okazji, może to' było zaraz po ślubie Anki, o Boże, znów to samo, a zdawałoby się, że imion w kalendarzu mamy dużą ilość, nie mojej kościelnej synowej, tylko Anki z BLOKU, a może po innej rozrywce, w każdym razie zostaliśmy we troje, Kacper, Janusz i ja. Jeszcze nam się —wieczór nie skończył, postanowiliśmy dokądś pójść, najlepiej do „Kongresowej”. No i Kacper padł przede mną na kolana, zebrząc o przysługę. Pojedziemy najpierw do Alicji–Moniki i niech ją wyciągnę z domu, niech namówię, niech też uczestniczy! Janusz z ciekawością patrzył, co z tego wyniknie.

Zgodziłam się, oczywiście. Pojechaliśmy. Mieszkała w Śródmieściu, żadna podróż. Godzina była średnio wczesna, po dziesiątej, Alicja–Monika przygotowywała się do snu. Nie musiałam się starać specjalnie, bez chwili namysłu wrzuciła na siebie kieckę, zrobiła twarz i w pięć minut była gotowa. I tu nastąpił ten drobiazg.

Uczesania nie miała, a wiadomo, że z głową najtrudniej. Wybrnęła z problemu błyskawicznie, na potargane włosy włożyła mały wieczorowy kapelusik i wyglądała doskonale. Patrzyłam z podziwem, prawie mi tchu zabrakło, Boże Ty mój, a cóż za znakomity pomysł! Co za cudowne rozwiązanie! W życiu by mi to nie przyszło do głupiego czerepu, nie posiadałam w ogóle żadnego kapelusika, ja, dorosła kobieta...! Takie głupstwo, takie nic, a jednak...

Pouczający drobiazg wstrząsnął mną potężnie, kapelusik nieco później zastąpiłam perukami, a co do czytelników, to chciałabym wiedzieć, który mężczyzna to zrozumie...?

Kacper obecność Alicji–Moniki usiłował wykorzystać wtedy w stopniu maksymalnym, wyznać jej przynajmniej te swoje uczucia, odpędzał od stolika Janusza i mnie metodą bardzo prostą, acz nieco kosztowną. Mianowicie raz za razem fundował nam tańce ludowe. Orkiestra nie miała obiekcji, dziarsko rznąła polki, oberki i krakowiaki, Janusz przełamał pierwsze opory i wywijając hołubce, wykrzykiwał radośnie:

— Nie wiedziałem, że jestem taki zdolny! Idę do „Mazowsza”!

Wypuścił mnie wprawdzie z rąk i z potężnym impetem rąbnęłam w drzwi męskiej toalety, drzwi się otworzyły, ale nie szkodzi, nic się nie stało, złapał mnie ktoś w środku. Za to dwóch facetów wleciało do fontanny, podwyższając rozrywkowość wieczoru. Alicja–Monika poglądów jednakże nie zmieniła i zasadniczym rezultatem imprezy pozostał kapelusik.

Dla podtrzymania na duchu samej siebie, bo wspomnienie kapelusika przygnębia mnie mocno, postanowiłam się pochwalić.

Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, rzecz powszechnie wiadoma, a jednak stanowię wyjątek. Raz w życiu osiągnęłam szalony sukces, i to nie w kraju, a we własnej rodzinie. Do wyrazów uznania rodzina nie była wyrywna, sukces zatem nabiera cech nadziejskiego triumfu.

Pozwoliłam sobie na dowcip i zaniósłam na Niepodległości kilkanaście stron pisanego właśnie *Lesia*, mianowicie scenę napadu na pociąg. Zwyczaj czytania na głos różnych rzeczy zakorzenił się u nas od czasów *Cafe pod Minogą*, który to utwór dawno temu drukowany był w odcinkach w *Przekroju*. Wszyscy wyrywali sobie prasę z rąk, każdy chciał być pierwszy, wymyślono kompromis, moja matka czytała na głos całej rodzinie równocześnie. Przeżywałam wówczas ciężkie chwile, bo nienawidzę czytania mi czegokolwiek na głos, nie rozumiem treści, nie mam słuchu, muszę czytać oczami, a właściwości te posiadam od dzieciństwa, zapewne od momentu, kiedy sama nauczyłam się czytać. Zarazem też się rwałam do tekstu, siedziałam zatem i słuchałam, pełna mieszanych uczuć, a skóra mi się marszczyła wszędzie. Jedyne wyjście to było dopaść utworu, zanim rodzina się zbierze, i przeczytać samej, potem już byłam zupełnie szczęśliwa i mogłam słuchać zgoła w upojeniu.

Zaniósłam im teraz tego *Lesia* do przeczytania na głos. Zaczęła oczywiście moja matka, dojechała do scen na torze kolejowym i skończyły się jej możliwości. Zaczęła się tak strasznie śmiać, że słowa nie można było zrozumieć. Obecna przy tym Teresa, bo chyba specjalnie wybrałam chwilę jej przyjazdu z Kanady, zdenerwowała się.

— Głupia jesteś, coś bełkoczesz, oddawaj to, ja przeczytam!

Wydarła jej kartki z rąk, spojrzała na kolejne zdanie i nastąpiło to samo. Nie przeczytała niczego. Zirytowana Lucyna odebrała jej tekst i też nie wprowadziła żadnej zmiany, wyła z głową na stole, dzięki czemu ojciec mógł jej to zabrać i przeczytać sobie. Uspokoily się trochę, nie pamiętam, czy uczestniczyła m także ciocia Jadzia, w każdym razie dalszy czytały na zmianę moja matka i Lucyna. Słuchałam tego wszystkiego spokojnie, dumna, szczęśliwa i pełna bezgranicznej satysfakcji. Mogły sobie mówić o

mnie, co im się żywnie podobało, śmiech świadczył sam za siebie, nie dało się go ukryć. Na większym komplemencie nie zależało mi wcale, nagroda Nobla byłaby poniżej. We własnej rodzinie...!!!

Dumna z tego jestem nadal i pozostanę do końca życia. Raz mi się wreszcie udało ich wszystkich wykończyć.

Zdaje się, że wśród tych pomieszanych dyrdymałów zaniedbałam także własne osobliwości samochodowe. O wydarzeniach grubszych napisałam, zostały mi cieńsze.

Powinno już być wiadome, że mam skłonność do zamyślenia się i wówczas świat zewnętrzny niknie mi z oczu, samochody miałam przyzwoite i uczciwe, w takich wypadkach jechały same. Jeśli bezwiednie zmuszałam je do czegoś, z reguły nie miało to sensu. Musiałam kiedyś załatwić jakąś sprawę przy placu Unii. Ruszyłam spod domu i chyba zamyśliłam się od razu.

Opatrzyłam się koło Królewskiej. Jezus Mario, co ja tu robię?! — pomyślałam w popłochu. Miałam być na placu Unii!

Przejechałam przez pół miasta, nie mając o tym zielonego pojęcia. Gdyby paliła się cała ulica Marszałkowska, wątpię, czy zauważyłabym bodaj jedną iskierkę.

O podróży z Hamburga do Kopenhagi świeżo nabytym oplem już napisałam. We mgle, wpatrzona w tylne światła autobusu, z pewnością wjechałabym za nim w orne pole. Podobną sytuację miałam w Warszawie.

Pojechałam razem z matką i ojcem do teatru „Komedia” na Żoliborzu, gdzie spotkałam znajomego faceta. Też jeździł volkswagenem. Spektakl się skończył, odjechaliśmy prawie równocześnie, ruszyłam pierwsza, znajomy facet za mną. Mieszkał w Śródmieściu.

Z teatru „Komedia” na aleję Niepodległości przy Madalińskiego miałam idealnie prostą drogę. Ciemno było, ale nie wykrzywiła się przez to. Jechałam za jakimś autobusem i od razu na Żoliborzu zaczęłam przekazywać mojej matce plotki o mieszkających tu znajomych, przypomnieli mi się z racji miejsca, moją matkę zainteresowało, plotkowałyśmy wspólnymi siłami i wciąż jechałam za autobusem. Ojciec z tylnego siedzenia mamrotał coś, że chyba źle jedziemy, ale kazałyśmy mu nie przeszkadzać. Autobus wreszcie gdzieś mi zginął, jakoś ciemno zrobiło się wokół i z wielkim zdziwieniem stwierdziłam, że chyba wyjeżdżamy z miasta. Zatrzymałam się. nieco zdezorientowana.

Znajomy zatrzymał się za mną. Wysiedliśmy obydwój.

— Najmocniej przepraszam, ale czy mógłbym wiedzieć, dokąd państwo jadą? — spytał z wielkim zainteresowaniem .

— No właśnie — odparłam. — A może wie pan przypadkiem, gdzie jesteśmy?

— Wiem. I rzeczywiście przypadkiem. Na Górcach. A wiem tylko dzięki temu, że mam działkę przy Lazurowej i czasem tu bywam.

Przekląłam piekielne Górcy, nie dość, że zatruł mi życie projekt pod tym tytułem, to jeszcze teraz wywiodła mnie tu siła nieczysta. Znajomy wyznał, że specjalnie skręcił za mną, bo go szalenie ciekawiło, dokąd się też wybieram. Wiedział, że jadę na Niepodległości. Okazało się, że ojciec miał rację, słusznie się wtrącał i niesłusznie kazałyśmy mu milczeć.

Jechałam do Płocka gdańską szosą. Zamyśliłam się pod Modlinem, przeoczyłam skręt i wracałam prawie spod Mławy.

O najnowszych osiągnięciach napiszę później, bo miały miejsce ostatnio i niech chociaż tyle zostanie z chronologii!

Uczepię się za to służby zdrowia, bo w tej kwestii czuję głęboki niedosyt. Wcale nie twierdzę, jakoby wszyscy lekarze w czambuł stanowili zbiorowisko moralnie upadłych zwyrodnialców, jest to jednakże zawód, który nie może być tylko zawodem, musi stanowić także powołanie. Bez powołania przekształca się w pomyłkę, niekiedy zbrodniczą, i tych słów odwoływać nie będę.

Zaczyna się od diagnozy. Nie studiowałam, chwalić Boga, medycyny, nie wiem, czego uczy się studentów, ale jako pacjent podejrzewam, że objawy chorobowe omija się starannie albo też diagnostyki oni uczą się tak, jak ja konstrukcji stalowych. Może nie mają serca do przedmiotu. Ale ja mogłam sobie na to pozwolić, bo mój brak wiedzy niczemu i nikomu nie przeszkadzał i żadnych szkód nie przyczyniał. Z lekarzami jest wręcz przeciwnie.

Raz, nie powiem, z pomyłki odniosłam korzyść. Do Jerzego, który miał wówczas przeszło cztery lata, przysłała pani doktor i stwierdziła świnkę. Pracowałam już wtedy, z żywą radością przyjął zwolnienie lekarskie na sześć tygodni, a własną opinię o chorobie starannie ukryłam. Doskonale wiedziałam, że to nie jest świnka. Rujnując sobie budżet, ściągnęłam prywatnego pediatrę w nieco starszym wieku niż pani doktor z przychodni, chyba tego samego, który leczył dziecko trzy lata wcześniej, i oczywiście okazało się, że jest to znów zapalenie gruczołów chłonnych. Możliwe, że doszły migdałki i angina, migdałki mu w końcu wycięto, po rzekomej śwince wyzdrowiał w ciągu tygodnia, a ja miałam nadprogramowy urlop. Szkarlatyna o mało mnie nie wpędziła do grobu. Kiedy kolejna pani doktor, znów z przychodni rejonowej, a tak to było świetnie

urządzone, że za każdą chorobą przychodziła inna, po raz czwarty stwierdziła u mojego syna szkarlatynę, uznałam, że to chyba przesada. Szkarlatynę miewa się raz, w ostateczności, w drodze wyjątku, w wyniku działania jakichś nie znanych mi czynników, da się ją może mieć dwa razy. Już przy trzecim mocno wątpiłam, a czwarty mnie zdenerwował.

Znów to samo, prywatny pediatra... Oczywiście, rychło wyszło na jaw, że dziecko jest uczulone na sulfamidy i dostaje po nich wysypki, a sulfathiasol ordynowano wtedy nagminnie. Przestał go dostawać i szkarlatyny pozbył się na zawsze.

Lekarza zakładowego w „Energoprojekcie” obecnie wspominam z rozczuleniem, w tamtych czasach zgrzytałam na niego zębami, tak samo jak cały personel. Miał obsesję na tle przewodu pokarmowego i bez względu na rodzaj choroby zadawał jedno zasadnicze pytanie: „A stolec codziennie?”

Trzeci raz w życiu dostałam wysięku w kolanie, raz mnie to szczęście spotkało w dzieciństwie, drugi raz w czasie klauzury dyplomowej, a trzeci właśnie w „Energoprojekcie”. Niby nic takiego, ale boli cholernie i ciężko zginać nogę. Poszłam po zwolnienie, pokazałam kolano.

— A stolec codziennie? — spytał doktor surowo.

— Panie doktorze, mnie idzie o kolano! Nie mogę zginać, nie daję rady chodzić po schodach!

— To się wygimnastykuje — odparł doktor i zapisał mi środek roślinny, łagodnie przeczyszczający.

Środek wyrzuciłam, a co do kolana, miał rację, rzeczywiście się wygimnastykowało.

O moim ojcu już pisałam, miał wylew, pani doktor rejonowa rozpoznała anginę, nie uwierzyłam jej, poprosiłam o wizytę lekarza ze spółdzielni, przyszedł i jeszcze tego samego wieczoru wyekspediował ojca do szpitala. U Lucyny przez pięć miesięcy nie rozpoznano nowotworu złośliwego. A zwracam uwagę, że są to przypadki tylko w jednej rodzinie, znajomych do tego nie wtrącam.

Generalnie lekarze w ogóle już przestali stawiać diagnozę bez badań laboratoryjnych. Kiedyś tych ułatwień nie mieli i jakoś dawali sobie radę, potrafili odróżnić woreczek żółciowy od zapalenia stawów, obecnie człowiek przy byle chorobie musi im przynieść wyniki wszelkich analiz z sondowaniem żołądka włącznie. Nie, nie zgłupiałam zupełnie, zgadzam się w pełni, iż są to informacje bezcenne, dawniej również popełniano mnóstwo pomyłek, elektronika i chemia udzielają ścisłych odpowiedzi, stanowią olbrzymi postęp,



ale to tym bardziej stawianie diagnozy i rozpoznawanie choroby powinno przebiegać koncertowo. A przebiega tyłem i na czworakach.

Musiałam sobie zmienić okulary. Było to ładne parę lat temu, kiedy obecne luksusy okulistyczne nie istniały nawet w marzeniach. Szukałam dobrego okulisty, Lucyna zaprotegowała mnie do znajomej pani doktor w którymś szpitalu, może na Banacha, może na Wolskiej, a może na Barskiej, wcale nie chciałam za darmo, chociaż mi przysługiwało, chętnie bym zapłaciła, ale nie było takich szans. Nie wiem, co doktor robiła przez cały dzień i wieczorem, w każdym razie mogła przyjąć wyłącznie o wczesnym poranku, wpół do ósmej. Awanturowałam się i błagałam, żeby nieco później, o tej porze mój organizm nie działa, nic z tego, Lucyna kazała mi przestać grymasić i poddałam się. Badanie wykazało chyba, że jestem zupełnie ślepa, bo okulary, jakie wówczas dostałam, do dziś leżą bezużytecznie. Nie nadają się do niczego i nie powiem, co w nich widzę. A mówiłam, że trzeba mi sprawdzić wzrok, nie zaś umiejętność dojenia krów!

Z rozpaczy poszłam na żywioł i na chybił trafił wybrałam okulistę w spółdzielni. Przyjmował o osiemnastej i miał charakter ugodowy.

— Dwie dioptrie... — zaczął.

— Wykluczone! — zaprotestowałam gwałtownie. — Miałam pół, najwyżej jedna!

Pozastanawiał się chwilę.

— No dobrze — powiedział. — Krakowskim targiem, półtorej.

Po namyśle wyraziłam zgodę. Te okulary doskonale służą mi do tej pory.

Krótko potem dostałam czegoś na twarzy, zaczerwienienie i lekka opuchlizna pod oczami, wyglądało to na jakieś uczulenie. Poszłam, już od razu do spółdzielni, do pani doktor skórno—prawdopodobnie wenerycznej, bo u nas to jakoś idzie w parze. Nie wiem, jak gdzie indziej. Pani doktor postawiła diagnozę od razu.

— Trądzik — rzekła lekceważąco i omal nie spytałam, czy młodzieńczy.

Nie wzbudziła we mnie zaufania, udałam się do kosmetyczki. Stwierdziła uczulenie, kazała mi zmienić mydło, sprawdzić, co nowego sobie przyłożyłam na twarz, wyrzucić to, dała jakieś medykamenty, zmieniłam oprawkę od okularów i po dwóch tygodniach obrzydliwość znikła całkowicie. Proces znikania rozpoczęła już trzeciego dnia.

Później spotkało mnie coś zupełnie okropnego i chyba wdam się w te intymne szczegóły, bo i tak modnej współcześnie literaturze do pięt nie sięgają, a zawsze mały kawałek pójdę z duchem czasu.

Otóż wpadło mi kiedyś do głowy, już dość dawno temu, że właściwie mam życiowe zmartwienie. Co by było, gdyby umarł mój pierwszy mąż, ojciec moich dzieci? Powinnam

iść na jego pogrzeb czy nie? Wiedziałam doskonale, że on by sobie tego nie życzył za żadne skarby świata, ale znów z drugiej strony dla moich synów jest to człowiek najbliższy, własna matka nie weźmie udziału w pogrzebie ich najbliższego człowieka...? Niedobrze. Komuś zrobię świństwo w każdym wypadku, albo im, albo jemu.

Wszyscy uważali moją rozterkę za głupi dowcip, tymczasem mój pierwszy mąż rzeczywiście umarł. Na cukrzycę. Problem stanął nagle przede mną w praktyce, zdenerwowałam się, co mam zrobić, do licha?! Po krótkim namyśle postanowiłam dać pierwszeństwo dzieciom, życzy on sobie czy nie, na ten pogrzeb pójdę. W dodatku Robert, siedzący w Kanadzie, nie mógł przyjechać i należało go jakoś zastąpić, załatwiając także kwiaty. W porządku, załatwiłam i poszłam.

No i od razu ujawniło się, w jakim stopniu mój mąż sobie tego nie życzył, na tym jego pogrzebie dostałam półpaśca. Na tyłku, jakby nie istniały w człowieku inne miejsca. A mógł w końcu uwzględnić, że robię to nie jemu na złość, tylko dla dzieci!

Oczywiście w pierwszej chwili nie wiedziałam, co mi jest, dolegliwość wydała mi się przerażająca i w najwyższym stopniu podejrzana, istniała jednak niejako na zewnątrz, poleciałam zatem do tej samej kosmetyczki. Zadziałała jak balsam.

— Półpasiec, lekka forma — powiedziała, ledwo spojrzawszy.

Poczułam się jak ten chłop, „o chwała Ci, Pani myślałam, że świrzb”, odgadłam, że załatwił mi to mai i przystąpiłam do leczenia, które poszło szybko. Na wszelki wypadek jednakże, znalazłszy się w Kanadzie, wydarłam Robertowi pieniądze za kwiaty. — Twój ojciec się w grobie przewraca, kochanej dzieciątko — rzekłam stanowczo. — Nie dość, że byłam na cmentarzu, to jeszcze zapłaciłam za wiązanekę. Wypraszam sobie jakieś następne mankamenty zdrowotne, kwiaty miały być od ciebie!

Suma nie okazała się rujnująca, w przeliczeniu wypadło piętnaście i pół dolara razem z szarfą i napisem. Robert ją wyasygnował i uspokoiłam się.

A propos medykamentów, najpiękniejsze ze wszystkiego jest wystawianie recept. Przychodzi lekarz do osoby chorej, leżącej z gorączką, wstrząsem mózgu albo zwichniętą nogą, i zostawia jej recepty. Załóżmy, że osoba mieszka samotnie, co ma zrobić z tymi receptami? Zjeść? I to pomoże?

Tabuny zasmarkanych, zagrypionych, zakaszlanych ludzi, stojące w ogonku w aptekach, mówią same za siebie. No dobrze, mówiły, jakoś ich teraz odrobinę mniej, produkował ich widocznie miniony ustrój.

Co nie przeszkadza, że polka z receptami trwa nadal, w dodatku lekarze nie mają pojęcia, jakie środki lecznicze znajdują się w sprzedaży i gdzie je można dostać, sama,

wpadłszy w rozpacz, szukałam w końcu lekarstwa przez telefon i błąkałam się po peryferiach Warszawy. Za pieniądze, tak, można to załatwić, pielęgniarka przyniesie, nie wszyscy wprawdzie mają tyle pieniędzy, ale zawsze jest to jakaś pociecha.

Raz w życiu ujrzałam właściwe załatwienie sprawy. Było to wtedy, kiedy pan doktor w lecznicy stwierdził u mnie przechodzony zawał, arytmie, wieńcówkę i nie wiem, co tam jeszcze. Zrobiłam się tak wściekła, że dolegliwości zaczęły mi przechodzić same z siebie, mimo to wetknął mi w zęby nitroglicerynę i wypisał recepty. Z natychmiastowej hospitalizacji zrezygnował na skutek moich energicznych protestów.

— Bardzo dobrze — powiedziałam ze złością. — Tu mnie pan pcha do szpitala i twierdzi pan, że jutra nie dożyję, a tu mam teraz latać po aptekach. To mnie uzdrowi?

— A, nie — powiedział pan doktor. — Nigdzie pani latać nie będzie.

Wezwał kierowcę i medykamenty po półgodzinie dostałam do rąk. No owszem, to mi się nawet dosyć spodobało. Przy okazji wyszło na jaw, że lecznica już od dłuższego czasu ubiega się o zezwolenie na posiadanie własnej apteki z kompletem lekarstw i tego zezwolenia odmawiają jej władze dzielnicy. Zastanawiam się, czy nie byłoby możliwe zebrać wszelkie nasze władze w jakimś jednym miejscu, ogrodzonym porządnie, i wpuścić tam wygłodniałe tygrysy... Lubię karmić zwierzątka.

Jutra, wbrew diagnozie, dożyłam, ale dożyłam dosyć śmiesznie.

Nazajutrz wypadła sobota. Tajemnicze wzdygania i klekotania w środku uspokoiły mi się i wybierałam się na wyścigi. Już byłam ubrana, kiedy znienacka złapał mnie nad wyraz niepokojący ból w klatce piersiowej, obręcz ściskająca żebra i utrudniająca oddychanie. Jezus Mario, zawał...! Przeraziłam się śmiertelnie, wezwałam pogotowie i wybuchły we mnie problemy, które, nie było siły, należało rozwikłać natychmiast.

Przede wszystkim zadzwoniłam do Jurka, ciotecznego brata Anki, który na wyścigach siedzi na fotelu przede mną, zawiadomiłam go, że opuszczam ten padół, niech zatem powie Marii, żeby potem do mnie przyjechała. Bardzo logicznie, zapewne w celu obejrzenia moich zwłok. Następnie otworzyłam drzwi z zasuwy, żeby pogotowie mogło wejść bez przeszkód. Następnie wolnym krokiem podeszłam do tapczana i położyłam się, bo przy zawale podobno trzeba leżeć. Więcej nie wymyśliłam, leżałam i czekałam, starając się oddychać mimo wszystko.

Pogotowie zadzwoniło do drzwi. Przestraszyłam się, że nie sprawdzą klamki i nie wejdą, pomyślałam, że skoro już są, jeśli nawet padnę trupem w przedpokoju, jakoś mnie odratują, a wejdą, usłyszawszy rumor, wstałam zatem i ruszyłam ku drzwiom. Powitałam ich w progu pokoju, bo jednak weszli bez rumoru.

Na widok lekarza od razu zrobiło mi się trochę lepiej. Wyjaśniłam sprawę, doktor obejrzał wczorajsze EKG, zaczął mi sprawdzać tętno i ciśnienie. Na to przyjechał Jurek.

Ela, jego żona, wypchnęła go z domu, powiedziała, żeby się nie wygłupiał, tylko jechał do mnie od razu, bo może coś trzeba. Przyjechał zatem i wszedł, bez dzwonienia. Na jego widok zrobiło mi się jeszcze lepiej.

Doktor po namyśle stwierdził, że moje natychmiastowe zejście nie wydaje mu się pewne, może przetrzymam. Zastanowiłam się.

— Wie pan co — powiedziałam — jak ja mam tu leżeć i czekać, kiedy mnie trafi szlag, to może lepiej będzie udać się po prostu na wyścigi?

— Może i lepiej — odparł doktor. — Ja wyścigi apróbuję, bo mój syn jeździ.

— Co pan powie? — zdziwiłam się. — A jak się nazywa?

— No i co pytasz, doktor jest podpisany — zwrócił mi uwagę Jurek, wskazując plakietkę. Ożywiłam się ogromnie.

— O Boże! — powiedziałam. — Jeśli pańskiego syna ktoś udusi gołymi rękami, to będę to ja. Ciągle mi przychodzi odwrotnie, niż gram!

Doktor wyglądał, jakby się z tego nawet ucieszył, spytał, czy na tych wyścigach mam jakieś spokojne miejsce, miałam, rąbnął mi zastrzyk przeciwbólowy i pogotowie odjechało. Udałam się na wyścigi z Jurkiem, ogromnie podniesiona na duchu. Środek przeciwbólowy zaczął działać, przestałam mieć kłopoty z oddychaniem, zasnęłam na swoim fotelu martwym bykiem i przespałam co najmniej półtorej gonitwy. Terapia ogólnie poskutkowała.

Zdaje się, że w przykładach negatywnych z rozpędu umieściłam pozytywny. Już nadrabiam niedopatrzenie.

Przerażająca nieludzkość służby zdrowia objawiała się między innymi następująco:

Człowiek był chory, czuł się bardzo źle, trudność sprawiały mu nawet drobne wysiłki fizyczne, a temperatury wysokiej nie miał. Lekarz z przychodni składał wizyty tylko od trzydziestu dziewięciu stopni w górę, poniżej się nie liczyło, pacjent musiał iść do lekarza. Radość to była wielka. Najpierw ten chory stawał w ogonku po numerkach gdzieś koło szóstej trzydzieści rano, potem siedział w ogonku z tym numerkiem koło dziesiątej albo koło piątej po południu, potem znów stał w ogonku w aptece. Jeśli ktoś miał końskie zdrowie, jakoś to wszystko przetrzymał, ale możliwe, że przetrzymałby łatwiej bez zabiegów leczniczych.

To samo było z dziećmi. Łatwo zanieść do przychodni niemowie, gorzej z pięcio- czy sześciolatkiem, które wazy przeszło trzydzieści kilo. Albo to dziecko zostanie

zawleczone na własnych nogach, od czego stan zdrowia z pewnością bardzo mu się poprawi, albo matka będzie je niosła. Opakowane w ciepłą odzież, a zatem jeszcze cięższe. Jak właściwie wyobrażano to sobie w praktyce?

Na problem jestem uczulona, bo moje dzieci były duże. Dygowanie ciężaru blisko pół cetnara nie leżało w moich możliwościach. Pisałam już o komplikacjach z moim budżetem domowym, dlatego właśnie łamały mi się rachunki, wzywałam lekarza prywatnie.

No dobrze, już dobrze. I nie kupowałam wódki, nie urządzałam przyjęć, nie miałam kiecek, butów i kosmetyków, nie posiadaliśmy telewizora, pralki, lodówki, radia, mebli, mój mąż chodził w jednych portkach... A na lekarzy wydawałam.

Ta cała darmowa opieka lekarska okazała się mitem i legendą. Rzecz jasna, piszę o sytuacji w Warszawie i niech mi nikt nie gędzi, że brakowało lekarzy. Wedle danych urzędowych Warszawa była zapchana lekarzami po dziurki w nosie i nikt nie miał szans na uzyskanie tu pracy. Istniała u nas podobno nadprodukcja lekarzy, szpitale pękały od nich w szwach, dostać stały etat w lecznictwie zamkniętym to było coś jak wygrana na loterii. To co w końcu, brakowało ich czy było za dużo?

Chyba wciąż jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, ile krzywdy zrobił nam ten upiorny miniony ustrój.

Zdemoralizował śmiertelnie także i służbę zdrowia, ogłupił społeczeństwo, sprowadził ludzi znacznie poniżej poziomu bydłęcego. Kto to wymyślił? Lenin...?

Szczyt osiągnięć stanowiły i stanowią szpitale.

Kiedy odbierałam ojca, przypadkiem w piątek, pojawiła się duża szansa, że spędzimy weekend, siedząc na szpitalnych schodach, ojciec z konieczności, a ja do towarzystwa. Ojciec został już wypisany i łóżko mu nie przysługiwało, musiałby jednak odjechać w samej pizamie, szlafrok miał kazonny i powinien go zostawić. Gdyby to chociaż było lato, ale nie, nic z tego, późna jesień. Jego odzież była zamknięta w magazynie, magazyn, jak się okazało, działał tylko do jedenastej, wypisywanie potrwało i przeciągnęło się do godziny pierwszej. Dyżuru szpital akurat nie miał, aż do poniedziałkowego poranka wszystko było nieczynne.

Nie spodobał mi się ten weekend, zrobiłam awanturę, całkowicie zdecydowana włamać się do owego magazynu, i być może moja determinacja stała się widoczna. Już po godzinie znaleziono magazynierkę, która oddała ojcu ubranie, w drodze wyjątku i bardzo nadęta. Kto tę babę nauczył, że ma być przeciwko człowiekowi, i co sobie właściwie myślał wypisujący lekarz?

Na Cegłowskiej, gdzie leżała Lucyna, działy się rzeczy straszne. O niektórych już napisałam i nie będę się powtarzać, trochę tylko dołożę. Przywiozłam ją tam na punkcję w strasznym stanie, zaduszoną prawie na śmierć płynami rakowymi, zostawiłam w rejestracji na wózku inwalidzkim i polecałam szukać pani doktor, nikt bowiem nic nie wiedział. Dokądś ją należało odwieźć, ale pojęcia nie miałam dokąd, a rejestracji to nie interesowało. Obledziałam pół szpitala, a duży on dosyć, wróciłam nie zyskawszy żadnej wiedzy, Lucyna dusiła się ledwie zapiąc. Siedziała na tym wózku tuż obok wielkiej szyby, za szybą dwie panie pielęgniarki gawędziły beztrzesko, spoglądając na nią niekiedy okiem najdoskonalej obojętnym. Myślę, że więcej ludzkich uczuć wykazałyby zwykłe kurwy z ulicy. Pielęgniarki...! Gnój, a nie pielęgniarki!

Z zaciśniętymi silnie zębami zwróciłam się do nich. Okazało się, że owszem, wiedziały doskonale, gdzie szukać pani doktor i dokąd przewieźć pacjentkę, spowodowały nawet to przewiezienie. Ciekawe, na co czekały przedtem, może miały nadzieję, że udusi się do reszty i będzie z głowy...?

Rejestracja w postaci niezadowolonej z życia panienki zażądała ode mnie pozałatwiania czegoś. Miałam lecieć przez dziedziniec do innego skrzydła i donieść jakieś informacje, przy czym z góry było wiadomo, że będę tak latała trzy razy. Ogłuszona sytuacją, w pierwszej chwili uczyniłam nawet krok ku wyjściu, po czym nagle oprzytomniałam i szlag mnie ciężki trafił. Zwróciłam panience uwagę, że telefon jej stoi pod ręką, może się nim posłużyć, mówić, jak widzę, umie i nie jest głucha. Panienka usiłowała twierdzić, że nie zna numeru. Zapałam się, oznajmiłam, że jestem chora, nie pamiętam już, co mi było, może skręciłam nogę, a może miałam atak wątroby, dołożyłam sobie lat, głos, który z siebie wydawałam, godny był w pełni rozwścieczonej góry lodowej, o ile coś takiego w przyrodzie istnieje. Panienka się złamała i wyszło na jaw, że żadne moje latanie nie jest potrzebne.

Lucyna, jak już mówiłam, do ostatniej chwili życia zachowała poczucie humoru. Niektóre sceny znam z jej opowiadań. Pacjentom robi się, na przykład, lewatywę w gabinecie zabiegowym na parterze, po czym, rzecz oczywista, potrzebna jest toaleta. Otóż toaleta znajduje się w dużym oddaleniu od gabinetu, po drugiej stronie poczekalni. Gorączkowo nakłaniany do zachowania umiaru pacjent w kusym giele albo w rozwiązanej pizamie leci pomiędzy ludźmi w zimowych paltach do owego upragnionego przybytku, trzymając się kurczowo za anatomię, a za nim leci poganiająca go pielęgniarka. Godność ludzka i człowieczeństwo w pełni uszanowane...

Pacjent to widocznie nie człowiek, tylko zwyczajny łachman, a może nawet strzęp łachmana...

Też leżałam w szpitalu. No dobrze, pobiegnę nieco do przodu.

Znalazłam się w tym szpitalu, uczciwie mówiąc, po kumotersku. Trzeba mi było zrobić drobną operacyjkę, zdjąć polipa ze strun głosowych. Przyłożyła się do tego Maria, ta z *Wyścigów*. Powtarzam to piąty raz, ale czy ja wiem, ktoś może źle pamiętać i sprawdzać w tekście, czy to ta sama. Jest naukowcem pracującym w PAN-ie i kotłuje się wśród szczurów i świnek morskich, za rodzaj zwierzątek zresztą nie gwarantuję, ale ludzie jej z myśli nie schodzą. Każdą chorą jednostkę łapie i wlecze na zabiegi lecznicze, a jak łatwo zgadnąć, służba zdrowia stanowi grono jej znajomych i przyjaciół.

To ona podstępem wypchnęła mnie na Stępińską i zmusiła do poddania się zabiegowi. Przebieg to miało następujący:

Przyszłam tam w poniedziałek rano, zostałam wprowadzona do komputera, co potrwało dosyć długo, i wróciłam do domu. Oczywiście musiałam przynieść ze sobą wyniki wszelkich analiz z rentgenem włącznie, zaświadczenie od kardiologa, że narkoza mi nie zaszkodzi, badania cytologiczne, EKG i jakieś inne szataństwa. Wszystko załatwiłam hurtem za pieniądze, kosztowało przeszło milion złotych i z takiej właśnie przyczyn nie jestem bogata. Ktoś inny poświęciłby czas i siły. ja wolałam zapłacić.

Następnie we wtorek przybyłam na zabieg. Rozumiem, co się do mnie mówi, i ostateczną kretynką; bywam nie zawsze. Pożywienia i napoju do ust nie wzięłam i nie zapaliłam papierosa.

Na stół przeznaczona byłam pierwsza, co brzmi zgoła upojnie. Ulgę sprawiała mi myśl, że to oni będą się męczyć, a nie ja. I rzeczywiście...

Przecknęłam się i od razu poczułam w sobie jakąś okropną maszynę. Kładli mnie właśnie w sali pooperacyjnej, wyjaśniając kojąco, że zostałam intubowana. Nastąpiła gwałtowna opuchlizna, jednego polipa usunęli, drugiego nie zdążyli, zaczęłam się dusić, musieli zatem w pośpiechu wbić we mnie rurę do oddychania. Było mi dokładnie wszystko jedno, chciało mi się wyłącznie spać, żadne rury mnie nie interesowały i własną sytuacją zajęłam się dopiero później.

Nie na pokaz mody tam przyszłam, więc śmiertelne gieżło, w jakie mnie przyodzielili, nie przeszkadzało mi w najmniejszym stopniu. Reszta owszem. Podłączona byłam do rozmaitych instrumentów, jakieś kroplówki, jakieś inne draństwa, igłę miałam wbitą w rękę na stałe, nie mogłam się ruszyć, o gadaniu nie było mowy. spróbowałam zatem porozumiewać się korespondencyjnie. Dawało to nawet pewne rezultaty.

W owej rurze do oddychania zbiera się wilgoć, pochodząca, jak sądzę, z człowieka, i należy to od czasu do czasu odsysać. W trakcie odsysania oddychanie nie wchodzi w grę, człowiek się dusi, ale potem jest lepiej. Do wieczora odzyskałam większość zmysłów, na piśmie zażądałam tlenu, dali mi, dlaczego nie, zaprotestowałam przeciwko odżywczej kroplówce, wyjaśniając, że chętnie schudnę, czego nie uwzględnili, trochę czytałam książkę, a trochę spałam i było całkiem fajnie. Przyszła Iwona z Karoliną, Iwona popatrzyła na mnie ze śmiertelnym przerażeniem i wyrzuciła dziecko za drzwi, czego nie mogłam zrozumieć, bo czułam się doskonale, potem się okazało, że na oko wyglądałam okropnie. Powinny były zrobić mi podobiznę. Doczekałam wieczoru i dyżur objęła nocna pielęgniarka.

Naprawdę była dobra. Naprawdę porządna, serdeczna i życzliwa, nie kładła się spać, chociaż obok mnie stało wolne łóżko, całą noc przesiedziała na krześle, w każdej chwili gotowa do akcji, czujna i uważna. Do tego jeszcze pełna współczucia.

Miałam z nią ciężki krzyż pański.

Najpierw poprosiłam na piśmie o kawałek ligniny, bo chciałam sobie wytrzeć kąciki ust. Nie wiem, czy potrzebnie, wydawało mi się, że tak. Przeczytała korespondencję i zaczęła przygotowywać maszynę do odsysania. Machnęłam ręką na ligninę, chwyciłam w pośpiechu papier i długopis i napisałam:

NIECH PANI POCZEKA, AŻ JA NABIORĘ ODDECHU, I WTEDY TO WETKNIE!

Wzięła papier i zaczęła czytać. Nie szło jej, no dobrze, zgódźmy się, że pisałam kulfonami. Przysunęła do oczu. Nie pomogło. Podeszła do lampy, podsunęła lekturę pod światło. Przedtem widziałam, że do czytania wkłada okulary, nie mogłam jej teraz zaproponować, żeby się nimi posłużyła, a sama jakoś na to nie wpadła. Przyglądałam się jej raczej beznadziejnie. Odpracowała korespondencję, przystąpiła do odsysania i oczywiście starannie wyczekała momentu, kiedy akurat wypuściłam oddech.

Co przeżyjemy, to nasze...

Odnosiła się do mnie jak człowiek do człowieka opiekuńczo i naprawdę troskliwie.

— Niech pani śpi — poradziła dobrotliwie. Najlepiej te najgorsze chwile przespać. Niech spróbuje spać.

Nie było co próbować, spać mi się chciało i ziemsko i nie miałam żadnych zastrzeżeń przeciwko radzie. Z łatwością zaczynałam zasypiać, ona jednak, ^ że coś robiła. Najpierw rzuciła na podłogę jakie przedmioty, na słuch sądząc drewniane i bardzo grzechoczące. Potem trzaskała drzwiczkami szafki. Potem zaś walnęła w coś, co zabrzmiało jak srebrny



dzwon i pozostawiło po sobie długi, ciągnący się, przenikliwy dźwięk. I cały czas tłumaczyła mi, że powinnam spać.

Przy tym dzwonie zachciało mi się śmiać tak okropnie, że o mało nie umarłam. Niech ktoś spróbuje śmiać się z tubą w tchawicy. Pielęgniarkę wspominam z czułością i bezwzględnie uważam ją za przykład pozytywny, bo dzwon dzwoniłam, ale nie tylko przez całą noc pilnowała pacjenta, do tego jeszcze prezentowała ludzki do niego stosunek. Serce miała. Nazajutrz ową tubę mi wyjęto. Pokaz, jaki urządziłam na stole operacyjnym, przekroczył podobno wszystkie doświadczenia szpitalne od początku istnienia medycyny. Miałam swoje powody, a nikt mnie nie chciał zrozumieć.

Otóż ubzdryłam sobie, że umrę. Z podsłuchanej rozmowy pielęgniarek dowiedziałam się, że już raz to prawie nastąpiło, o mało nie umarłam przy operacji przez tę opuchliznę, odratowali mnie w pocie czoła. A skąd miałam wiedzieć, czy opuchlizna znikła, na rozum wydawało się, że tak, z natury nie puchnę, opuchlizna mnie nie lubi, ale rozum to jeszcze nie wszystko. Dusza miała obawy. No dobrze. zamrę, wola boska, testament zostawiłam w domu, ale koniecznie chciałam coś jeszcze do niego dopisać, jakieś postanowienie pośmiertne było niezmiernie ważne i nie zgadzałam się umrzeć bez załatwienia tej sprawy, domagałam się kawałka papieru i narzędzia, żeby przekazać ją na piśmie, powiedzieć niczego nie mogłam, broniłam się pazurami i zębami przed tym zabiegiem ostatecznym wyłącznie w celu pozostawienia po sobie ostatniej woli, personel medyczny wpadł w rozpacz i dzikie zdenerwowanie, nikt nie pojmował, dlaczego tak pokochałam tę cholerną tubę, nie jest to urządzenie umiłowane przez pacjentów. Załatwiono mnie wreszcie przemocą, wydarto ze mnie rurę przy udziale dodatkowych silnych osób i okazało się, że pozostałam przy życiu.

W czwartek przed południem wróciłam do domu i spokojnie usiadłam do pracy.

No i proszę. Znalazłam się w tym szpitalu w charakterze świętej krowy, otoczona staraniem i opieką, wszyscy mnie chcieli wyleczyć jako mnie, a nie jako przypadek chorobowy, komfort psychiczny można powiedzieć. Pan profesor, który mnie operował, miał rękę anioła. Personel reagował błyskawicznie na każdy dzwonek, zastrzyki robiła pielęgniarka, na którą czekałam wręcz z chciwością, bo w jej wykonaniu nie był to zastrzyk, tylko sama przyjemność, i nasza sytuacja finansowa wcale jakoś temu nie przeszkadzała. A jednak...

W środę w sali pooperacyjnej leżałam sama, bo pacjent z wtorku już odszedł. Mówić mogłam bez przeszkód. Poprosiłam o otwarcie okna, gorąco było jak piorun, świeże powietrze przydatne każdemu. Przywykłam do chłodu, u mnie w domu na ogół jest zimno.

Najpierw protestowano, potem aktualna pielęgniarka uległa. Przyglądając mi się nieufnie, uchyliła okno na trzy centymetry, odczekała dwie minut. i czym prędzej je zamknęła. Nosiło to nazwę wietrzenia. Ugięłam się, bo miałam inne zmartwienia. Kategorycznie, bezwzględnie i bardzo gwałtownie sprzeciwiłam się venflonowi, od tej cholernej igły ręka mi spuchła jak bania, każdy zabieg był bolesny nie do zniesienia, miałam dosyć.

— Posiadam bardzo dużo żył — zawiadomiłam personel złym głosem. — Klucie mi nie przeszkadza, proszę zastosować urozmaicenie. Pchacie we mnie ten skrzep, który się tam tworzy, wypraszam sobie, mnie ta ręka jest potrzebna. Niech szlag trafi wynalazki. Upór miałam w sobie potężny, poszli na ugodę. Od jednej kroplówki wykręciłam się całkowicie. No dobrze, to ja, mam zły charakter, a jak wyjdzie na tym interesie pacjent łagodny...?

Rozmawiałam później na ten temat z kardiologiem, wizytującym moją matkę. Okazało się, że miałam rację.

— U nas to jest nie do pomyślenia — powiedział ze zgorszeniem. — Kardiochirurgia, operacje na sercu, skrzep to morderstwo. Wysysa się ten skrzep za każdym razem. Ale w innych szpitalach, przyznaję, skrzep się wpycha, skandaliczny proceder, nie wolno tak robić, ale sama pani rozumie...

Rozumieć sobie mogę, ale się nie zgadzam. Odbieraliśmy ze szpitala Marię... No nie, znów muszę dołożyć całą resztę. Z każdego wydarzenia lęgnie się sto tematów. Trudno, załatwię to hurtem.

Delikatnie, acz z naciskiem błagałam, żeby nie jechała. Zaangażowała się jako służba zdrowia przy pielgrzymce częstochowskiej. Zaraz po chorobie, po antybiotykach, które osłabiają, w ogólnie złym stanie zdrowia jechać w długie trasy, na końcu których czeka człowieka ciężka praca, jest to idiotyzm. Złe przeczucia ukryłam, żeby nie wykrakać, inne osoby były mniej przesądne, wyraźnie mówiły o kraksie, też ją zniechęcały. Bez skutku, pojechała. Krakę wykonała rekordową. Nikt tego nie mógł zrozumieć, podejrzewam, że medycyna też nie jest pewna przyczyny. Protokółów policyjnych cytować nie będę, ale wyglądało to następująco:

Powinna była jechać do Alfonsowa. Słowo daję istnieje taka miejscowość w pobliżu Tomaszowa Mazowieckiego. W samochodzie miała trzy pasażerki, pątniczki z jakimiś drobnymi dolegliwościami. Przyjęte było w tej pielgrzymce, że służba zdrowia podwozi kawałek osoby, którym wysiadły nogi albo inna użyteczna część anatomii, no i te trzy właśnie podwoziła.

W Inowłodzu, oglądając mapę, spytała jakiegoś człowieka o drogę, udzielił wyjaśnień, oglądała mapę nadal, bo chciała sprawdzić, czy nie ma przypadkiem w okolicy drugiego Alfonsowa. Osobiście wydaje mi się to pierwszym symptomem zaćmienia umysłowego, dwie miejscowości o takiej nazwie...? Człowiek podszedł ponownie i spytał, czy ma jeszcze jakieś kłopoty.

Od tego momentu wydarzenia znane są wyłącznie z relacji świadków.

Odpowiedziała facetowi, że nie, kłopotów nie ma, szuka tylko drugiego Alfonsowa. Następnie zawiadomiła swoje pasażerki, że czuje spadek ciśnienia w sobie i musi zażyć lekarstwo. Znalazła pigułę, pasażerka nalała jej herbaty z termosu, rozpuściła medykament, wypła miksturę. Zaczęła zapalać silnik. Nie szło jej, zaskoczył dopiero za trzecim podejściem. — Pani doktor, może nie jedźmy, może niech pani doktor zaczeka — powiedziały zaniepokojone pacjentki.

Odparła im na to coś, od czego włos się jeży głowie. Mianowicie, że ona wie, co robi, i trzeba mieć do niej zaufanie. Po czym ruszyła, przejechała slalomem ze dwieście metrów, na skutek czynnej interwencji facetki obok ominęła słupek w bramie, wjechała na podwórze rozlewni wód gazowanych i rąbnęła w mur budynku.

Z jaką szybkością jechała, nie wie nikt. Wniósłkując ze stanu samochodu, musiało to przekraczać czterdzieści. Ujrzała świat wokół siebie dopiero po rąbnięciu i wstrząsie mózgu, wysiadła, wykazała szaloną ruchliwość, przewróciła się na pasażerkę uszkodzoną, przygniatając ją dodatkowo i powodując prośbę, żeby poszła gdzie indziej, zabrało ją wreszcie pogotowie. Pasażerkom nic się nie stało, jedna, ta z przodu, miała otarcia skóry spowodowane pasem, wszystkie były ciężko przestraszone, a w ogóle na to podwórze wjechał najhałaśliwszy samochód świata, bo darły się przeraźliwie zgodnym chórem.

Po badaniach wyszło na jaw, że miała utratę świadomości. Nie przytomności, co byłoby zapewni korzystniejsze, tylko właśnie świadomości. Kończyny jej działały bez udziału tego co na górze, wydawało jej się tylko, że powinna coś zrobić i na tym koniec. Przyczyną był gwałtowny spadek cukru w organizmie. Samochód zabezpieczyła policja w sposób godzien najwyższej pochwały.

Od mojej strony wyglądało to tak, że o poranku zadzwonił telefon. Nie odbieram telefonów przed dziewiątą rano, ale usłyszałam sekretarkę i rzuciłam się do słuchawki. Dowiedziałam się, że Maria po kraksie leży w szpitalu w Tomaszowie Mazowieckim i mamy przyjechać do niej w piątek.

Zgadłam, że po odbiór. Złapałam Waldemara, opisany jest w *Wyścigach*, jeździ jako zawodowy kierowca radio-taxi, o Boże, może zrobię dygresję i załatwię go od razu...

Po pierwsze, żona Waldemara jest lekarzem weterynarii i wszyscy o tym wiedzieli. Szukaliśmy gwałtownie znajomego weterynarza, nie dam głowy, czy chodziło o Karo, czy o konie Sławka, czy o inne jakieś stworzenie, w każdym razie w grę wchodziło duże zwierzę. Zakłopotany Waldemar mamrotał coś, że jego żona zajmuje się raczej małymi zwierzątkami, ale co tam, rozmiar nie taki ważny, dopadliśmy jej i okazało się, że jest fachowcem od pszczoł...

Po drugie, córka Waldemara studiowała we Francji i poślubiła francuskiego hrabiego. Odbędzie się wesele, Waldemar przywiózł zdjęcia, popatrzyłam i poczułam się zdegustowana. Taka ładna dziewczyna, żeby wyszła za męża za coś podobnego, istny wypłosz, mały, chudy, ni pies, ni wydra, a niechby nawet był następcą tronu...

Po czym poznałam hrabiego osobiście. Przyjechali tu, zostałam zaproszona, przybyłam z wizytą i zmieniłam zdanie radykalnie. A cóż za uroczy facet! Pełen wdzięku, błyskotliwy, komunikatywny, inteligentny, z szalonym poczuciem humoru, czarujący! Sama byłabym gotowa go poślubić. Przestałam się dziwić całkowicie i prawie zaczęłam jej zazdrościć.

Przy okazji Marii żona Waldemara przeżyła chwilę wysoce atrakcyjną. Nie wiedziała jeszcze o niczym, bo Waldemara złapałam nie od razu i na mieście, odebrała telefon, w którym jakaś jednostka ze szpitala poinformowała ją, że bliska osoba miała katastrofę samochodową, i skamieniała. Akurat była w Polsce jej córka z mężem, pojechali na Mazury, jej mąż jeździ cały czas... Radość z komunikatu omal jej nie dobiła, w dodatku przez długą chwilę nie mogła się dowiedzieć, o kogo chodzi i czy ofiara żyje, bo ten ktoś ze szpitala, przekonany, że rozmówczyni ją zna sprawę, mówił do niej niejako dalszy ciąg. Później wyszło na jaw, że była to pielęgniarka, która chciała upewnić się, czy przyjedziemy.

Oczywiście pojechaliśmy w ów piątek. Okazało się, że dobrze zgadłam, należało ją odebrać. Była po wstrząsie mózgu, jedno żebro miała złamane, drugie naderwane, jej twarzy pożałowałam straszliwie, bo nie została wykorzystana. Proponowałam nieśmiało, żebyśmy się przeszły przez jakiś cmentarz, najlepiej wieczorem, równie znakomitego upiora ze świecą szukać, efekty mogły być nie do zapomnienia, ale nie chciała, nie wiem dlaczego. Nie w tym rzecz.

Odczekaliśmy przeszło godzinę, ponieważ pacjentka po wstrząsie mózgu, jeszcze nie wyleczona, musiała sama wszystko pozafatwiać. Pałętać się po pokojach i okienkach, czekać, aż bóstwo z administracji raczy przyjść i z niepojętą niechęcią wydać papierek, latać po schodach i ganiać pana ordynatora po korytarzach. Latałam za nią z

rozcapierzonymi rękami, pełna obaw, że lada chwila się przewróci, bo chwilami ją jakby zarzucało. Czy był to może rodzaj terapii...? Przypominam uprzejmie, że ona sama należy do służby zdrowia, jest koleżanką po fachu całego personelu, może to i uczciwe, że nie szanuje się nawet swoich... Załatwianie tej całej okropnej procedury zdrowego człowieka może doprowadzić do nerwicy, a co tu mówić o chorym...?

Kiedy Alicja w Birkerød wychodziła ze szpitala, przyszli do niej pan doktor z panią pielęgniarką, wręczyli jej wszystkie papiery za jednym zamachem, a oprócz tego obdarowali ją lekarami i środkami opatrunkowymi, których miała w najbliższym czasie używać. Byłam przy tym.

A może by tak i u nas jedna z drugą mierzwa administracyjna ruszyła tyłek z krzesła...?

O takie rzeczy, jak na przykład nędzne wyżywienie, nie czepiam się wcale. To znaczy owszem, czepiam się, ale nie służby zdrowia, która, jak wiadomo, nie ma pieniędzy. Można jednakże kogoś źle karmić, a zarazem traktować jak człowieka. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

W nieco dawniejszych czasach, kiedy służba zdrowia była podobno dotowana obficie, matka Ewy złamała rękę. Pogotowie zawiozło ją do szpitala, nie wiem, niestety, którego. Rejestracja przyjęła zgłoszenie, po czym matka Ewy trzy i pół godziny siedziała w kącie poczekalni na krześle, trzymając się za swoją złamaną rękę, i pies z kulawą nogą się nią nie zainteresował. Próbowała zaczepiać przechodzące pielęgniarki i lekarzy, zwrócić na siebie czyjąś uwagę, bez rezultatu. Dopiero Ewa, która o wypadku dowiedziała się po pracy, odnalazłszy ją i zrobiwszy potężną awanturę, spowodowała zajęcie się pacjentką. W szpitalu Przemienienia Pańskiego, gdzie leżała, na szczęście krótko, ciocia Jadzia, zdążyłam stać się uczestniczką następującej drobnej scenki:

Leżące razem z nią pacjentki zgodnym chórem błagały o coś do picia. Zwykłą wodę, niechby nawet z kranu, byle przegotowaną. Poszłam szukać salowej, znalazłam ją w kuchni, przekazałam prośbę.

— A tam, to potem — odparła lekceważąco wielka gruba baba i oddaliła się dokądś.

Przyniosłam im tej wody, znalazłszy w owej kuchni także czajnik i jakieś naczynie, ale nie stanowiło to rozwiązania generalnego. Ta salowa powinna może pracować w wlezeniu dla szczególnie zatwardziałych przestępców, a nie w szpitalu. Podobno mamy bezrobocie, a jakby tak wylać ją na zbity pysk i poprzebierać w innych kandydatkach? Nie ma kandydatek? To gdzie to bezrobocie...?

Z tego wszystkiego przykłady pozytywne opuściły mój umysł i będę je sobie z wysiłkiem przypominać. Chyba zacznę od tyłu.

Moja matka miała na twarzy, blisko oka, rosnący nowotwór o szczególnym charakterze. Złośliwy, rozrastający się tak, że w ciągu kilku lat mógł zająć pół twarzy, ale nie dający przerzutów. Zawlokłam ją do szpitala na Szaserów, wyjaśniwszy przedtem sytuację i uzgodniwszy zabieg z lekarzem. Ogólna trudność polegała na tym, że moja matka nienawidziła szpitali i pobyt w tej placówce zdrowia odbierał jej kawałek życia, czemu się wcale nie dziwiłam. Nie chciałam jej tam zostawiać na długo. Pan doktor mnie zrozumiał, załatwił sprawę z chirurgiem plastycznym i w rezultacie moja matka spędziła w szpitalu czterdzieści pięć minut.

Między nami mówiąc, byłam tym zabiegiem śmiertelnie przerażona, bo na mojej matce nic się nigdy nie chciało goić. Ukłucie szpilką paskudziło się na niej jak ugryzienie psa, oczekiwałam teraz okropności na twarzy. Nic podobnego nie nastąpiło, szwy wyjęto jej w domu po czterech dniach, po miesiącu zaś nie wiedziałam, z której strony miała ową złośliwą narośl, śladu nie było widać nawet przez lupę. Chirurg plastyczny światowej klasy, zabieg przeprowadzony bezbłędnie, piąt z zachwytu!

Moja operacja przeszła podobnie, pan profesor to geniusz, pani doktor laryngolog była — i jest, nie minęło jej to — tak piękną kobietą, że sam jej widok sprawiał przyjemność, czarująco sympatyczna w dodatku. Nie tylko dla mnie, dla innych pacjentów też.

Przykładem absolutnie świetlanym jest doktor Kazior, ale o nim już pisałam. Znakomitą lekarkę, pediatrę, znalazłam na Ochocie, w przychodni rejonowej. Doktor Fischerowa miała swoją progeniturę i obce dzieci traktowała tak jak własne, świetnie stawiała diagnozę i unikała antybiotyków. Trzymałam się jej pazurami także i później aż do chwili, kiedy moje dzieci przestały być dziećmi. Ginekolog, pani doktor Lidtke, jest od lat istnym aniołem prosto z nieba. Wśród całej plejady pielęgniarek, opiekujących się moją matką, tylko jedna w czasie dyżuru czytała książkę. Owszem, podawała co trzeba na życzenie chorej, była grzeczna, ale równie dobrze mogłaby pilnować, na przykład, zamkniętej bramy. Druga dla odmiany stanowiła przeciwwagę, też anioł, uczepiłam się jej jak rzep psiego ogona, w razie czego chcę mieć przy sobie tylko panią Marzenkę!

Stomatologia natomiast...

Nic z tego nie rozumiem. Przyjechała z byłego Związku Radzieckiego Helena i oznajmiła, że zamierza wyrwać sobie w Polsce szesnaście zębów pod narkozą. Bez narkozy nie pozwoli sobie wyrwać ani jednego, histeria bowiem jest to stan łagodny i pełen opanowania w porównaniu z jej doznaniem. U nas dają narkozę, wie o tym lepiej

ode mnie, wstawiają nawet od razu nowe zęby, gdzieś na Chłodnej, i ona to sobie załatwi za dwieście dolarów. Jednego zera nie jestem pewna, może to były dwa tysiące.

Potraktowałam sprawę podejrzliwie i nieufnie, Helena do właściwej placówki stomatologicznej trafiła sama, zarejestrowała się, wyjechała i po dwóch tygodniach przyjechała ponownie na zabieg. Operacja odbyła się rano, ilość zębów została ograniczona nie szesnaście ich miało być, tylko osiem. Też nieźle.

Udałam się do niej wieczorem, pełna troski i bardzo zaciekawiona. Mieszkała w hotelu na Woli. No i ujrzałam wszystko na własne oczy.

Helena z nowymi zębami rąbała właśnie kolację w towarzystwie dwóch swoich rodaków. Widziałam ją przedtem i mogę zaświadczyć, że zęby naprawdę były nowe i piękne. Trochę jakby osłupiałam.

— Jak się czujesz? — spytałam niepewnie.

— Widzisz przed sobą najszczęśliwszego cielewiewka na swjecje — odparła Helena uroczyście. — To ja. Przeglądaj sję.

No pewnie, że się przyglądałam wytrzeszczonymi oczami. Zaglądałam jej w te zęby z całej siły.

— Możesz jeść? Pozwolili ci tak od razu?

— Mogę wszystko. Wcale nie wiem, że mam zęby. Jakby mi nic nie robili. Najszczęśliwszy cielewiewek na swjecje to ja!

Opowiedziała z detalami, jak to się odbyło. Posadzili ją na fotelu, dali zastrzyk i kazali otworzyć usta. Zaprotestowała w dzikiej panice.

— Ale nie, jeszcze nie! Mnie sję wcale nie chce spać...

— Nic nie szkodzi — powiedziała pielęgniarka. — Niech pani otworzy usta, bo potem musielibyśmy otwierać przemocą.

No dobrze, otworzyła. Pielęgniarka, ku jej przerażeniu, wetknęła w nie jakiś patyk. Potem podeszła i wyjęła ten patyk, zapewne na chwilę. Helena z tej chwili skorzystała.

— Ale ja wcale nie jestem senna! — krzyknęła w popłochu. — Jeszcze nie...!!!

— Już po wszystkim, proszę pani...

Nie wierząc w ten cud, Helena obmacała zęby językiem. Były na miejscu, nowe. Tak niebiańskie wydarzenie przechodziło wszelkie pojęcie.

Działo się to trzy lata temu, a może nawet cztery. Zęby ma do tej pory i służą jej doskonale. I nie jest to żadna sztuczna szczęka ani proteza, jak Boga kocham, prawdziwe zęby!

Zainteresowałam się sprawą ogromnie i zaczęłam się dopytywać naokoło, jak by też taki cud osiągnąć jeszcze raz. Nikt nic nie wiedział i żaden dentysta nie udzielił mi sensownej odpowiedzi, większość twierdziła, że to w ogóle niemożliwe, a wszyscy kręcili. Poleciałam na Chłodną. W rejestracji siedziała normalna obrzydliwość, nadęta i wroga pacjentom megiera, z niechęcią wypuszczająca z siebie skąpe informacje. Rozmawiać należy z lekarzami, lekarzy na razie nie ma, przychodzą o szesnastej i od razu rozpoczynają operacje, stają się zatem niedostępni. To jak z nimi rozmawiać? No, może przychodzą kwadrans wcześniej i wtedy należy ich dopaść. Tak w przelocie.

Rozejrzałam się, gęstość zaludnienia w poczekalni wydała mi się podejrzana. No owszem, zgadzało się, wszyscy czekali na ten lekarski kwadrans, wszyscy zamierzali dopadać lekarzy. Jeśli to miały być warunki do poważnej rozmowy...

Rozzłościłam się i poszłam sobie precz. Potem zajmowałam się zębami mojej matki, a jeszcze później, na deser można powiedzieć, zębami Teresy. Do własnych nie miałam głowy i ducha. Tej całej operacji Heleny nie rozumiem do tej pory i nie uwierzyłabym w nią, gdybym osobiście nie obejrzała rezultatów. Co to w ogóle było...?

Zaczyna mi już nosem wychodzić ta cała służba zdrowia, szczególnie że mam przed sobą jeszcze dwa okropne tematy. Administrację państwową i przestępczość w tym kraju. Łączą się ściśle.

Dla wytchnienia i pociechy mogę poinformować wszystkich, że nie tylko u nas bywa cudownie. Duński szpital duńskim szpitalem, zamieszkać tam można z przyjemnością, ale konowały przytrafiają się nawet i w tym porządnym i solidnym kraju.

Alicja od lat narzekała, że ją bolą plecy, ściśle biorąc kręgosłup. Poszła do swojego lekarza.

— No, wiesz — powiedział lekarz. — To już starość. Nic na to nie poradzimy...

W parę miesięcy później uczestniczyła w katastrofie samochodowej jako pasażer. Nic wielkiego jej się nie stało, kierowczyni poleżała w szpitalu, ale też wyszła dość ulgowo, Alicja natomiast stwierdziła nagle, że plecy przestały ją boleć. Wniosek był jasny, rąbnęła się rzetelnie i coś w kręgosłupie wskoczyło na swoje miejsce. Znowu poszła do tego samego lekarza.

— Odmłodziłam o piętnaście lat — powiadomiła go jadowicie. — Nie zauważasz tego?

Lekarz chciał być grzeczny, ale jako prawdomówny Duńczyk miał z tym kłopoty. Dyplomatycznie spytał o przyczyny. Alicja z wielką satysfakcją wyjaśniła sprawę i na



tym się skończyło, lekarz nie przestał być konowalem. I na co jej było te parę lat ciężkich udreńk?

Przy okazji dokonam kolejnego sprostowania. Moja znajomość nazw rozmaitych medykamentów daleko odbiega od doskonałości i nawet się nie dziwię własnej pomyłce. To coś, co wywołało u Lucyny zaburzenia błędnika, to wcale nie była tarchocyлина, taki produkt nie istnieje i miałam zapewne skojarzenia z Tarchominem. Różni lekarze z Marią na czele

twierdzą, iż musiała to być tetracyklina. Proszę bardzo, nie mam zastrzeżeń, mogła sobie być.

A teraz nie poruszę żadnego z zaplanowanych tematów, tylko odpowiem na jeszcze jedno, wielokrotnie zadawane mi pytanie.

Mnóstwo razy byłam pytana przez osoby prywatne i dziennikarzy, ustnie i na piśmie, JAK piszę. W odpowiadaniu na pytanie „jak” mam dużą wprawę od czasów dzieciństwa Roberta, mogłabym załatwić sprawę jednym słowem: Szybko. Powoli. Chętnie. Niechętnie. Niewyraźnie. Głupio. Inteligentnie. Śmiesznie. Ponuro. Łatwo. Trudno. I tak dalej, i dalej, przysłówków mamy zatrzęsienie, a jak wiadomo, na pytanie „jak” odpowiada się przysłówkiem.

Doskonale wiem, że wcale nie o to chodzi. Owo „jak piszę” zawiera w sobie cały wachlarz zainteresowań, stanowi wysoce irytujący skrót, ale proszę bardzo, wyjątkowo odpowiem z przyjemnością.

Moje dzieci znajdują się w tej chwili w Londynie. Tkwią w ich domu, uwiązana do dwóch psów i usiłuję pracować. Znaczy, pisać. Więcej od tekstu interesuje mnie, które któremu zeżarło chrupki na śniadanie. Poker skrzywdził Karo czy też Karo wrębała witaminę Pokera? Któreś dobija się do drzwi i szlag mnie trafi, bo przed chwilą dałam im po jednej wołowej kości, żeby chociaż na jakiś czas miały zajęcie, niemożliwe, żeby już te kości załatwiły!

Poker oczywiście urósł i ma już przeszło sześć miesięcy, szczeniak jeszcze, ale już dorasta Karuni. Karunia jest megiera. Poker boi się jej panicznie, ale to dzielny pies, odszczekuje się jej z całej siły. Ona go za to nie dopuszcza do miski albo do łóżka, mały czarny diabeł przylatuje w tej sprawie do mnie, skarży i prosi, żeby mu pomóc. Byłe jak nie można. Karo jest obrażona, trzeba ją pogłaskać, podrapać, wytłumaczyć, że Pokerek też człowiek, przyjąć łapę, ułagodzić awanturnicę. No dobrze, łagodnieje i pozwala mu żyć. Czarny upiór jednakże chce się bawić, długo w spokoju nie wytrzyma, gryzie ją w

ucho, łapie za skórę i za ogon, obie doskonale wiemy, że trzeba od niego trochę odpocząć. Odseparować drania od spragnionej świętego spokoju psicy, zamknąć ją w garażu, na przykład, a on na zewnątrz niech łapie piłkę. Może ktoś wie, jak można równocześnie siedzieć w mieszkaniu przy maszynie i rzucać piłkę w ogrodzie...?

Wszystkie powyższe zdania udało mi się napisać jednym ciągiem chyba tylko dzięki tym kościom. Zdaje się, że teraz obszczekują kogoś na drodze.

O, właśnie! Nosem czuję, że psie mięso przywarło mi do garnka.

Nic takiego, zamieszałam, nie przypaliło się. Musiałam zrobić przerwę na makaron i zdążyłam zapomnieć, o co mi chodziło.

Głowę daję, że do drzwi drapie w tej chwili Poker. Karo nie drapie, nie musi, otwiera je sobie bez problemu sama, jeszcze nie nauczyła tej sztuki szczeniaka, ale sądzę, że niewiele brakuje. Nie pójdę teraz do psów!

Wczoraj cztery razy zgasło światło i o mało nie zagnieździłam się na schodach do piwnicy. Za każdym zgaśnięciem trzeba na nowo włączyć hydrofor, inaczej będzie nieszczęście. Czego ten pies chce, do cholery...? Czatowałam jak kto głupi na piąty raz, to nie, piąty raz nie wyłączyli.

Boję się opuścić dom moich dzieci, ponieważ brama się zacina, a z kluczem do furtki mam kłopoty. Ściśle biorąc, w ogóle nie udało mi się go przekręcić. Istnieje duża szansa, że po wyjściu stąd nie zdołam wrócić, ja tam, na zewnątrz, głodne psy tu, w środku, mam przełazić górą czy jak...? Jedynym ratunkiem jest Bogdan, wymieniamy się, kiedy muszę odjechać.

Dałam im po kawałku pasztetówki, nieco przechodzonej, Poker zeżarł swoje natychmiast. Karo zakopała w świeżo posadzonych wrzosach. Poker to widział. Usiadł w pobliżu, czekając na chwilę, kiedy będzie mógł wykopać, Karo usiadła również. Nie warczała nawet, wystarczyło, że zmarszczyła nos i pokazała zęby. Położyła się w końcu na skarbie, Poker zatem wywlókł z ziemi kępkę wrzosu. Poszłam wsadzić ją z powrotem, nic z tego, jedno uczepliło się mnie jak rzep psiego ogona, drugie pilnowało, żeby tamto nie podeszło zbyt blisko, usiłowałam zająć je piłką, skutek był taki, że się pogryzły. Ten wrzos jednak będę musiała wsadzić...

No i proszę bardzo, tak właśnie piszę...

Nieszczęściem absolutnym, nie tylko moim, ale każdego autora, są błędy drukarskie. Jak błędy wykonawcy budowlanego z reguły przypisywane są projektantowi, tak błędy składacza autorowi utworu. Ja wiem, że „wyżynanie się wzajemne” przez samo „ż” to nie

jest MacLean, ani nawet tłumacz, tylko zecer, ale czytelnik tego wiedzieć nie musi. A błędy ortograficzne w *Krzyżakach*...? Młodzież szkolna to czyta i dzieci i potem się dziwimy, że dorośli ludzie nie wiedzą, jak się co pisze!

Mnie zrobiono parę numerów ekstra. Najdawniejszy znalazł się w pierwszym wydaniu *Krokodyla z kraju Karoliny*. W maszynopisie wyraźnie stało, że ze środkowego pasa skręciłam w lewo i cały dalszy ciąg w pełni z tym koresponduje, w książce na stronie jedenastej „lewo” zamieniono na „prawo” i dalszy ciąg stracił sens. Ciemno w oczach zrobi mi się za późno, nic się nie dało naprawić, cierpiałam przez dwadzieścia lat, aż wreszcie korektę wprowadziła „Alfa”, a potem Polski Dom Wydawniczym. „Horyzonty” załatwiły mnie w *Wielkich zasługach*, wystarczy jedna litera, żeby zmienić treść. Miało tam być „ta cała Mizia”, a wyszła „ta mała Mizia”. Cała czy mała to jednak różnica, wyobraźmy sobie wielkiego, grubego, starszawego faceta, o którym ktoś mówi „ten cały Feluś”, zmieniają mu to na „ten mały Feluś” i czytelnik zaczyna się zastanawiać, co, na litość boską, przeoczył, skąd się wziął mały Feluś, może pojawił się gdzieś jakiś gówniarz, który umknął jego uwadze, zaczyna szukać do tyłu... Ludzie, powiesić się, nic innego! Albo „barek”, niech go piorun strzeli, od dawna nie mam już pierwszych wydań i teraz nie pamiętam, co mi wymieniono, „barek” na „barak” czy odwrotnie. Ludzie jedli ryby w baraku, w porządku, jeżeli spożywali je w barku, należałoby to może uzasadnić...? Niby nic, a jednak.

W *Nieboszczyku* dodatkowo zostałam wykończona geograficznie. Umknęło mi to w korekcie, a może zostało zmienione później i dopiero czytelnicy powiadomili mnie o pomyłce. Skąd redakcja wzięła Biały Przylądek, zabijcie mnie, nie wiem, w mojej wersji był Zielony. Capo Verde, Zielony Przylądek na zachodnim wybrzeżu Afryki, nie tylko miałam go na myśli, ale do dziś stoi mi w oczach to duże „Z” w maszynopisie. Może składacz nie lubił zielonego koloru, pojęcia nie mam, w każdym razie „Zielony” zamienił na „Biały”, czyniąc ze mnie idiotkę geograficzną. Szczerze mówiąc, ogłuszyło mnie to tak, że nawet nie wiem, czy Biały Przylądek w ogóle gdzieś istnieje. Nie mam teraz czasu szukać go po różnych mapach.

Nie dam rady także przeczytać na poczekaniu wszystkich własnych książek, więc konkretnych błędów w pełnym zakresie nie wymienię. Pamiętam, że niektóre są przerażająco kretyńskie. Nie mam tu na myśli pomyłek własnych, które prostuję wszelkimi siłami, tylko przeoczenia zecerskie nie do naprawienia, pozostające w tekście, aczkolwiek korekty pilnuję niczym oka w głowie.

Kiedyś, na początku zmian ustrojowych, kiedy wznowienia ledwo zaczynały ruszać, dostałam z katowickiego wydawnictwa szczotkę *Studni przodków*. Pomijam to, że składaczowi, pardon, składaczce, była podpisana, tekst się ogólnie nie podobał i usiłowała go skracać, zestawiając ze sobą pierwsze zdanie jednego akapitu i ostatnie zdanie następnego, co wychodziło trochę dziwnie, ale do tego jeszcze wprowadziła własną ortografię. Wszystkie „porządny” zamieniła mi na „pożądny”, a „pożądany” na „porządany”. W jakimś momencie sama przestałam rozumieć, o co mi chodziło. Uczyniła to tak konsekwentnie, że zaczęłam ją podejrzewać o bardzo stanowczą nauczycielkę w szkole, a podejrzenie wylęzło się z doświadczenia osobistego.

Córka naszej sąsiadki z Niepodległości dostała kiedyś dwóję z dyktanda i zdenerwowana sąsiadka przyleciała do nas z pytaniem, jak się pisze „ołówek”. Dziecko napisało prawidłowo, „ołówek”, nauczycielka podkreśliła to grubą czerwoną krechę i poprawiła na „ołuwek”. O mój Boże...

I co tu się dziwić kapralowi MO na głębokiej prowincji, że w protokóle umieścił słowo „łóho”? Nie miało to być duże łóżko, co w pierwszej chwili nasunęło się wszystkim, tylko zwyczajnie ucho. Też musiał mieć doskonałych nauczycieli.

Właściwie, przejechawszy się delikatnie po służbie zdrowia, powinnam teraz wziąć się za nauczycieli, też jest to bowiem zawód, wymagający powołania, niestety, za moich młodych lat nauczycielki były znakomite i własnych doświadczeń nie posiadam, później zaś, szczerze mówiąc, unikałam szkoły jak morowej zarazy. Ścisłejszy kontakt z nauczycielką mojego syna nawiązałam jeden raz i nie świadczy on o niej źle.

Była to nauczycielka języka rosyjskiego. Dziecko miało z przedmiotu dwóję jak stąd do Ameryki, zbliżał się koniec roku i zagrożone było poprawką. Nie chciał mieć poprawki, a nauczycielka już go nawet nie chciała pytać. Włączyłam się w sprawę, bo w moich oczach i uszach uczył się przez tydzień bez przerwy i byłam zdania, że wysiłek powinien zostać jakoś nagrodzony. Poszłam do niej we właściwej chwili.

— Proszę pani, jeśli on przez dwa lata nic nie umiał, to jakim cudem mógł się nauczyć przez jeden tydzień! — powiedziała do mnie zirytowana kobieta. — Ten egzamin nie ma żadnego sensu.

Zgodziłam się z nią.

— Pewnie, że nie ma żadnego sensu, ale stanowi część działalności wychowawczej i niech mi pani w niej pomoże. Niech on się sam przekona, bo inaczej utrwali w sobie pogląd, że on jest mądry, a my obie głupie.

Wzruszyła ramionami i zabrała go do gabinetu na przepytanie. Czekałam w holu. W głębi duszy miałam wielkie nadzieje, bo znałam już trochę własne dzieci. W grę wchodził oczywiście Jerzy, a nie Robert, Robert na takie drobiazgi jak szkolne dwóje kichał generalnie.

Po półgodzinie nauczycielka wyszła, zdumiona tak śmiertelnie, że prawie było jej to widać we włosach.

— Wie pani, że on to wszystko umie — powiedziała w oszołomieniu bez granic. — Chyba się rzeczywiście nauczył albo może przedtem udawał...? postawiłam mu trójkę. Nic nie rozumiem...

Bóg wie, który raz pobłogosławiłam w dzieciach geny po ojcu. Do języków obcych naprawdę byli uzdolnieni.

Z błędami drukarskimi nie ma to oczywiście nic wspólnego.

Wciąż jeszcze siedzę u moich dzieci, które dzisiaj wracają. Przyjechali właśnie szambiarze i pompują szambo. Oba psy musiałam zamknąć w domu. Karo była temu przeciwna, ugryzła Pokera, który się popłakał. Awanturują się i co drugie słowo muszę im zwracać uwagę. Co za tekst z tego wyjdzie...?!

Jeśli jeszcze raz ktoś mnie zapyta, jak piszę, zacznę strzelać!

W charakterze wydarzeń z ostatniej chwili występują dwie podróże.

W sierpniu, kiedy jeszcze było wściekle gorąco, Karolina zapragnęła zobaczyć Euro-Disneyland pod Paryżem i moja synowa zdecydowała się jechać. Ni z tego, ni z owego postanowiłam jechać z nimi. Namysliłam się w ciągu jednego dnia, zerwałam się z miejsca i pojechałam, nader głupio.

Głupota objawiła się w pakowaniu. Zamiast wziąć dwie torby, jedną z rzeczami na zapas i drugą podręczną, lekką, do noszenia po hotelach, wbiłam wszystko do wielkiej kobyły, która, oczywiście, nabrała stosownego ciężaru. Dygowałam ją potem zła na siebie jak piorun.

Po drodze nie działo się nic szczególnego, do hoteli miałyśmy szczęście, dwukrotnie trafiłyśmy na bardzo dobre i wygodne, miejsca w nich były, autostradę w przebudowie Iwonie udało się pokonać, trzeciego dnia podróży zatrzymałyśmy się w Reims, gdzie uparłam się obejrzeć katedrę. Dziewczynki trochę grymasiły, bo już chciały dotrzeć na miejsce, ja też chciałam, ale być w Reims i na katedrę nawet nie spojrzeć, to już głupio.

— Z wierzchu chcę popatrzeć — zawiadomiłam je stanowczo. — Do środka się nie pcham.

Iwona uległa, skierowała się ku budowli, objechała ją dookoła.

— No i na co mamuni te rusztowania? — spytała z wyrzutem.

No dobrze, katedra była w remoncie, dałam jej spokój. Dojechaliśmy do tego Euro-Disneylandu, hotel wybrałszy sobie na podstawie obrazka w prospekcie, i tam zaczęło się piekło na ziemi. Tłumy dzikie kłębiły się wszędzie, ilość dzieci przekraczała wszelką ludzką wytrzymałość, ale w końcu impreza została wymyślona dla dzieci i należało się z tym pogodzić. Iwona z Karoliną poleciały do recepcji, chyba z godzinę czekałam w samochodzie, pilnując mienia i z wielkim zainteresowaniem oglądając sceny wokół. Dostałyśmy apartament, dwa pokoje połączone ze sobą, wcześniej jeszcze było, bo z Reims do Paryża niedaleko, ruszyłyśmy zatem zwiedzać zasadniczą atrakcję.

Pogoda się popsowała, powiał wiatr, na niebo wlażyły chmury i zaczął popadywać deszczyk. Nie szkodzi, taki mały, mżawkowy deszczyk to drobiazg.

Wzmógł się dość wyraźnie, kiedy Iwona i Karolina poszły jeździć w filizankach. Znajdowały się pod dachem, ja na zewnątrz, gapiłam się na nie i nie przyszło mi do głowy, żeby się obejrzeć, tymczasem tuż za mną sprzedawano żółte peleryny od deszczu. Dostrzegła je dopiero Iwona, przedarła się przez tłum, Kupiła trzy, ubrałyśmy się w nie i deszcz natychmiast przestał padać.

Oberwanie chmury nastąpiło, kiedy znalazłyśmy się w labiryncie Alicji w Krainie Czarów. Labirynt ma to do siebie, że nie jest łatwo z niego wyjść, istniał pod gołym niebem, tworzyły go strzyżone gęste żywopłoty, przez które nie dało rady się przepchnąć, alejkami płynęły potoki po kostki, z góry walił istny wodospad. Karolina chichotała szatańsko, prowadząc nas w zaułki bez wyjścia. Kiedy wreszcie udało nam się stamtąd wydostać, ulewa skończyła się jak nożem uciął.

Woda pod nogami jednakże została. Usiłując omijać co głębsze kałuże, szłam za nimi, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię. Nagle znalazłam się w ogonku do czegoś, tłum przede mną, tłum za mną, ogonek wlażył między barierki i wyraźnie kierował się do jakiegoś budynku.

Pojechałam z nimi, bo chciałam odpocząć. Byłam śmiertelnie zmęczona i spragniona świętego spokoju. Nie miałam najmniejszego zamiaru wdawać się w jakieś skomplikowane rozrywki i wstrząsające emocje, z góry zapowiedziałam, że na żadne kolejki nie wsiadam, mogę popływać statkiem po jeziorze i na tym koniec, chcę siedzieć bezmyślnie na ławce i odpoczywać, uciekłam z Warszawy wyłącznie w tym celu.

Oglądanie z wierzchu tych wszystkich dekoracji usatysfakcjonuje mnie najzupełniej dostatecznie, tu nagle okazuje się, że stoję w ogonku do jakiegoś szataństwa i mam w tym wziąć udział!

Zaniepokoiłam się bardzo poważnie.

— Co tu ma być? — spytałam podejrzliwie. — Do czego my się pchamy?

— Podróż w kosmos — odparła Karolina z bezgraniczną uciechą.

— Nie jadę. Żadnych kosmosów sobie nie życzę. Wyście chyba zgłupiały.

— Teraz przepadło, już się mamunia stąd nie wydostanie, wchodzimy. Tu jest jeden kierunek ruchu — pocieszyła mnie Iwona.

Poddałam się, bo też istotnie wypchnąć się stamtąd było niemożliwe. Ogonek posuwał się nawet dość szybko i w końcu wpuszczono nas do małej salki kinowej z olbrzymim ekranem na całą ścianę. Kazano się przypasać, jak w samolocie. Przeczucia miałam coraz gorsze. Z głośnika odezwał się kapitan statku międzyplanetarnego i między innymi rzekł:

— To jest pierwsza państwa podróż w kosmos. Moja też...

Wprowadzająca panienka uciekła i zamknęła za sobą drzwi. No i to wszystko, jak Boga kocham, ruszyło...

Jak oni to zrobili, nie mam pojęcia, ale cała salka kinowa popruła przed siebie z dużym przyspieszeniem. Wrota się przed nami rozwarły, ukazał się jakby próg, za nim przepaść i wszystko runęło na mordę w dół. Uratowało się jednak i poszło w górę, w ten kosmos, wpadło w meteoryty, waliły w krzesło ze wszystkich stron, całość leciała z dzikim wizgiem do przodu, hamowała gwałtownie, zmieniała kierunek, wdzierwała się w jakieś mgławice czy inne draństwo, rany boskie...! Zamknęłam oczy i z całej siły trzymałam się poręczy, żeby nie walić twarzą faceta przede mną, z jednej strony darły mi się przeraźliwie nad uchem Iwona i Karolina, z drugiej obce osoby, cała salka wrzeszczała, ile miała tchu w płucach. Matko jedyna moja...!!!

Gorsze to było niż kolejka w Baken. Miotana w krzesła kosmicznymi wstrząsami, zajęłam się składaniem sobie uroczystych przysięg, że nigdzie więcej nie wejdę za skarby świata. Od czasu do czasu otwierałam jedno oko i zamykałam je czym prędzej. Trwało to okropieństwo sześć minut, przysięgłabym, że godzinę, po czym, kiedy upiorny statek wreszcie lądował i wszyscy zaczęli oddychać z ulgą, ukazał się przed nami pociąg jadący w poprzek. Nie wiem, jak uniknęliśmy katastrofy, bo znów zamknęłam oczy.

Iwona z Karoliną poszły tam drugi raz.

— Za drugim razem wrażenie jest już mniejsze — powiedziała Iwona. — Można to przetrzymać z otwartymi oczami.

Karolina chciała wykorzystać pobyt rzetelnie i obejrzeć wszystko. Poszliśmy do piratów.

Piraci jak piraci, gdzieś muszą mieszkać, najlepiej w grotach. Z początku wyglądało to niewinnie, weszłam tam bez oporu, chociaż już teraz trochę nieufnie, i rychło okazało się, że cofnąć się znów nie można, trzeba iść dalej. Światło dzienne diabli wzięli, zrobiło się ciemno, jakieś nędzne łuczywka nie pozwalały dostrzec, co się ma pod nogami, to górka, to dołek, to jakieś nierówności i przeszkody, coś okropnego. Doprowadzała ta droga do wielkiej jaskini, widać stamtąd było piracką knajpę z mnóstwem ludzi, prawdziwych, jedli ci ludzie i pili, i zrobiłam się potwornie głodna, ale dostępu do knajpy nie było. Znów należało stać w ogonku, który schodził w dół, do rzeki, i tam wsiadało się do łodzi.

No, nareszcie jakaś spokojna rozrywka, pomyślałam z zadowoleniem, widząc rozmiar łodzi i płytkość wody.

Łódź ruszyła i zanim się zdążyłam obejrzeć, zaczęła wjeżdżać pod stromą górę. Jezus Mario, spojrzałam za siebie w popłochu, gdzie to wszystko runie, jak się urwą liny, bo aż skrzypiały. Nie urwały się jednak, za to z góry łódź poszła w dół na zbity pysk, no i już miałam spokojną rozrywkę. Potem nareszcie wyrównała poziom i popłynęła, objijając się tylko nieco o skaliste brzegi.

Pirackie widoki były bardzo piękne, to skarby, to pijana baba, to wisielec w stanie rozkładu, to jakiś facet dziabiący nożem drugiego faceta, to kościotrup, wszystko jak się należy. Miałam nadzieję, że wywiozą nas na zewnątrz, co oszczędziłoby drogi w owych ciemnych grotach, ale nie, dojechaliśmy w to samo miejsce, gdzie się wsiadało. Postanowiłam przetrzymać wycieczkę cierpliwie i okazało się, że słusznie, po drugiej stronie rzeki wystarczyło parę kroków, żeby opuścić pirackie kazamaty.

Zasadniczym efektem tego zwiedzania stał się głód. Zaraz obok trafiłyśmy na bar, wolne stoliki stały na świeżym powietrzu pod parasolami, nie było tłoku, spokojnie zjadłyśmy późny obiad, lub też wczesną kolację, składając sobie wzajemnie powinszowania. Zdążyłyśmy w ostatniej chwili, już w połowie naszego posiłku zwałił się tam cały tłum i przed ladą w barze kłębiło się coś, co mocno przypominało Związek Radziecki. Byłyśmy wygrane i jeszcze wtedy nie wiedziałyśmy nawet, jak bardzo.

Odpracowawszy Pałac Strachów, wycieczkę statkiem po jeziorze, paradę bajek, zimne ognie i parę innych drobnostek, wróciłyśmy do hotelu, gdzie pojawiły się rozrywki odmiennego gatunku.

Karolina ugrzęzła przed telewizorem z „Małą Syrenką”, a my obie z Iwoną poszłyśmy do baru hotelowego napić się wina. We Francji pije się wino i jest to prawie obowiązek.



Po tamtej obiado–kolacji nie byliśmy głodne i na nowo zaczęliśmy składać sobie gratulacje.

W hotelowej restauracji nie było nic do jedzenia, a za to szalały tam tabuny dzieci. Część bawiła się w barze na podłodze. Dochodziła, chwalić Boga, pierwsza w nocy i niewątpliwie były to dzieci wychowywane bez stresów.

Historia dziecka bez stresów z pewnością rozeszła się już po całym kraju i wszyscy ją znają, ale na wszelki wypadek przypomnę. Jestem w tej doskonałej sytuacji, że scenę oglądała na własne oczy moja znajoma, która opowiedziała mi o niej w pół godziny później.

Jechała tramwajem i na tramwajowej ławce siedziała matka z dzieckiem. Naprzeciwko siedziała jakaś pani w jasnym płaszczu. Dziecko było nieznośne, kręciło się i kopało zabłoconymi butami ów jasny płaszcz. Pani grzecznie zwróciła uwagę matce, prosząc, żeby nieco utemperowała potomka.

— Ja, proszę pani, wychowuję dziecko bez stresów — odparła na to matka, nadąwszy się godnie, podczas gdy dziecko nadal kopało.

Na to odwrócił się jakiś pan, podszedł, napluł na nią i rzekł:

— Ja też byłem wychowywany bez stresów.

Co było dalej, nie wiem, ale cały tramwaj mu przyklasnął.

No i takie właśnie bezstresowe dzieci poniewierały się o pierwszej w nocy po podłodze hotelowego baru.

Następnego wieczoru jakaś para chciała zjeść kolację, przynieśli im kawę, coca–colę i chipsy. Zdaje się, że dysponowano także słodkimi chrupkami. Goście przy innym stoliku zrobili wściekłą awanturę, czemu trudno się dziwić. Nauczone doświadczeniem z poprzedniego dnia, nie miałyśmy tych problemów, przed południem skoczyłyśmy RER–em do Paryża i przywiozłyśmy sobie kanapki, potężne były z różną zawartością, które ciężko było zjeść na jeden raz. Nie po były, rzecz jasna, udałyśmy się do stolicy, tylko po jakieś pomoce naukowe dla Karoliny, były wpadły nam w ręce przy okazji.

Rano zabrakło produktów na śniadanie, zostały tylko croissanty, masło i dżem. Nie wiem, jak było w innych hotelach, ale ten nasz, drogi {wysokiej klasy, stanowczo nie spełniał swojego zadania i nie potrafię zrozumieć, dlaczego to zostało tak źle zorganizowane.

Podobnie zresztą wyglądała sprawa na terenie rozrywkowym. Tych barów działało tam tyle co kot napłakał, w obfitości dostępna była tylko coca–cola, soki owocowe, lody i prażona kukurydza. Wyżywienie dla osób dorosłych potraktowano po macoszemu,

grupując wszystkie restauracje przy samym wejściu. Nie każdemu chciało się tam lecieć w trakcie zabawy i w godzinach popołudniowych i wieczornych głodna tłuszcza oblegała nieliczne bufety, bijąc się niemal o frytki. Z tym barem pod piratami miałyśmy ślepy fart.

Z drugiej znów strony goście w tym hotelu musieli się nieźle zaprezentować, bo wprowadzono rygory. Za korzystanie z telefonu w pokoju należało wpłacić kaucję w wysokości pięciuset franków, za użytkowanie barku również. Dysponowałyśmy takimi sumami, ale na żadne kaucje nie miałyśmy ochoty z bardzo prostego powodu. Wątpliwe było, czy zdołamy przepić i przetelefonować pięćset franków w ciągu dwóch dni, spędzanych w dodatku poza hotelem, musiałybyśmy zatem stać później w ogonku do recepcji po zwrot reszty. Mogłoby to potrwać i ze dwie godziny, szkoda nam było czasu.

W drodze powrotnej samochód mojej synowej zaczął się psuć. Ściśle biorąc, był to samochód mojego syna. a może nawet psa, bo bagażnik tego forda Karo uważa za swoją własność. Psucie się polegało na tajemniczym znikaniu wody z chłodnicy i właściwie dało się zauważyć już na początku podróży.

Głędziłam ciągle o starych miastach nad Renem, usiłując sobie przypomnieć, gdzie stał na moście arcybiskup w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej, w Moguncji czy w Koblencji, aż wreszcie wykrakałam. Tuż za Koblencją znalazłyśmy hotel, chłodnica zachowała się jak gejzer, Iwona w panice zadzwoniła do Jerzego, on zaś kazał natychmiast oddać samochód do naprawy. Stację forda w Koblencji znaleźć łatwo, pojechałyśmy tam rano, obiecali zrobić na jutro i jeszcze odwieźli nas do innego hotelu na własny koszt.

Panienki poddały się mojemu gadaniu i propozycjom, kupiłyśmy plan miasta i wedle niego poszłyśmy oglądać starą Koblencję.

Może ona i była stara w tym miejscu, ale zamiast znaleźć szczątki sprzed wieków, trafiłam bezbłędnie do centrum handlowego. Duże było i nader zajmujące.

— Mamunia doskonale prowadzi — pochwaliła mnie Iwona. — Zawsze już będziemy szły za mamunią na zwiedzanie zabytków.

Niemcy jak to Niemcy, zrobili samochód punktualnie i następnego dnia wieczorem wjechałyśmy do kraju.

Na marginesie: arcybiskup stał na moście w Moguncji.

Razem wzięwszy, te dwa wydarzenia, kraksa Marii i podróż do Euro-Disneylandu, wywarły na mnie potężny wpływ i odkupiłam sobie wreszcie samochód. Zostałam do tego zmuszona, bo w końcu nie mogłyśmy już obie z Marią zostać spieszone, chociażby ze względu na wyścigi. Nie ma jak stamtąd wyjechać, a radio-taxi nie zawsze umie trafić do

łoży dyrekcji i człowiek zostaje na lodzie. Bardzo dobrze wiem, że dwuipółkilometrowy spacer trzy razy 1 w tygodniu wyszedłby mi na zdrowie, ale mam na to 1 za mało czasu, musiałam zatem załatwić sprawę inaczej.

Nabywszy małą toyotę, natychmiast pojechałam do Danii. W podróży do Paryża, musiałam stosować się do wymagań mojej synowej i wnuczki, te młode gangreny zaś ustawicznie mnie poganiały. Nie dziwiłam się im nawet zbytnio, Iwona miała dosyć korków na autostradach i chciała wreszcie dojechać, Karolinę pchało do upragnionej rozrywki, sama na ich miejscu śpieszyłabym się tak samo, ale wyjechałam w celach czysto wypoczynkowych i pośpiech mi w tym relaksie przeszkadzał. Postanowiłam zatem pojechać sobie sama i robić, co zechcę.

Okazało się, że dawne właściwości moich podróży wcale nie uległy zmianie. Przeciwności atmosferyczne przybrały tylko inne oblicze, wiedziały widocznie, że w nocne mgły nie dam się już wpędzić, a pora roku nie sprzyjała gołoledzi, dostarczyły mi zatem słońca w oczy. Zbliżając się do Szczecina, przez dwie godziny nie powiem, co widziałam, w okularach źle, bez okularów jeszcze gorzej, światło nie było ostre, tylko zamglone, a gdyby mi się coś czołgało w cieniu, przejechałabym to z całą pewnością.

Zgniewało mnie to, zrezygnowałam z zaplanowanej Lubeki i skręciłam na Warnemunde. Trasę przez Danię znałam doskonale i przyczyn, dla których przejechałam przez środek Kopenhagi, zamiast ją objechać, nie znam, może mnie serce ciągnęło, bo Kopenhagę lubię. Po czym, też diabli wiedzą dlaczego, skręciłam przed Nørreportem, a nie za.

Jakie sztuki czyniłam, żeby przedostać się na autostradę do Hillerød, ludzkie słowo nie wypowie, nie było siły, za każdą próbą zmiany kierunku bezbłędnie trafiałam do Charlottenlund. Nie był to dzień wyścigowy. Po trzecim razie poddałam się, przejechałam obok wejścia na teren wyścigów i udałam się do Birkerød zwyczajnie, tak jakbym wracała z toru.

Nie było mi przeznaczone. W Klampenborg zjechałam na autostradę do Helsingør, chociaż wcale nie miałam takiego zamiaru, skręciłam ku Birkerød od północnej strony, przedarłam się przez jedyną chyba w Danii morenę denną, nawet fajnie się tam jedzie, trochę to przypomina karuzelę, znalazłam się wreszcie na właściwej szosie i znów pojechałam odwrotnie. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że znajduję się już w Birkerød, ale było to Birkerød całkowicie mi nie znane. Śmiać mi się chciało i jednocześnie robiłam się wściekła, zaczęło się ściemniać, przejechałam przez jakiś las, do cholery, nic nie wiem o żadnym lesie...! Za lasem pojawiły się zabudowania, jakiś

ośrodek czegoś, bezludne to całkiem, żywego ducha nie widać, zawracałam w paru miejscach, wreszcie ujrzałam facetkę w średnim wieku, udającą się na spacer w szczerze pole. Podjechałam do niej, grzecznie spytałam o drogę. Nawet na mnie nie spojrzała, szła dalej, jak głucha. Znów zawróciłam...

Kiedy stałam na dużym dziedzińcu, zastanawiając się nad noclegiem w tym osobliwym miejscu, pojawił się wreszcie jeden normalny człowiek, wyszedł z budynku i spytał, czy nie potrzebuję przypadkiem jakiejś pomocy. Potrzebowałam gwałtownie. Wyjaśniłam sprawę bez trudu, bo w sytuacjach podbramkowych języki obce wybiegają mi z ust ostrym sprintem, facet zaczął się śmiać, kazał poczekać chwilkę i po trzech minutach wyniósł mi odbitkę kseno z zaznaczoną dla mnie trasą. Okazało się, że dotarłam na teren zakładu dla wariatów...

Nic nie przesadzam, święta prawda, takie ichnie Tworki. Teraz przyjmują tam także uszkodzonych nerwowo uciekinierów z różnych krajów. Wedle trasy na odbitce dojechałam już bez trudu do właściwej szosy i znalazłam się w centrum handlowym Birkerød, skąd do domu Alicji mogłam trafić w egipskich ciemnościach i z zawiązanymi oczami.

Po czym, chyba już od następnego dnia, zaczęłam robić dalsze sztuki. Uparłam się przejechać prostą trasą do Charlottenlund i tak samo wrócić. Trasa wiedzie przez centrum Lyngby, gdzie porobili jedne kierunki ruchu, znakomicie utrudniające takie zamierzenie, jeden raz udało mi się osiągnąć cel i wrócić do Birkerød właściwą drogą. Do tej pory nie zdołałam odgadnąć, w czym leży pułapka.

Co gorsza, w Lyngby znajduje się filia Magasin du Nord i postanowiłam wybrać się tam w celu nabycia szlafroka, bo nie chciało mi się jechać do Kopenhagi. Kiedy w sobotę wieczorem wracałam z wyścigów, Magasin du Nord napatoczył mi się znienacka sam z siebie, bez żadnych moich starań. Oczywiście był zamknięty. Pomyślałam, że już wiem, gdzie jest, i łatwo go odnajdę, pojechałam w poniedziałek i pięć razy zawracałam z tras wyjazdowych z Lyngby w rozmaite strony. Skręciłam byle gdzie po raz szósty, bardzo zainteresowana, dokąd wywiedzie mnie teraz, i znalazłam się na tyłach Magasin du Nord, na parkingu dla klientów, tuż przy drzwiach wejściowych. Nie będę się już roztkliwiać nad nową posiadłością Alicji, żeby jej niepotrzebnie nie denerwować, Alicji, nie posiadłości. Przez okropną pomyłkę nabyła działkę pracowniczą z domeczkiem, po czym okazało się, że primo, ziemia do niej wcale nie należy, tylko sam domeczek, a secundo, jest obowiązana uprawiać ją wedle ustalonych reguł. Strzyc żywopłot i trawniki, usuwać zielsko, hodować rośliny użyteczne, czyścić drogę przed sobą i diabli wiedzą, co tam

jeszcze. W dodatku posiada tę działkę bezprawnie, bo ma własny dom i ogród, a takie działki są przeznaczone wyłącznie do osób, mieszkających w blokach. Podobno pomyłono ją z jej szwagrem, bratem Thorkilda, nazwisko to samo...

Poświęciłam się średnio. We własnym ogrodzie Alicja miała jabłka i wciąż jeszcze nie mogę się przemóc, żeby wziąć kawałek jabłka do ust, znienawidziłam te najzdrowsze owoce świata. Opadły wszystkie, część leżała już na dziedzińcu, reszta pod drzewem, Alicja pojechała na Bornholm, zostałam z jabłkami. Już nazajutrz nie mogłam na nie patrzeć, jeden dzień spędziłam, jeżdżąc po Birkerød i szukając odpowiednich śmietników, od następnego zaczęłam podstępnie rozwozić i wyrzucać torby. Upłyniłam wszystkie, pozbierawszy także te spod drzewa, odetchnęłam z ulgą, po czym natychmiast okazało się, że teraz zaczynają lecieć te z późniejszych jabłoni... Zbuntowałam się, ograniczając poświęcenie. Za to nie wytrzymałam i na owej pomyłkowej działce, której byłam przeciwna, powycinałam cały wyrosnięty bambus. Raził moje poczucie estetyki.

Powódź w Kopenhadze przespałyśmy, ale wicher dał się zauważyć. Zamierzałam wracać do kraju, zawahałam się z określeniem terminu, postanowiłam przeczekać najgorsze, bo innej drogi powrotu jak promem nie było. Alicja lekceważyła trochę moje obawy, aż do chwili dramatycznej.

— Może ty rzeczywiście trochę poczekać — powiedziała, kiedy wróciłam z Charlottenlund. — Niech ten wiatr się uspokoi. Prom się utopił.

— Wyglupiasz się? — spytałam, śmiertelnie zaskoczona.

— A skąd. Naprawdę się utopił.

Nastąpiła właśnie katastrofa „Estonii”. Przez trzy dni żyła nią cała wstrząśnięta Skandynawia, różne okropne sceny pokazywała telewizja, oglądałyśmy to z wielkim przejęciem. Na rozum wiadomo było, że teraz jest najbezpieczniej, nie ma tak, żeby te promy tonęły jeden po drugim, następna katastrofa może się przydarzyć za dwadzieścia lat, ale co z tego, skoro dostałam hysterii. Przyśniła mi się łódź ratunkowa, jedna z tych, które przewracają się na tonącego, i to mnie dobiło ostatecznie.

— Kicham na wszystko — rzekłam energicznie. — Nie jadę, dopóki ten cholerny wiatr nie przycichnie. Ja jak ja, ale szkoda mi samochodu.

Rezultat był taki, że płynęłam nie po morzu, a po talerzu zupy. W dodatku przez Rødby i Puttgarden, na odcinku, gdzie w chwili odbicia od jednego brzegu widać już drugi. Przesadziłam, krótko mówiąc.

Zanim to jednak nastąpiło, znów powiedziałam coś w złą godzinę. Może powinnam zamknąć gębę i nic nie mówić.

— Tak się tu kretyńsko błąkam, że jeszcze tylko jednego brakuje — powiadomiłam Alicję z lekkim rozgoryczeniem. — Przeoczę Rødby i pojedę do Kopenhagi...

Dokładnie to właśnie nastąpiło. Znów jechałam pod słońce, zamyśliłam się, zlekceważyłam drogowskazy i opatrzyłam się na peryferiach Kopenhagi. Opamiętałam się, na szczęście, dostatecznie wcześniej, żeby jednak ominąć śródmieście i pojechać przedmieściami na azymut. Potem już uważałam pilnie i nie udałam się do Gedser.

Trasa na Lubekę i Hamburg jest, chwalić Boga, prosta i ciężko na niej zabłądzić, z chwilą jednakże kiedy pojawiły się jakieś możliwości, wykorzystałam je natychmiast. Dla urozmaicenia przeoczyłam Berlin i stwierdziłam, że jadę do Hanoweru. Mogłabym, dlaczego nie, ale i tak już czułam się okropnie spóźniona i zwiedzanie całych Niemiec nie sprawiłoby mi przyjemności, zawróciłam.

Ciemności złośliwie zapadły, znalazłam miejsce w jakimś hotelu, gdzieś za Hamburgiem, pojęcia nie mam gdzie, w każdym razie autostrada na Berlin była blisko i udało mi się nazajutrz wyjechać na nią we właściwym kierunku. Jechałam sobie na Świecko, słońce wreszcie miałam za sobą, widoczność była doskonała, w tej widoczności nadziałam się na korek. Zanim zdążyłam pomyśleć, co robię, zjechałam z trasy dla ominięcia owego tłoku.

Otóż było to dziewiętnaście kilometrów korka do granicy. Stał tam drogowskaz, dzięki niemu wiem, że dziewiętnaście. Zjechawszy, musiałam udać się dalej, diabli wiedzą dokąd, błąkałam się po niemieckich wsiach i opłotkach, straciłam cierpliwość, poszłam do wsiowej knajpy na obiad. Tam ujrzałam faceta, siedzącego nad mapą samochodową.

— Przepraszam pana, gdzie my jesteśmy? — spytałam grzecznie.

Sam się właśnie nad tym zastanawiał. Odnalazł miejsce, okazało się, że też usiłuje przekroczyć granicę, wykombinował Kostrzyn. Upewniłam go, że z Kostrzyna do Poznania zdoła dojechać bez trudu, co wcale nie było prawdą, bo zrobiono tam objazd przez Szamotuły, o czym na razie jeszcze nie wiedziałam. Pilotował mnie w kierunku tego Kostrzyna, w ogonku tkwiłam zaledwie godzinę, kontroli granicznej zadałam pytanie, co się dzieje i skąd ten najazd.

— Sam nie wiem — odparł znękany celnik. — Ale oni chyba mają jakieś święta i pchają się do nas. Już od wczoraj takie piekło.

Zanocowałam w Szamotułach, bo nie tylko zrobiło się ciemno, ale pojawiła się mgła. Nie po to wybrałam się w podróż, żeby przeżywać udreki, wybrałam uciążliwości mniej niebezpieczne. Hotel w Szamotułach nie groził mi niczym, a za to wręcz mnie wzruszył, restauracji ani baru nie prowadził, łazienkę miał jedną, na parterze, tuż obok niej

wynajęłam trzyosobowy pokój, bo mniejszego nie było, ręcznik dostałam w drodze wyjątku i rano ktoś mi go ukradł, ale dziewczyny w recepcji prezentowały serdeczną życzliwość i zrozumienie i dały mi nawet herbaty. Ciekawa rzecz, czy w Szamotułach istnieją jakieś władze miejskie i co też na temat usług mogą sobie myśleć...

Do Warszawy dotarłam po drugiej i dłużej trwał przejazd przez miasto niż droga z Poznania. Ugrzęzłam w korku dobrowolnie i odniosłam się do niego prawie z czułością, bo wielką przyjemność sprawiała mi myśl, że znam te ulice i żadne strzały na jezdni nie wyrzucą mnie znieacka w nieprzewidzianą stronę.

Przy okazji ugruntowałam w sobie ostatecznie stosunek do pasów.

Bardzo stanowczo jestem przeciwna nakazowi zapinania pasów bezpieczeństwa i fakt, że obowiązuje on na całym świecie, nie ma na mnie wpływu.

Pasy wcale tego bezpieczeństwa nie gwarantują, jest to akurat kliniczny przykład słuszności powiedzenia: na dwoje babka wróżyła. Czasem ratują, a czasem wręcz przeciwnie. Osobiście znam przykłady, które równoważą się wzajemnie i proszę bardzo, mogę je podać.

Dwie panie wyjechały małym fiatem, przy czym właścicielka nabyła właśnie i zamontowała pasy. Zamierzały odbyć jazdę inauguracyjną, ale zagadały się już wsiadając i zapomniały o zapięciu urządzenia. W jakimś miejscu nastąpiła kraksa, wpadły na autobus, a od tyłu docisnęła je ciężarówka. Mały fiat zmienił nieco gabaryty, jego długość wyniosła siedemdziesiąt cztery centymetry, co wiem z protokółów milicyjnych. Paniom nic się nie stało, ponieważ w momencie pierwszego uderzenia wyleciały na obie strony, zyskując tylko parę siniaków. A co by było, gdyby się przypięty pasami...?

Wojtek wykonał zderzenie czołowe i też mu się prawie nic nie stało, bo wyleciał od razu. A co by było, gdyby w pasach uczestniczył w całej karuzeli i demolowaniu samochodu?

Wypadków, kiedy człowiek się spalił albo utopił, bo nie zdołał odpiąć pasów, już nawet liczyć nie będę. W dwóch kraksach, jakie dotknęły mnie bezpośrednio, pasy nie miały najmniejszego znaczenia, z pasami czy bez, tak samo dostałabym w głowę kawałkiem karoserii i tak samo wyrwałabym kolanem rączkę biegów. Ostatnio słyszałam o katastrofie, z której uszła z życiem tylko jedna osoba, ponieważ nie była przypięta pasami i od razu wyleciała na zewnątrz.

Odwrotnie też się zdarzało, nie zamierzam tego ukrywać. Alicja dokonała dużej sztuki, zdołała przewrócić swoje volvo w ornym polu do góry kołami, obydwójce z pasażerem zawiśli głowami na dół nic im się nie stało, bo utrzymały ich pasy. Mój ojciec, gdyby

jechał w pasach, nie wybiłby zapewne twarzą przedniej szyby. Maciek z Anką i Agatą, wracająca z Danii, wpadli w poślizg na enerdowskiej kostce i mając do wyboru: zderzenie czołowe albo rów, wylądowali w rowie. Pasy zatrzymały ich o pięć centymetrów od tablicy rozdzielczej...

A, właśnie! Całkowicie zaniedbałam tę podróż z nimi do Alicji. Jechaliśmy w przełomowym momencie łączenia się NRD z RFN, Maciek wybrał północną trasę, podręcznymi szosami brukowanymi kostką, przez wsie i miasta, do Puttgarden. Z wielkim zainteresowaniem oglądaliśmy idealną pustkę we wszystkich sklepach, tak spożywczych, jak przemysłowych, umeblowanie istniało, owszem, półki, lady, gabloty, haki, ale nic poza tym. Kiedy wracali w tydzień później, kraj zawałony był towarami. Znow ujawniła się ta wyższość ustroju...

W Danii zadziwiła nas Agata. Miała wówczas pięć albo sześć lat, chyba sześć, i oczywiście została zabrana do Tivoli. Obejrzała wszystko, zażyła wszelkich rozrywek, po czym, ku naszemu śmiertelnemu zdumieniu, ugrzęzła przed teatrem. Wczepiona w żelazną barierkę przez pełną godzinę roziskrzonym wzrokiem wpatrywała się w balet i nie chciała stamtąd odejść za skarby świata. Zrobiło się późno, doczekaliśmy fajerwerków, Anka spytała córkę, jak jej się podobało.

— To był największy przeżytek w moim życiu — odparła Agata uroczyście.

W drodze powrotnej Maciek zlekceważył deszcz. A mówiłam, że ta upiorna kostka na mokro stanowi konkurencję dla gołoledzi, to nie, nie uwierzył i sam się przekonał. Wybrał rów, na szczęście od strony szosy płytki, zarył się w błocie i nawet nic nie pogniótł. Agata z tyłu dostała hysterii, Anka usiłowała uspokoić dziecko, bagatelizując sprawę, na zasadzie a cha cha, jakie to śmieszne, Agata opanowała się, pomyślała chwilę i podjęła decyzję.

— Więcej z wami nie jadę — oznajmiła stanowczo, wyraźnie dając do zrozumienia, że żarty rodziców wydają się jej głupie i niesmaczne.

Wracając do pasów, stałam sobie na wjeździe na autostradę w całym sznurze TIR-ów, pod górkę. Ciężarówka przede mną, ciężarówka za mną. W jakimś momencie ta przede mną drgnęła, cofnęła się może o dwa centymetry, ale mojej wyobraźni wystarczyło to najzupełniej. Ile czasu może trwać pokonanie jednego metra w dół na tym stromym podejździe...? Spojrzałam tylko, czy mam gdzie wyskoczyć, miałam kawałek pobocza i natychmiast pomyślałam o pasach. Gdybym tak była przypięta...

Odpiąć, zawracanie głowy, akurat człowiek pamięta o odpinaniu w wybuchu paniki. I jeszcze mam się domacać przycisku! Już się rozpędziłam narażać życie, bo jakiś cep wymyślił, że tak będzie lepiej.



W dodatku w pasach prowadzi się różnie, czasem wygodnie, a czasem nie. Bywa, że ograniczają swobodę ruchów, bywa, że zgoła odrzynają szyję, bywa, że gniotą i duszą. Jeździłam w wygodnych pasach, dlaczego nie, w Kanadzie, nie czuło się ich i nie przeszkadzały. A teraz mam właśnie niewygodne i nie będę ich zapinać. Mam nadzieję, że służba ruchu tych słów nie przeczyta.

Upieram się bardzo, że w tej kwestii nie powinien istnieć kategoryczny nakaz, tylko zalecenie, uzależnione w dodatku od poglądu kierowcy. O własnym życiu człowiek powinien mieć prawo sam decydować, w ostateczności może mieć nawet przeczucia. Nikt mu nie zagwarantuje, że właśnie w pasach będzie dobrze a bez pasów źle, i jeśli w pasach zejdzie ze świata kto weźmie za to na siebie odpowiedzialność...?

Może w tych krajach wyżej ucywilizowanych jeszcze z parę osób spali się, utopi albo rozdyżda i wtedy decydenci zastanowią się poważniej...

Jakim cudem mogłam przeoczyć ruskie kłusaki, sama nie potrafię zrozumieć.

Grałam na nie w Kijowie. Obyczaje panowały tam niezwykle, stawka ograniczona była do jednego rubla, żeby broń Boże nie załagał się hazard. Ludzie jak to ludzie, potrafią ominąć wszelkie przepisy, naporzony gracz gromadził wokół siebie znajomych nie—graczy, którzy stawiali dla niego, i tym sposobem mógł grać nawet za dziesięć rubli. Z wypłatami było dziwnie, bo wszelkie wyniki podawali z opóźnieniem co najmniej o trzy gonitwy. Grając w trzeciej, jeszcze nie zaliśmy rezultatów pierwszej.

Do kasy pchał się wyłącznie Marek, moją wytrzymałość przekraczało to całkowicie, myślę, że chętniej wrębałabym się w środek rozszalałego stada bizonów. A jednak wyszliśmy z tego interesu wygrani, nie pamiętam już, w której gonitwie, chyba w czwartej, wybrałam konie z prezentacji, co było o tyle łatwe, że dwa wyróżniały się zdecydowanie. Inna klasa. Byłam przekonana, że typujemy sobie bitą pierwszą grę, te dwa konie przyszły jak chcąc, po czym okazało się, że płacą za nie całe czterdzieści trzy ruble. Majątek! Oczu nie miały te ruskie ludzie czy co...? Tak już zupełnie przy okazji i na marginesie muszę stwierdzić, że nie mam pojęcia, co sprzedawano w ruskich sklepach. No, poza tymi spożywczymi, do których przestałam wchodzić. Ekspozycja na wystawach nie istniała żadna, to w środku zaś było mi niedostępne, bo już samo pokonanie drzwi wejściowych wymagało bawolej siły. Byt kształtuje świadomość, zgadza się, fajny musiał być ten byt, skoro tak porządnie utrwalił w jednostkach ludzkich cechy wilczego stada.

Nie wiem, jak jest teraz, ale znajome osoby zza tej wschodniej granicy z lekkim zakłopotaniem przyświadczają, że no tak, owszem, panuje u nich tłok, ale już się do niego przyzwyczaili...

Już zamierzałam odczepić się od nich, ale jeszcze uzupełnię. A czy ja wiem, może przypadkiem przeczytają i chociaż z jedna sztuka zastanowi się nad tym, co robi.

Otóż nawet i u nas, jeżeli w prawie zupełnie pustym miejscu, z mnóstwem przestrzeni dookoła, jakiś ktoś leży człowiekowi na plecach albo dźga go łokciem w oko, możemy dać sobie uciąć głowę, że jest to ruski. Nie robi tego złośliwie ani z niegrzeczności, cóż znowu, najzwyczajniej w świecie nie zdaje sobie sprawy ze stworzonej sytuacji. Jeżeli zwróci mu się uwagę, jest szczerze zdziwiony. Kiedyś w miejscu publicznym jeden taki z uporem i bez racjonalnych powodów pchał mi ramię w ucho, miał, można powiedzieć, szeroki gest. Nie wytrzymałam.

— Przepraszam pana, czy ja jestem niewidzialna? — spytałam nieco może zgryźliwie.

Odwrócił się, bardzo zaskoczony.

— Nie panimaju — odparł grzecznie.

Szlag mnie trafił, chwyciłam go za to ramię i odsunęłam na bezpieczną odległość. Pogodził się z wyrażonym w ten sposób życzeniem, ale wyraźnie było widać, że uważa je za głupkowatą fanaberię.

Dam spokój innym przykładom, chociaż były ich dziesiątki. Zastanawiam się, jak by ich od tego tłoku teraz odzwyczaić...

Nie tak znów dawno, jakieś dwa lata temu z groszami, wzbogaciłam się tak szaleńczo, że pierwszy raz w życiu kupiłam sobie pralkę automatyczną. Zełgałam, widzę właśnie, bo wpadła mi w rękę gwarancja, że było to prawie cztery lata temu, czas leci z nietaktowną szybkością. Kupiłam ją w sklepie blisko mojego domu i transport napotkał „trudności nie do przewyciężenia.

Odległość była tak mała, że żadne wzywanie furgonetki meblowej nie wchodziło w rachubę, ponadto żadnej furgonetki nie dawało się dostrzec. Sama iść nie chciała. Sklep możliwościami transportowymi nie dysponował, w dodatku uprzedzono mnie, że brakuje chwilowo kart gwarancyjnych i instrukcji obsługi, będą za kilka dni. Zgodziłam się odebrać je później i zajęłam kłopotem aktualnym.

Towarzyszył mi przy tym zakupie Maciek, mąż Anki, jeżdżący jako taksówkarz. Do samochodu ta zaraza się nie mieściła. W rezultacie została przewieziona wózekiem sklepowym, z którego ześlizgiwała się na każdym kroku, pomocą zaś posłużył

młodzieniec, dorabiający sobie w magazynie. We dwóch z Maćkiem wnieśli ją jeszcze na moje schody i upchnęli w łazience.

Po czym zaczęła się duża polka, opóźnione dokumenty bowiem wydały mi się niezbędne i postanowiłam je uzyskać. Po trzech dniach gwarancję dostałam, ale instrukcji obsługi ciągle nie było.

Włoską pralkę zamontował mi sąsiad wedle obrazków, podpisanych po francusku, i na razie na tym się skończyło, bo z włoskiego tekstu na urządzeniu zrozumiałam tylko, że na „G” zaczyna się wirowanie. Nie wiedziałam, do czego mają służyć jakieś dodatkowe prztyki, i nie miałam pojęcia, jak się ją włącza.

Przy czwartej wizycie w sklepie, widząc całkowitą beznadziejność wysiłków kierowniczką, która godziny pracy spędzała ze słuchawką w ręku, poprosiłam ją o numer właściwego telefonu. Sama to zaczęłam załatwiać. Ucieszyła się nawet i chętnie skorzystała z mojej inicjatywy.

Trwało to tydzień. Odsyłano mnie kolejno do prezesów rozmaitych instytucji, których nazw już nie pamiętam, awantury robiłam żonom owych prezesów, mężów bowiem z reguły nie było nigdzie.

— Ja doskonale wiem, że pani jest tu całkowicie niewinna — mówiłam każdej — ale szanownego małżonka dopaść nie mogę, a pani go niewątpliwie widuje. Zechce pani przekazać mu rykoszetem wszystko to, co za chwilę powiem.

Po czym przestawałam być uprzejma. Nie wytrzymały tego widocznie, bo w końcu dotarłam do jakiejś centrali importowej na Kruczej, gdzie wyszło na jaw, że primo, takich pralek sprowadzono do Polski sztuk cztery, a secundo, instrukcji obsługi w polskim języku nie ma wcale. Jest bardzo obszerna po niemiecku.

Powiedziałam, co myślę o takim załatwianiu sprawy, i zażądałam wykonania dla mnie kserokopii tego niemieckiego utworu. Nie całego, przejrzałam tekst i ograniczyłam się do sześciu stron. Bardzo zakłopotana pani, której to samodzielnie do głowy nie przyszło, zdecydowała się spełnić moje życzenie, chwyciła owe sześć stron i pobiegła do kserokopiarki. Usiadłam na krześle i grzecznie spytałam, czy mogę zapalić.

— Tu się nie pali — odburknął na to siedzący przy sąsiednim biurku bucefał.

Wtedy mnie wreszcie trafił szlag ostateczny. Wyjęłam papierosy.

— A otóż, proszę pana, właśnie zapalę — oznajmiłam głosem jadowitej zmił. — Nie przyszłam tu dla przyjemności i nawet nie przyszłam dobrowolnie. Zmusiliście mnie do tego własnym niedbalstwem. Nie spełniacie swoich elementarnych obowiązków w

stosunku do klienta, przez was tracę czas, siły i zdrowie, I teraz nie mnie będzie nieprzyjemnie, tylko wam, trzeba się było na to nie narażać.

Zapaliłam papierosa, facet udawał, że ogłuchł i zaniewidział, ja zaś postanowiłam mściwie palić jednego za drugim, jednego za drugim...! Niestety, zemsta mi nie wyszła, bo już w połowie pierwszego wróciła ta pani z kopią.

Prawie sięgałam po słuchawkę, żeby zadzwonić do Alicji z tym niemieckim tekstem, ale na szczęście przyszło akurat moje dziecko i przetłumaczyło co trzeba. Postanowiłam zrobić inauguracyjne pranie. Brudnych przedmiotów do środka napchałam i porządnie zamknęłam to okragłe, powiedzmy, że drzwiczki, pamiętna strasznej sceny oglądanej przed laty w Kopenhadze. Dwoje młodych, dziewczyna i chłopak, robiło pranie w publicznej pralni, zapewne chcieli coś dołożyć, bo otworzyli maszynę już w ruchu. Klienci stali później pod ścianami albo czekali za progiem, a oni zbierali wodę z podłogi ścierkami, gąbkami i kubkami do kawy z automatu, bardzo zakłopotani.

Zamknęłam zatem, nastawiłam na właściwą literę i włączyłam. Po krótkiej chwili pralka zaczęła szumieć. W tym momencie uświadomiłam sobie, że nie odkręciłam wody, jak oszalała runęłam do kranu i o mało sobie palców nie połamałam. Odetchnęłam, otarłam pot z czoła i przypomniało mi się, że nie wsypałam proszku. Rzuciłam się na pudełko, było nowe, rozszarpywałam je bez mała zębami, w zasobniczku już bulgotała woda, sypałam ten proszek nie bardzo porządnie, bo ręce mi się trzęsły. Postanowiłam odetchnąć głębiej, wyszłam z łazienki i usiadłam przy stole w kuchni.

Nie wytrzymałam długo, po paru chwilach z ciekawości wróciłam do łazienki. Słusznie uczyniłam, bo już cała podłoga była zalana, zapomniałam wetknąć do sedesu rurę odpływową. Zdenerwowałam się, wetknęłam, podłogę wytarłam, postąpiłam chwilę w drzwiach, przyglądając się urządzeniu. Pracowało spokojnie, nic się nie działo, z rury nie ciekło, pomyślałam, że akurat pierze, a nie wylewa, i zdecydowałam się zużytkować sedes inaczej. Wyjęłam rurę. Dokładnie w tym momencie chlusnął z niej potężny strumień mydlin.

Muszę przyznać, że tak czystej podłogi w łazience nie miałam chyba nigdy w życiu. Wytarłam do sucha i więcej z wyjmowaniem rury nie ryzykowałam.

Przy następnym praniu zdawało mi się, że zrobiłam wszystko co trzeba, włączyłam pralkę i udałam się znów do kuchni w celu spożycia śniadania. A może obiadu, zdaje się, że były to godziny popołudniowe, a może nawet przedwieczorne. Po jakimś czasie ktoś zadzwonił do drzwi, był to sąsiad z dołu, grzecznie przeprosił i zmartwiony bardzo spytał, czy u mnie przypadkiem nie ciekną rury centralnego ogrzewania w przedpokoju, bo u nich

kapie z sufitu. Zdziwiłam się i zaniepokoiłam, obejrzelśmy u rury, suche były jak pieprz, nie wydzielały z siebie najmniejszej wilgoci. Pocięłam go, że pewnie pękło w stropie, hydraulicy poprują mu sufit i będzie miał duży ubaw. Westchnął ciężko i poszedł, Ja udałam się do łazienki bez żadnych złych przeczuć.

Była to już ostatnia chwila, woda stała po kostki, bo oczywiście znów zapomniałam wetknąć rurę. Pół prania poszło na zewnątrz i pod parkietem popłynęło do przedpokoju, strop u mnie w domu bowiem nie trzyma poziomu, jest odrobinę nachylony. W pierwszej chwili, pełna głębokiej skruchy, postanowiłam zawiadomić o tym sąsiadów z dołu, ale w trakcie usuwania jeziora rozmyśliłam się. Będą mieli dostateczną przyjemność widząc, że nic nie cieknie, i nie muszą wzywać żadnych hydraulików, centralne ogrzewanie działa i wszystko szybko wyschnie, niespodzianka też jest coś warta, a moje idiotyzmy niekoniecznie muszą być ujawniane zawsze, niechże przynajmniej z jeden ukryję!

Było to już ostatnie kretyństwo, więcej głupot z pralką nie wyczyniałam, a w ogóle nie o pralkę mi chodziło, tylko o działalność administracji jako takiej.

Prawie od początku niniejszego utworu odgrażałam się, że poruszę ten temat obszerniej. Ciągle mam zamiar to uczynić, ale szczerze mówiąc, odrzuca mnie i robię, co mogę, żeby odsunąć kwestię na dalekie tyły. Uczepiłam się pralki tylko dlatego, że, jak Widać, jej kariera zaczęła się od pięknego przykładu. Mimo to z administracją jeszcze zaczekam, ponieważ przypomniał mi się Londyn.

Londyn zaniedbałam kompletnie mniej może przez przeoczenie, a więcej z obawy, że czwarty tom autobiografii zrobi się za gruby. Paskudząc chronologię do reszty, przełożyłam tę podróż na piąty.

Pchałam się tam przez całe lata, tak samo jak do Paryża. Oba miasta znałam ze studiów i z lektur prawie równie dobrze, Paryż udało mi się obejrzeć już w latach sześćdziesiątych, do Londynu miałam pecha. Chociaż może nie tyle pecha, ile problem z wizą, brakowało mi przyjaciół i znajomych, osiadłych w Anglii, czasy, kiedy mój teść był cenionym pracownikiem Admiralicji Brytyjskiej, stały się zbyt odległe, nie miał kto mnie protegować i nie zamierzałam narażać się na odmowę. Wreszcie przysłużył mi się kolejny kongres IBC, dostałam zaproszenie i postanowiłam jechać, chociaż te wszystkie kongresy wypadały upiornie drogo.

Pieniądze przesłałam przez bank, nastąpiła jakaś pomyłka, spóźniły się i do IBC w terminie nie dotarły. Mogłam je odebrać w banku w Cambridge, w tym celu jednakże

musiałam się tam znaleźć. Pojechałam zatem, z wizją bowiem, w obliczu zaproszenia, kłopotu nie było żadnego.

Wymyśliłam sobie podróż autobusem, bo bardzo lubię jeździć autobusami. Wyruszyłam z rozwiniętym zapaleniem okostnej, gryźć nie mogłam wcale i od śmierci głodowej uratował mnie tylko żurek w jakimś miejscu postoju, jeszcze na terenie kraju. Do Londynu dojechałam śmiertelnie zmęczona i przeraźliwie głodna, nie miałam siły szukać czegoś taniego, zamieszkałam pod dworcem Victoria w „Grosvenor Hotel”, wykapałam się i wyleciałam na miasto.

Czasu miałam akurat tyle, żeby jechać do Cambridge, stwierdzić, że kongres znikł mi z oczu, obejrzeć Londyn autobusem turystycznym i zarezerwować miejsce w hotelu nieco skromniejszym, bo „Grosvenor” był za drogi. Jedna doba to jeszcze, ale dwa tygodnie...? Szkoda mi było pieniędzy. ‘

W nocy pozbyłam się zęba, wyleciał mi sam, dzięki czemu doznałam olbrzymiej ulgi i rano z wielką radością i bez przeszkód zjadłam śniadanie. Następnie przejechałam do „Plaza Hotel” na Queens Gate 69, a może 68...?, zainstalowałam się tam i ponownie wyruszyłam w plenery.

Na samym początku jednakże postanowiłam zachować rozsądek i przezorność. Wyszłam na ulicę i popatrzyłam, gdzie jestem, żeby trafić z powrotem, wiedziałam, że Londyn jest dość skomplikowany. W porządku, biały budynek z kolumnkami, z czarnym żelaznym ogrodzeniem, łatwo zapamiętać. Ponownie pojechałam do Cambridge, odebrałam pieniądze, wyliczyłam sobie, że pobyt prywatny wypadnie mi znacznie taniej niż uczestnictwo w kongresie, machnęłam ręką na IBC, nabyłam fioletowy moher na sweter dla mojej matki i obejrzałam Cambridge z zewnątrz. Od wewnątrz nie dało się go obejrzeć, był to bowiem okres turystyczny i do każdego budynku stały potworne ogony, złożone głównie z rasy żółtej. Nie mam nic przeciwko rasie żółtej, tylko jest jej chyba odrobinę za dużo. Pomyślałam, że dla wewnątrz przyjadę kiedy indziej i wróciłam do Londynu.

Kolejności zwiedzania miasta oczywiście nie pamiętam i nie ma ona wielkiego znaczenia, w każdym razie wieczorem, wykończona doszczętnie, jechałam do hotelu autobusem. Oczywiście na górze. Wiedziałam, że jestem już blisko, i nagle ujrzałam na murze nazwę ulicy, Queens Gate. Jezus Mario, przejechałam...! Poderwałam się, cud, że nie połamałam sobie nóg na schodach, zbiegłam na dół, wysiadłam i ruszyłam z powrotem, bo skoro przejechałam, powinnam wrócić. Logiczne, nie?

Dotarłam do najbliższego skrzyżowania i coś mi się zaczęło nie zgadzać. Ruszyłam w jedną stronę, źle, ruszyłam w drugą, też niedobrze. Rozejrzałam się porządnie. Rany boskie, we wszystkie strony na wszystkich ulicach identyczne białe długie budynki z kolumnienkami i czarnym żelaznym ogrodzeniem...

Nie ma potrzeby powtarzać, co o sobie pomyślałam, bo każdy to łatwo odgadnie. Znałam przecież tę cechę Londynu, powinnam była o poranku popatrzeć wnikliwiej, to nie, cała wiedza wyleciała mi z głowy, ograniczyłam się do kawałka przy hotelowym wejściu, niecierpliwość pchała mnie do oglądania reszty i proszę bardzo, teraz mam. Ciekawe, gdzie spędzę noc...

Kilka ulic, no, długich co prawda, ale jednak, niby nic takiego, po całym dniu ruchu jednakże miałam już dosyć. Nóg nie czułam, wyrosły mi czubkiem głowy, mogłam nimi najwyżej powłóczyć. Zdenerwowałam się, pomachałam ręką na przejeżdżającą taksówkę, nastawiona już na ten upiorny lewostronny ruch. Taksówka się zatrzymała.

— Przepraszam bardzo — powiedziałam ze skruchą, a przypominam, że języki obce pojawiają się we mnie wyłącznie w momentach dramatycznych. — Ja wiem, że jestem blisko, ale nie umiem znaleźć hotelu. Queens Gate sześćdziesiąt dziewięć...

Kierowca popatrzył na mnie jakoś dziwnie i uczynił zapraszający gest.

— Wsiadaj — powiedział z wyraźną rezygnacją. Wsiadłam. Przejechał dwadzieścia metrów i zatrzymał się.

— Tu jest twój hotel...

I rzeczywiście. Chciałam mu zapłacić, ale zaproponował, żebym się nie wygłupiała. Okazało się, że z autobusu wysiadłam dokładnie tam gdzie trzeba, pięć metrów od hotelowych drzwi, po czym, nie patrząc przed siebie, od razu ruszyłam w odwrotną stronę, bo przecież przejechałam...

Do Gibbonsa udałam się w sobotę, bo tak mi jakoś wyszło. Pomyślałam nawet, żeby zamienić dolary na funty, wydam na znaczki wszystko, co mam przy sobie, i zostanę bez pieniędzy, myśl miała swój sens, ale rzuciłam okiem wokół i na najbliższym rogu ujrzałam bank. Bank mnie uspokoił, niecierpliwość znów pchała, najpierw weszłam do sklepu.

Przewidziałam doskonale, znaczki mieli, kiedy stamtąd wyszłam, zostało mi jedenaście pensów. Udałam się prosto do banku na rogu i okazało się, że w sobotę jest nieczynny.

Ogólnie biorąc, było lato i upał panował taki sam jak w Europie. Pić mi się chciało nieziemsko, do tego zrobiłam się głodna. Jedenaście pensów mogło wystarczyć na płatną

toaletę i na nic więcej. Poszłam przed siebie StranDEM, szukając punktu wymiany pieniędzy.

Nie powiem, że przeszłam pół Londynu, bo to już byłaby lekka przesada. W każdym razie dotarłam do Blackfriars, zesłam nad Tamizę, zaczęłam wracać. Melancholijnie pomyślałam, że miałam w planach spacer nad rzeką, i to nawet w tej okolicy, ale niekoniecznie w takich warunkach, głodna coraz bardziej, spragniona, przegrzana i bez pieniędzy. Znalazłam jedyny dostępny mi obiekt, toaletę, ale jak na ironię losu bezpłatną. Posiedziałam na ławce. Poszłam dalej...

Pokonawszy całe Embankment, ujrzałam wreszcie ludzi, wyglądało to na jakieś tereny turystyczne, skręciłam w kierunku Strandu, z zapartym tchem ominęłam pracującą wesoło maszynę do produkcji asfaltu i znalazłam upragniony punkt wymiany pieniędzy. Pozbyłam się dolarów, uzyskałam funty, napiłam się piwa, odżyłam, wyszłam na Strand i okazało się, że drugi punkt wymiany pieniędzy znajduje się dokładnie naprzeciwko Gibbonsa, po przeciwnej stronie ulicy...

Oglądałam ten Londyn z wierzchu, tak samo jak Cambridge, z tych samych przyczyn, wszędzie stały ogony przerażające, bez kolejki dostałam się tylko do British Museum i do muzeum przyrodniczego. No i do Sherlocka Holmesa. W ogonach zaś, złamawszy się, stałam trzy razy, do Madame Tussot, do Tower i na terenie Tower do skarbcza. Narzędziom tortur, które cieszyły się największym powodzeniem, dałam spokój.

Skarbiec mnie nieco zaskoczył, nikt bowiem jakoś dotychczas nie wyjawiał, że prezentuje się tak ordynarnie. Wręcz poczułam się zgorzona i zde gustowana, były ze złota potworne, nadludzkie rozmiarów, wazy do zupy zapewne, w nich warząchwie do podnoszenia dźwigiem, bo wątpię, czy dałoby im radę dwóch ciężarowców razem, obok buławy, czy może berła, stosowne do polowania na mamuty, wszystko to razem siekierą rąbane i zgoła przytłaczające. No owszem, korony i reszta królewskiej biżuterii nieco już subtelniejsze, ale droga do nich wiodła przez tamte, wulgarnego oblicza elementy. Królowa Wiktoria miała taki gust...? Za same zegary natomiast Anglia mogłaby spłacić wszystkie swoje długi...

U Madame Tussot, wyznaję, postąpiłam sobie przed Agatą Christie. I niech już to napiszę od razu.

Co to za szczęście dla mnie bez granic, że autobiografia Agaty Christie wyszła dopiero w roku bieżącym, a nie wcześniej, swoją zaś zaczęłam pisać w roku ubiegłym. Gdybym przedtem przeczytała Agatę, nie ośmieliłabym się opublikować ani jednego słowa, nikt bowiem nie wymyśliłby, że ona zerznęła ze mnie. Wyłącznie ja z niej! Plagiat, niech ja w



domu nie nocuję, podobieństwa napełniły mnie wręcz przerażeniem, nawet to mleko piekielne. Okazuje się, że ona też nie znosiła zapachu gotowanego mleka, wypisz wymaluj tak samo jak ja. Może stosunek do mleka jest warunkiem pisania kryminałów...?

Wracając do Londynu, hotel miałam ze śniadaniem, ale za to bez pozostałych posiłków. Nie było tam restauracji, tylko barek z mocno ograniczonym jadłospisem. Herbatę oczywiście dostawałam, poprosiłam, żeby mi ją przynoszono wieczorem i nie było z tym żadnych problemów.

Żywiłam się na mieście jak popadło, nie na kurację tuczącą tam pojechałam, wieczorem jednakże robiłam się głodna i miałam ochotę coś zjeść po powrocie do pokoju. Już trzeciego dnia kupiłam sobie sałatkę z kartofli, bo bardzo lubię sałatkę z kartofli, przyjechałam z nią do hotelu i uświadomiłam sobie, że nie mam jej czym zjeść. Sztućców z domu nie wzięłam. Wyjście istniało, dlaczego nie, ale od razu wyobraziłam sobie, co też oni pomyślą, jeśli do tej wieczornej herbaty poproszę o widelec...

W rezultacie nabyłam sześć plastikowych widelców u Harrodsa. Nie chodziło mi o wytworność, tylko po prostu Harrodsa miałam najbliżej.

Rzecz jasna, pojechałam na wyścigi. Nie mam pojęcia, gdzie się odbywały, zgubiłam program i nie pamiętam, w każdym razie nie był to żaden znany tor, a jechałam tam ze stacji Waterloo. Wyszłam na zero, ponieważ w jednej gonitwie trafiłam porządek, który pokrył wszelkie koszty.

No i proszę, już wiem, gdzie to było. W Sandown. Programu wprawdzie nie znalazłam, ale wiedziałam, jak użyteczne są kryminały. Złapałam angielski kryminał koński i proszę, nazwa toru pojawiła się prawie na początku.

We mnie natomiast, od razu po tym dniu wyścigowym, rozkwitły refleksje.

Po pierwsze, na angielskim torze wyścigowym byłam pierwszy raz w życiu. Nie znałam absolutnie nikogo, ani koni, ani trenerów, ani dżokejów, ani stajni, i do tego jeszcze elastyczność toru oceniałam na oko. No, umiem czytać, ale ta umiejętność nie zanika po powrocie do własnego kraju, w Polsce też umiem czytać. I tam, nie wiedząc niczego o niczym, zdołałam wybrać konie na rozum i wygrać, a u nas, gdzie znam wszystkich, gdzie biegają konie, na które patrzę od debiutu, gdzie wiem, jak kto jeździ i która stajnia dobra, nie mogę trafić w siedmiu koniach...? W Sandown leciało ich dwanaście...

Wniosek prosty, tam leciały uczciwie, a u nas kantują. Wstrzymywanie koni, bezapelacyjnie tępione na całym świecie, u nas jest chlebem powszednim dla wszystkich jeźdźców. Nie wstrzymuje tylko ten, który nie potrafi. Jeździł kiedyś mój syn, ściśle

biorąc nie brał udziału w gonitwach, tylko objeżdżał konie na torze roboczym, wstawał w tym celu o piątej rano całkowicie dobrowolnie i odwał robotę na Służewcu, przy czym odkrył niektóre tajemnice.

— Matka — rzekł do mnie — taki uczeń albo amator gdzieś za dziesiątym razem zaczyna rozumieć, co się dzieje dookoła niego. Przedtem leci w amoku i tylko patrzy, żeby nie spaść. Tyle zdziała, ile koń wydusi sam z siebie.

To jak on, nieszczęsny, ma wstrzymywać wierzchowca albo robić inne sztuki? Do kantów potrzebne doświadczenie i wielkie umiejętności.

Nasi dżokeje posiadają jedno i drugie w stopniu godnym podziwu. Wykorzystują te talenty. Angielskie wyścigi udowodniły mi to ostatecznie.

Po drugie, angielskiego języka nie znam, aczkolwiek bliższy mi jest niż, na przykład, chiński. Karty komputerowe opisane są skrótami, rodzaje gier bywają różne, w każdym języku nazywają się inaczej. Mimo tych przeszkód, zdołałam owe karty komputerowe opanować i grałam na nich skutecznie, wypełniając co należy we właściwym miejscu. W Polsce natomiast gram na gębę, tak samo jak cały tor.

Nasze karty komputerowe prezentują sobą coś rzadko spotykanego. Po niesłuchaniu skomplikowanych wysiłkach umysłowych i odrzuceniu przez komputer co najmniej czterech prób udaje się niekiedy wprowadzić do niego pożądaną grę. Sposoby wypełniania gmatwiają człowiekowi umysł i tak już nadwerężony dociekaniem, co też dżokeje będą myśleć i który wziął pieniądze za spuszczenie gonitwy, wszyscy zatem idą na łatwiznę i dyktują swoje poglądy kasjerce, a potem robią awantury, że się pomyliła. Piekło na ziemi.

Komputery u nas są źle zaprogramowane. Zwyczajnie, źle. Rozmawiałam z dwiema osobami różnej płci, bardzo miła panienska i bardzo sympatyczny młodzieniec, elektronicy, którzy się tym zajmują, wyjaśniałam, w czym rzecz i o co tu chodzi, pokazywałam duńskie, jasne nawet dla analfabety, zdawało mi się, że rozumieją, co do nich mówię, i skutku do dziś dnia nie ma żadnego. Przez dwa sezony szaleństwa nie zostało to zmienione. Na całym świecie, w Danii, w Kanadzie, we Francji, w Anglii, przystosowano program i wejście do niego do poziomu umysłowego ostatniego ćwoka, wypełnianie karty wymaga wyłącznie posiadania długopisu, wszędzie tak jest, tylko u nas nie. Bo co? Bo jesteśmy tacy przeraźliwie inteligentni? Sami naukowcy grają na wyścigach...?

Z tego wynika po trzecie. Ani przez chwilę nie stałam w tej Anglii w ogonku, mogłam sobie nawet gawędzić z kasjerką. U nas dzikie i skłębione ogony tłoczą się wszędzie

prawie bez przerwy, każdy spędza przy kasie potworną ilość czasu, przeważnie głupieje od tego dodatkowo, bo inni tupią mu za plecami, zapomina, co chciał grać, dyktuje nie to, co zamierzał. Mnóstwo ludzi w ogóle nie zdąża zagrać. Wszystko to razem mija się z celem, wyścigi istnieją gra i z gry mają zyski, w sytuacji opisanej wyżej ponoszą straty. Czy ktoś się specjalnie stara wykończyć instytucję?

Nie ma z kim na ten temat rozmawiać, nie ma komu wyjaśnić sprawy. Nie mogę dojść, kto właściwie tą całą imprezą administruje i kto organizuje tak imponujące kretyństwo...

Może o kretyństwach nie powinnam się wypowiadać, bo sama wykonałam całkiem niezłe, acz innego rodzaju. Mianowicie wybrałam się na te angielskie wyścigi ponownie, co wydawało mi się łatwe, znałam już bowiem drogę. Wypadło mi to w niedzielę.

Nasłuchał się człowiek i naczytał o tych angielskich niedzielach. Wszystko prawda.

Co właściwie zrobiłam, nie mam pojęcia, chyba pojechałam pociągiem o nieodpowiedniej godzinie. Peron się zgadzał, kierunek też, a jednak pociąg pojechał nie tam gdzie trzeba. Zorientowałam się, że coś nie gra, już w połowie drogi, możliwe, że powinnam była się przesiąść, ale wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Wsiadłam na jakiejś prowincjonalnej stacji, zamierzając wrócić, w tym celu jednak potrzebny był pociąg w przeciwnym kierunku, zaczęłam szukać rozkładu jazdy, bez rezultatu. To znaczy owszem, rozkład jazdy znalazłam, ale nie zgadzał się z rzeczywistością, żaden pociąg o wypisanej tam godzinie nie przyjechał. Później odgadłam, że wpływ na to miała niedziela. Obeszłam okolicę z nadzieją, że jeżdżą tam może jakieś autobusy, nic z tego, nie jeździło nic. Na ulicach nie było żywego ducha, równie dobrze mogłam się znaleźć na środku Sahary. Albo może Syberia jest równie gęsto zaludniona. Czas płynął, z wyścigów już zrezygnowałam, do Londynu jednakże jakoś musiałam wrócić, zastanawiałam się, czy nie ruszyć piechotą po torze kolejowym, który stanowił jedyną wskazówkę. Mapy samochodowej nie miałam, a plan miasta już się skończył, wysiadłam poza jego granicami. Upał znów panował wściekły, pić mi się chciało, usługi wszelkie zamknięte były na mur. Uczuć doznawałam mieszanych, wpadłam w rozpacz, a równocześnie zaczęło mnie to straszliwie śmieszyć.

Wreszcie przyjechał pociąg w kierunku Londynu. Wsiadłam i nabrałam cichej nadziei, że może zdążę chociaż na czwartą gonitwę, wiedziałam już, gdzie należało zmienić trasę, bo przez czas oczekiwania przeczytałam wszystko, cokolwiek było napisane na tej stacji. Pociąg ruszył.

Wychrypianej przez głośnik informacji nie rozumiałam, reszta podróży zatem stanowiła dla mnie jedną wielką niespodziankę. Mniej więcej co pięćdziesiąt metrów

pociąg zatrzymywał się w szczerym polu i stał rozmaicie, to pięć minut, to trzy kwadranse, pomiędzy przystankami zaś jechał z szaloną szybkością dziesięciu kilometrów na godzinę. Robót drogowych nie widziałam. Trasę, która przedtem zajęła osiemnaście minut, przebył teraz w dwie i pół godziny. W dodatku zdaje się, że jechałam nim na gapę.

Tym sposobem po raz drugi na angielskie wyścigi nie pojechałam i nie poczyniłam dalszych spostrzeżeń. Nie szkodzi, mam to w planach.

A w ogóle polubiłam Londyn i Anglię i mam nadzieję, że jeszcze tam pojedę.

Skoro jednak już wsiadłam na nasze konie, spróbuję uzupełnić kwestię.

Różne uwagi poczyniłam w dwóch książkach, w *Wyścigach* i *Florencji, córce Diabła*, okazuje się jednak, że tego za mało. Poza chęcią poderżnięcia mi gardła, jaką wykazała nasza wyścigowa mafia, innych rezultatów nie było i nie ma. Wielkich nadziei, że spowoduję cokolwiek teraz, nie żywię, ale wrodzony optymizm każe mi czynić starania.

Tak naprawdę to pracują tam przyzwoicie i spełniają swoje obowiązki wyłącznie trenerzy i niektórzy pracownicy stajni. Lubią konie, zależy im na tych zwierzętach, znają je, ponadto mają jakieś ambicje i chcą osiągać sukcesy tak samo, jak literat, naukowiec, ogrodnik czy stolarz meblowy z prawdziwego zdarzenia. Konie, jako stworzenia żywe, mają swoje wymagania i narzucają określoną dyscyplinę, której ominąć się nie da.

Cała reszta natomiast woła o pomstę do nieba. Z całej przyrody najwytrzymalszy jest, jak wiadomo, człowiek, bydlę nie do zdarcia, które przystosuje się do wszystkiego. Na tej wiedzy niewątpliwie opiera się kierownictwo imprezy.

Mam tu na myśli totalizatora.

Na całym świecie ludzie przychodzą na wyścigi w celach, wbrew pozorom, rozmaitych. Głównie dla gry. to oczywiste, ale oprócz tego dla przyjemności, dla towarzystwa, dla świeżego powietrza, dla koni, dla nowych wrażeń i tak dalej, i tak dalej. Nie dla udręki, to pewne. Wyścigowe budowle urządzone są tak, żeby tym ludziom było miło i wygodnie, żeby na każdym kroku spotykali różne ułatwienia, żeby także, rzecz jasna, mogli grać bez przeszkód, żeby ich w ogóle zachęcić. Dania co jakiś czas robi niedzielę damer gratis, czyli wstęp wolny dla pań, i lecą wtedy wszystkie baby z mężami i bez. Barki i bufeciki na każdym kroku, trybuny dla motłochu zaopatrzone w stoliki, ławki, krzeselka, monitory po parę sztuk na każdej ścianie, informacje porozlepiane wszędzie, wielka tablica na środku pola, komunikaty o grze każdemu wpadają w oko, po każdej gonitwie głośnik informuje, ile trafnych wifajfów jeszcze zostało...

U nas zaś...

Spróbuję po kolei. Zwyczajne ludzkie trybuny przypominają ponurą stodołę. Skąd nam się bierze to upodobanie do ciemnoszarych barw i zabłoconego betonu? Dreszcz przejmuję i wstręt ogarnia od samego wejścia do środka, usiąść można tylko na zewnątrz, na otwartej trybunie, co szczególną radością napawa w czasie ulewnego deszczu i wichru. Tu nie Kalifornia, nie zawsze świeci słończko. Zatem dokopać temu narodowi, chcą grać, niech mają, niech się powieszają, a może im się odechce...

Niepomiernie wytworna trybuna główna i loża dyrekcji odznaczają się cechami raczej niezwykłymi. Zamknięte i oszklone, owszem, dlaczego nie? Na mur.

Stalowe okna pojedynczo szklone otwierają się w sposób rzadko spotykany, przy pomocy dwóch silnych osób i szczotki do zmiatania. Unosi się do góry wielkie, ciężkie skrzydło, podpira szczotką, ktoś włązi na parapet i mocuje uchwyty. Nikt nie chce włązić, bo łatwo zlecieć. W czasie letnich upałów w loży dyrekcji bez trudu można się udusić na śmierć, trudno się dziwić niegdyś pani Zosi, a obecnie pani Krysi, że nie łapie się za te okna z zapalem, jednoosobowo uruchomić tę maszynę jest w ogóle niemożliwe. Klimatyzacja stanowi słowo obce, istniejące tylko w encyklopedii, wentylator pod sufitem, niemrawo mieszający powietrze z pieca hutniczego, jest ostatnim krzykiem techniki.

Za to okresy wczesnej wiosny i późnej jesieni dostarczają wrażeń odwrotnych. Owe zachwycające żelazne okna mają to do siebie, że nie domykają się w pełni i są nieszczelne. Jeśli leje deszcz od wschodu, loża dyrekcji zamienia się w sadzawkę, jeśli zaś dodatkowo wieje wiatr, biegun północny wydaje się miejscem ciepłym i zacisznym. Co gorsza, kwestia drzwi wewnętrznych przez wszystkie minione lata nie została rozwiązana, przy braku wiatru pozostają otwarte, ale żaden przeciąg w nich nie lata, przy wietrze nie sposób je zabezpieczyć, trzaskają i łomoczą tak potwornie, że budynek drży w posadach i lęgnie się nadzieja, że może w końcu wypadną z zawiasów. Zamontowano kiedyś sprężynę, która je zamykała, owszem, też miała cechę szczególną, mianowicie waliła tak, że nie zdążyło się przed nią uciec, osobom przechodzącym zdzierła buty z nóg albo strzelała dubla w tyłek. Czy w granicach naszego kraju dostępny jest tylko jeden rodzaj sprężyn...?

Centralne ogrzewanie oczywiście istnieje. Działa doskonale, o grzejniki można się oparzyć, najcieplej jest w damskiej toalecie i może wiele osób przesiedziałoby tam cały czas wyścigów, gdyby nie to, że brakuje okna na tor, a głośnik źle słyhać. W pozostałych pomieszczeniach te doskonale działające grzejniki unieszkodliwiono radykalnie, osłaniając je pełną, solidną, drewnianą obudową z małymi dziurkami. Drewno stanowi

bardzo dobrą izolację termiczną. Kto to wymyślił, do wszystkich diabłów?! Pan Krzysio...?

Informacja woła o pomstę do nieba. Zaczyna się od tego, że niektóre konie bywają wycofane, a na innych zdarza się zmiana jazdy. Komunikat o wycofanych koniach poprawił się, to przyznaję, w zeszłym roku pojawiał się wyłącznie na ekranach monitorów, przeplatały go inne wieści i trzeba było sterczeć przed telewizorem co najmniej kwadrans, żeby zyskać niezbędną wiedzę, bo do tego jeszcze znikał za szybko i nie nadążało się go przepisać. Obecnie leci ciągłym paskiem pod zasadniczym obrazem.

Za to zmiany jazdy przeszły do kategorii tajemnicy stanu. Istniała kiedyś wielka tablica po stronie toru, na tej tablicy zaś umieszczano nazwiska dżokejów. Obecnie tablicę zlikwidowano, o zmianach jazdy informuje wyłącznie głośnik, jeden raz, przed gonitwami. Jeśli przeoczy się właściwy moment, trzeba odcyfrowywać blade bazgrały na karteczkach też w jednym miejscu, obok kas. Nie umiem odgadnąć, dlaczego tak zrobiono, chyba specjalnie po to, żeby nikt nie wiedział, kto na czym jedzie.

Zastanawiam się, czym jest zajęty personel radiowęzła. Stoi w ogonku do kasy...? Co by szkodziło podawać komunikat o jeźdźcach przed każdą kolejną gonitwą? Rozmawiałam o tym z kierownikiem mityngu, awanturowałam się, bez skutku.

No i ta nasza, pożał się Boże, komputeryzacja... Tablicy na środku pola nie ma już trzeci rok, karty komputerowe nie do użytku, ustawiczny tłok przy kasach, obraza boska, a nie wyścigi! Podobno brakuje pieniędzy na te udogodnienia, a pewnie, że brakuje, skoro lekceważy się graczy i utrudnia grę. Naprawdę jestem szczerze ciekawa, kto postanowił sobie zniszczyć Służewiec?

Gadanie o oświetleniu toru słyszę już od dwudziestu lat. Wszystkie tory świata są oświetlone i wyścigi odbywają się nawet późnym wieczorem. U nas niezbędne jest światło dzienne i jesienią rozrywka rozpoczyna się o dziewiątej rano. Mnóstwo osób twierdzi, że w soboty i niedziele wstają wcześniej niż do pracy...

No i jeszcze jeden dziwoląg, którego nikt nie potrafi zrozumieć.

Otóż programów wyścigowych na mieście nie można dostać. Ku wyścigom wiedzie ulica Puławska, na tej ulicy Puławskiej stoją gęsto kioski „Ruchu”. Na rozum biorąc, programy powinny znajdować się we wszystkich, w stałej sprzedaży, dostępne bez trudu, i jest to minimum wymagań, bo maksimum czepiałoby się kompletu kiosków w całym mieście. Tymczasem nic podobnego, ledwo kilka z nich „prowadzi” ten rodzaj prasy, a i to w sposób osobliwy. Jeden, na przykład, ten przy Odyńca, dostaje sztuk siedem, drugi, blisko Dworkowej, sztuk trzy. Rozmawiałam z kioskarzami, pełni gorczy twierdzą, że o

większą ilość nie mogą się doprosić, tyle im dają i cześć. Podobno o tej sprawie decyduje dystrybucja „Ruchu”, nie wiem, co to jest ta dystrybucja, gdzie się mieści i kto nią kieruje, podobno ktoś, może ta dystrybucja, a może administracja wyścigowa, twierdzi, że za dużo jest zwrotów. Jakich zwrotów, do licha? Skąd, z Puławskiej? Z tych siedmiu sztuk...?

Sprawa jest nie do pojęcia. Zamiast reklamować imprezę, udostępniać, ułatwiać, stwarza się głupie przeszkody nawet rasowym wyścigowcom, którzy nie tylko nie mogą oddać się ulubionej lekturze i wytypować sobie koni, ale w ogóle nie znają godziny rozpoczęcia rozrywki, bo różnie bywa, inaczej w środy, inaczej w soboty, inaczej w niedziele. Jeśli ktoś nie kupi następnego programu na wyścigach, lata później po mieście jak kot z pęcherzem bez żadnego skutku i bywa, że ze złości rezygnuje całkiem. To o to chodzi administracji? Żeby zrezygnowali wszyscy?

Niech mi tu nikt nie gędzi, że tak byłoby najlepiej, bo namiętność jest szkodliwa i godna potępienia. Nic z tych rzeczy. Życie bez namiętności jest w ogóle do bani, to po pierwsze, a po drugie akurat wyścigi mają mnóstwo zalet dodatkowych. Rozszalały gracz pół dnia spędza na świeżym powietrzu, bardzo zdrowo, do gry nikt go nie zmusza, nikt nie wrywa mu siłą pieniędzy z kieszeni, w przeciwieństwie do takiej, na przykład, knajpy, gdzie musi coś zamówić, bo darmo siedzieć przy stoliku mu nie pozwolą. Cały dzień na wyścigach może przetrwać, nie wydając ani grosza. Jeśli szasta się mieniem i traci wielkie sumy, jest zwyczajnym półgłówkiem, który traciłby zawsze i wszędzie, a do popełniania głupot żadne wyścigi nie są mu potrzebne.

Jeszcze jeden idiotyzm szaleje na Służewcu, a jest nim darmowy wstęp. Nie znam żadnych innych wyścigów na świecie, od Pardubic po Toronto, od Kopenhagi po Wiedeń, gdzie nie płaciłoby się za wejście. Różnie. W Danii podwójna stawka, dziesięć koron, w Anglii jeszcze gorzej, stawka dwa funty, a wstęp dwadzieścia. I jakoś nikogo to nie odstrasza, wszyscy się pchają. U nas też się kiedyś płaciło, od sześciu złotych do trzydziestu, w tamtych czasach była to impreza na zdecydowanie wyższym poziomie, obecnie, od paru już lat, wchodzi się za darmo. Leży w tej obrzydliwej ludzkiej naturze ugruntowany stosunek do takich rzeczy, lekko przyszło, lekko poszło, nie szanuje się tego, co łatwo przychodzi. To jedna strona medalu, druga zaś rozwiązałaby może głupie problemy z oknami, drzwiami, wentylacją i tablicą na środku pola. Opłaty za wstęp dają pieniądze.

Istnieje także i trzecia strona. Automatycznie pojawia się kontrola, a kto wie, może udałoby się nie wpuszczać grup czarujących młodzieńców, którzy w ustronnych miejscach przykładają szczęśliwym graczom brzytwę do gardła...?

Też rozmawiałam na ten temat, oczywiście. Ani razu i od nikogo nie uzyskałam odpowiedzi, która miałaby w sobie odrobinę sensu. Albo dowiadywałam się, że przeszkody są stwarzane przez instytucje nadrzędne, Ministerstwo Finansów, rolnictwa i nie wiem, czego jeszcze, przez skarb państwa i urząd skarbowy, który i tak zabiera wszystkie dochody, albo też okazywało się, że w trzech bramach należałoby postawić ludzi. No pewnie, że należałoby, i co z tego? A otóż nie ma ludzi. Nie ma ludzi? To GDZIE to bezrobocie...?!!!

Kto, do tysiąca jasnych piorunów, podejmował takie decyzje?! Kto wprowadzał te bezdenne głupie i szkodliwe zmiany?! Kto wywierał naciski, zmuszał, siedł na łatwizny i stwarzał sytuacje bezwyjściowe?! No kto, grzecznie pytam...!

Tym sposobem weszłam wreszcie na administrację.

Nie trener, nie dżokej, nie chłopak stajenny i nie gracz decydują o tym całym kretynstwie, tylko właśnie administracja. W tym wypadku wyścigowa. W szerszym zakresie jeszcze gorsza, państwowa.

Generalny idiotyzm szaleje w całym kraju i we wszystkich dziedzinach. Tysięczne bzdety, które stanowiły podstawę minionego ustroju, wcale nie uległy zmianie z bardzo prostego powodu. Nikt nie unieważnił zarządzeń i ustaw, po większej części pozbawionych sensu i sprzecznych ze sobą, publikowanych w rozlicznych „Monitorach” przez całe lata. Wątpię, czy istnieje człowiek, który to wszystko zdołał przeczytać, a jeśli nawet, z pewnością nie wywodzi się on z grona naszych decydentów.

Nie mówiąc już o tym, że dość duża ilość decydentów na rozmaitych szczeblach wywodzi się z byłej nomenklatury partyjnej...

Ciało ustawodawcze, które powinno organizować kraj, innymi słowy sejm, od początku poświęca czas tak niesłychanie ważnym sprawom, jak pazury orła, własne diety, aborcja...

No dobrze, aborcja, mam na ten temat własne sprecyzowane zdanie, z którego nie zepchnie mnie żadna ludzka siła. Wypowiadać się i decydować o niej mają prawo wyłącznie kobiety. I nawet powiem dlaczego. Otóż nie było jeszcze w dziejach ludzkości wypadku, żeby jakiś mężczyzna umarł przy porodzie. Może by się ktoś nad tym faktem zastanowił...



Co się dzieje na owych wysokich szczeblach administracyjnych, wszyscy wiedzą lepiej ode mnie i nie będę się rozwodzić nad detalami. Premie po półtora miliarda, przydzielane sobie przez dostojników Ministerstwa Finansów, a pochodzące z naszych podatków, niewiarygodnie kretyńskie i przeraźliwie biurokratyczne przepisy urzędu skarbowego, wykluczające się wzajemnie zarządzenia, dotyczące zezwoleń wszelkiego autoramentu, jedno bagno, w którym grzęźnie cały kraj. A gdybyśmy tak, na przykład, zażądali, żeby co roku prezentowano nam, w jasnej formie i konkretnie, informację podatkową? Ile mianowicie pieniędzy wpłynęło do skarbu państwa, od kogo i na co te pieniądze zostały wydatkowane. Nie ogólnie, a szczegółowo. No? Publikacja w prasie albo odrębna broszura, do nabycia we wszystkich kioskach już od piętnastego stycznia...

Że już nie wspomnę o ministerstwach, które od dawna istnieją sobie a muzom.

Od administracji do przestępczości jeden krok. Sędziowie i prokuratorzy to też nie są pracownicy produkcyjni i w pełni zaliczają się do grupy pilnującej w kraju porządku.

Policja w Inowłodzu znalazła ukradziony samochód. Zdewastowany został doszczętnie i porzucony w lesie. Znając doskonale szajkę złodziei, dla których nie był to pierwszy występ, z łatwością przekazali ich prokuraturze, prokuratura zaś wypuściła ich natychmiast i umorzyła sprawę, motywując swoją decyzję znikomą szkodliwością czynu. Właściciel samochodu zapewne bardzo się ucieszył.

Ta sama prokuratura wytoczyła sprawę dziewczynie, która bez wiedzy ojca wzięła jego samochód, wpadła na drzewo i złamała biodro. Jechała sama, nie uszkodziła nikogo poza sobą. Ojciec nie zgłaszał pretensji, przeciwnie, był szczęśliwy, że córka uszła z życiem, prokuratura jednakże uznała widocznie wydarzenie za czyn wysoce szkodliwy. Dla sprawcy z pewnością, ale mam wrażenie, że nieszczęść, nawet zawinionych, jeszcze się u nas nie karze.

Co się dzieje w dziedzinie kradzieży samochodów, wszyscy wiemy. Złodziei się nie ściga, nawet jeśli złapie się ich na gorącym uczynku i zabierze do aresztu, wypuszczani są tego samego dnia. Usprawiedliwienie, że wcale nie kradli, chcieli się tylko kawałek przejechać, przyjmuje się bez zastrzeżeń, a taki drobiazg nie jest karalny. Nikt nie ma najmniejszych wątpliwości, że nie o przejażdżkę chodziło, że jest to mafia zupełnie koszmarna, że kwitnie to całe świństwo, a jego owoce zatruwają życie całemu społeczeństwu, ale co z tego? Prokuratorzy i sędziowie do wyboru: wziąć łapówkę i współdziałać, albo oczekiwać napaści, także na żonę i dzieci. Wolą łapówkę. Nie dziwię się im specjalnie.

Z drugiej strony na to gadanie o przejażdżce nie mają sankcji i tu kłania się kodeks karny, który dawno powinien być zmodyfikowany. Skończmy wreszcie z tą komunistyczną wspólnotą, za posługiwanie się cudzą własnością bez zgody właściciela powinny istnieć kary niewspółmiernie wysokie tak długo, aż ową cudzą własność zacznie się szanować. Przestańmy wreszcie lepiej traktować złodzieja niż jego ofiarę!

Humanitaryzm w stosunku do przestępców to wątpienia cecha niezmiernie szlachetna, chrześcijańska i godna uwielbienia, sam cymes, i tylko przy klasnąć, stwarza jednakże jeden drobny szkopał. klucza mianowicie humanitaryzm w stosunku do' poszkodowanych...

Jeśli normalny człowiek nadzieje się we własnym domu na włamywacza i tego włamywacza, nie daj Boże, uszkodzi, pójdzie siedzieć. Z czego wynika, że włamywacz miał pełne prawo wedrzeć mu się do mieszkania, rąbać, co zechce, może dodatkowo zgwałcić żonę, męża poddusić, przyjąć go zaś należało grzecznie i mile, w celach obronnych stosując najwyżej metodę łagodnej perswazji. Zastanawiam się, czy nie zostać włamywaczem. Jeśli gwałcona żona, broniąc się, wydlubie napastnikowi na przykład oczko, też pójdzie siedzieć, a możliwe, że do końca życia będzie mu płaciła rentę inwalidzką, bo przekroczyła granice obrony koniecznej. On jej wszak oczka nie wydlubywał. Żeby tych granic nie przekroczyć, powinna zapewne odpowiedzieć tym samym, to znaczy zgwałcić jego.

Pomijam już przestępstwa przeciwko mieniu na wysokim poziomie, bo o to czepiają się różni zdenerwowani dostojnicy, którzy sami nie zdążyli ich popełnić, iż czystej zawiści nie popuszczą. Proszę bardzo, niech walczą o praworządność na szczycie beze mnie, może coś osiągną. Mnie interesują zwyczajni ludzie, narażeni na paragrafy kodeksu karnego.

I nie policja tu jest winna. Przeciwnie, policja jest pełna rozgoryczenia i zniechęcenia, czemu trudno się dziwić. Ma walczyć z bandziorstwem, usiłuje, jeśli przyłoży bandziorowi zdrowo, krzyk się wielki podnosi, jakie to bestialstwo w jej szeregach panuje, skopała człowieka...! Jakiego znowu człowieka...? A daj mu Boże, temu, co krzyczy, żywy kontakt z owym człowiekiem, najlepiej w ciemnej ulicy.

Znam wypadek, kiedy właściciel samochodu zdążył wylecieć z domu i złamał złodziejowi rękę. Zarazem wezwał policję. Przybyły przedstawiciel władzy miał zdrowe podejście do życia.

— Panie, tyle pańskiego, coś pan mu tę rękę złamał — rzekł szczerze. — On nawet na chwilę siedzieć nie pójdzie...

Po czym obaj zgodnie zaczęli szukać na krawężniku tego miejsca, na które złodziej tak się nieszczęśliwie przewrócił. Bez krawężnika siedzieć poszedłby okradany.

No i proszę, mówiłam, że administracja i przestępczość pływają w zgodnej parze. KTO powinien się pilnie zająć prawodawstwem, kodeksem karnym, zmianami zgodnymi z życiem, przeciwdziałaniem idiotyzmowi, rozkwitłym w obecnych skomplikowanych czasach? KTO?! A otóż wiadomo kto. Ciało ustawodawcze, sejm.

Mimo wszystko, jeśli piękny projekt Pniewskiego wyleci w powietrze, to jednak nie będę ja. Primo, szanuję dzieła sztuki, a secundo, nie mam czasu.

Zaczynam mieć już dosyć tego wszystkiego, a czytelnicy chyba tym bardziej. Owszem, przyznaję się, od początku czyhałam na możliwość napisania, co myślę, z nadzieją, że chociaż parę osób zacznie myśleć podobnie, ale wyraźnie widzę, że wychodzi mi z tego cały cykl felietonów dla prasy, a wcale nie o to mi chodziło. Zamierałam oprzeć się wyłącznie na konkretnych przykładach, okazuje się, że nic z tego, przykłady przerosłyby rozmiarem Baśnie z tysiąca i jednej nocy, ze mnie zaś wyszło zdenerwowanie generalne. Najmocniej za to wszystkich przepraszam.

Dwie kwestie muszę tu wyjaśnić i zacznę od tej gorszej, przy której znów się wygłupiłam.

Doktora Rybczyńskiego, tego z Poznania, poszukującego przez całe życie lekarstwa na raka, nie uśmierciłam wprawdzie definitywnie, ale wysunęłam niesmaczną supozycję, że mógłby już nie żyć. Doktora Rybczyńskiego z całej siły za ten głupawy pomysł przepraszam!

Doktor bowiem żyje i wciąż jeszcze leczy. Dostałam list od czytelniczki, której szwagier, jak zrozumiałam, jest wnukiem doktora, skorygowała mój pogląd, uszczęśliwiając mnie niebotycznie. Znów mam nadzieję, że dzięki tej pomyłce będzie żył dłużej. Niektórzy ludzie powinni być nieśmiertelni!

A propos tego uśmiercania, to też przeżyłam kiedyś chwilę dość wstrząsającą, zdaje się, że dzięki Lucynie. Ona mi chyba powiedziała, że stara gospodyni z Podgórze zmarła i nie wiadomo, czy będzie tam można jechać na lato. Zmartwiłam się, bo miejsce było doskonale i moje dzieci spędzały wakacje nad Bugiem rok w rok już od paru lat. Miałam samochód, udałam się na rekonesans.

Pierwszą osobą, jaką ujrzałam wjechawszy na podwórze, była stara gospodyni, całkowicie żywa i zdrowa. Zgłupiałam na jej widok do tego stopnia, że już otworzyłam usta w celu wydania okrzyku: „Jezus Mario, przecież pani zmarła...!”, ale na szczęście

zdołałam się powstrzymać. Muszę przyznać jednakże, że rozmawiało mi się z nią jakoś trochę dziwnie i nie tak zaraz odzyskałam równowagę.

Z innych listów od czytelników wynika, że panuje jakieś zamieszanie z *Duchem*. Nie ma *Ducha*, jest *Ślepe szczęście* i zaraz wyjaśnię, na czym rzecz polega.

Bardzo dawno temu napisałam dla KAW-u utwór młodzieżowy, dalszy ciąg *Zwyczajnego życia* i *Więszszego kawałka świata*. Mam wrażenie, że działo się to w okresie jakichś zmian, przestały istnieć „Horyzonty”, pojawił się MAW, związany z tym KAW-em, a może mu nawet podległy, nie jestem pewna i mogę się mylić, bo nie wnikałam wtedy w te kwestie. W każdym razie umowę podpisałam z KAW-em i napisałam dla nich mniej więcej normalną książkę, której tytuł, *Ślepe szczęście*, sam mi wyszedł z treści.

KAW trzymał utwór dziewięć lat. Słownie: dziewięć. Przyjęty do druku i przeznaczony do produkcji. Gdzieś tak po latach sześciu dowiedziałam się, że trzeba wprowadzić zmiany, bo książka ma za dużą objętość, muszę zejść do iluś tam arkuszy, dziewięciu chyba, z przyczyn nie sprecyzowanych, może brakowało papieru. Najlepiej będzie wyrzucić całkowicie pierwszą część, „Rzeczkę skarbów”, bo i tak było to czytane w radiu, więc nie warto drukować.

Poszłam na sugestię, bo niby co mogłam zrobić innego, pobić się z instytucją...? Wyrzuciłam, pozmieniałam, tytuł stracił sens i wyszedł z tego *Duch*. Po następnych trzech latach ukazał się w sprzedaży, a jeszcze później przystąpiono do wznowień.

Skorzystałam z okazji. Odnalazłam utwór w pierwotnej postaci i zaproponowałam wydawnictwu całe *Ślepe szczęście*, a nie samego *Ducha*. Książka wyszła i *Duch* przestał istnieć.

No owszem, są tam zmiany. Wydawało mi się, że powinnam je wprowadzić, obawiam się, że każdy autor po paru latach ocenia własny utwór krytycznie i chciałby go poprawić. Chyba mi to poprawianie wyszło nie najlepiej i może przy kolejnym wznowieniu wprowadzę następne zmiany. Nazywa się to „wydanie poprawione i uzupełnione”.

W ten sposób *Duch* tkwi w *Ślepym szczęściu* i jest to jedna książka, a nie dwie. Mam nadzieję, że całą sprawę wyjaśniłam porządnie.

Skoro już jestem przy książkach, które w gruncie rzeczy powinny stanowić zasadniczy element niniejszej autobiografii, wezmę się jeszcze za trzeci film, ten z *Romansu wszechczasów*. Niewiele osób go oglądało i mało kto o nim wie.

INTERART wpadł na pomysł publikacji moich trzech sfilmowanych książek razem ze scenariuszami i fotosami z filmów. Nie miałam pojęcia, jak zamierzają to zrobić, komentarz napisałam, zdradzając rozmaite tajemnice, po czym chwyciłam się za głowę i

wyrwałam sobie resztki włosów. Okazało się bowiem, że rąbnęli ten scenariusz jak leciał, w jego własnej postaci.

Scenariusz to nie jest dzieło do druku. Pisany jest beznadziejnie, językiem zgoła potwornym, walorów literackich nie posiada i z czytelnika może wydrzeć wyłącznie jęki rozpacz i zgrozy. Filmowcom jest to obojętne, nie dla przyjemności czytają scenariusze, nie obchodzi ich styl, gramatyka, a nawet ortografia, mają warsztat pracy i tyle. Na mnie natomiast robi to teraz takie wrażenie, jakbym na bazie *Klina* napisała całkiem inną książkę tak źle, że trudno gorzej.

Niejaką pociechę sprawia mi fakt, że scenariusz do drugiego filmu, „*Skradzionej kolekcji*”, powstałej z *Upiornego legatu*, w ogóle zginął i wydawnictwo ma do dyspozycji tylko scenopis. Mam wielką nadzieję, że autorstwem scenopisu nikt mnie już nie obarczy, wiadomo, że scenopis musi być dziełem reżysera, a tworzony jest z myślą o widzu, a nie o czytelniku. Komentarz do tego filmu też napisałam i nie będę się tu powtarzać. Chała wyszła z tego tak imponująca, że oko bieleje, idiotyzmu z montażem zaś do dziś dnia nikt nie rozumie.

Wszelkie rekordy jednakże pobił *Romans wszechczasów*, z którego Teatr Sensacji w telewizji wyprodukował dzieło pod tytułem „Kim jesteś, kochanie?”

Przy okazji wyjawię dodatkową drobnostkę. Mianowicie *Romans wszechczasów* pierwotnie miał mieć tytuł *Romans tysiąclecia*, W sprawę wkroczyła cenzura, protestując stanowczo, okazało się bowiem, że słowo „tysiąclecie” stanowi świętość narodową, której po kryminałach szargać nie wolno. Musiałam zadowolić się wszechczasami.

Wracając do filmu, nie pamiętam już, jak się nazywała autorka scenariusza, ale napisała go genialnie. Bezbłędnie wydłubała z książki wszystkie elementy komediowe, zachowała atmosferę, wyeksponowała to co barwne i widowiskowe, stworzyła rzecz znakomitą, nic dodać, nic ująć, sama byłam zdumiona, że może z tej książki powstać tak świetny film. Ciekawiło mnie ogromnie, jak też go będą kręcić.

No i powiem od razu. Nie mam zielonego pojęcia, co teraz robi INTERART, bo śladu po tym dziele sztuki nie ma najmniejszego. Nie istnieje w ogóle. Taśma, z której nie zrobiono kopii, została już dawno skasowana i nagrano na niej coś nowego.

Już sam ten fakt świadczy o poziomie utworu. Jakim cudem z tak doskonałego scenariusza zdołano zrobić tak przeraźliwe dno, zgoła nie sposób pojąć. Oglądałam to tylko raz, nie jestem pewna, czy w całości, i moja pamięć zachowała głównie wrażenie skrętu kiszek. Tych kiszek miałam pełno wszędzie, także w głowie, i wszystkie supły się

w ciasne węzłki. Dodatkowo coś zgrzytało w szczękach i latało po plecach, bo w końcu była to ekranizacja mojej własnej książki.

Zabroniłam umieszczać w czołówce tytuł *Romansu* i moje nazwisko.

Złe przeczucia zagnieździły się we mnie już od samego początku. Zostałam dopuszczona do studia pod warunkiem, że będę jak kibic, cicha i bezwonna, nie zacznę się wtrącać i nie odezwę się ani jednym słowem. Spełnienie warunku wyszło może nie najlepiej, w jakimś momencie poderwało mnie, wyleciałam zza wielkiej szyby na górze, popędziłam na dół i zrobiłam piekło tak okropne, że kamerzyści pytali potem, czy pani Chmielewska jeszcze przyjdzie, bo tak śmiesznie to dotychczas tu nigdy nie było.

Sceny w tym filmie rozgrywały się przeważnie w łóżku, nie wiem, skąd wzięte, bo u mnie nic takiego nie istniało. Sensu nie miały za grosz. Główną rolę męską grał jakiś dziennikarz, który podobno raz w życiu wystąpił w charakterze aktora hobby styczenie. Rolę żeńską Kurasiowa. O obsadę nie miałam pretensji, chociaż w efekcie jasny blondyn był silnym brunetem, ale facet przystojny, więc niech tam. Cała reszta wołała o pomstę do nieba.

Zdradzono mi sekret. Okazało się, że reżyser akurat pozostawał w stanie wojny z panią kierownik produkcji i wzajemnie robili sobie na złość, udowadniając, że ta druga strona ma głupie pomysły. Jako dowód występowała nakręcona taśma. Rzeczywiście, trzeba przyznać, że obydwójgu się powiodło, wszystko na tej taśmie było upiornie głupie.

Szczegółów się ze mnie nie wydłubie, bo już ich nie pamiętam, a obejrzeć się nie da. Szkoda. Mogłoby to może służyć jako pouczający przykład negatywny.

Nie miałam w ogóle szczęścia do adaptacji. Nawet taka zdawałoby się prosta rzecz jak słuchowisko z *Nawiedzonego domu*... No nie, tu akurat było odwrotnie, najpierw napisałam słuchowisko dla radia, a potem zrobiłam z niego książkę, co okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam, ale nie w tym rzecz. Słuchowisko zostało nagrane.

Rozpacz mnie ogarnęła tak potężna, że jej resztki tkwią mi gdzieś w środku do tej pory. Zrobiono je znakomicie, wykonawcy zostali świetnie dobrani, podali tekst zgodnie z moją intencją, z wyczuciem, chyba sami się przy tym doskonale bawili, mogło wyjść z tego prawie arcydzieło, I co? I wszystko zostało spaskudzone śmiertelnie.

Jedna jedyna rola załatwiła sprawę, mianowicie rola głównej bohaterki. Podstawowa. Ta nieszczęsna Janeczka, która od początku do końca jest dzieckiem nietypowym, dziewczynką o żelaznych nerwach i zimnej krwi, myślącą w dodatku, na której cała akcja spoczywa, w słuchowisku wystąpiła w charakterze przerażająco kwikliwej, piskliwej, rozhisteryzowanej kretynki.

Dziw, że się nie udusiłam, słuchając tych kwików. Co gorsza, treść przystała do formy, mogę przysiąc bez wahania, że w całym tekście ani razu i nigdzie nie napisałam „ojej”, nawet nie wiem, czy pisze się to razem, czy osobno. Janeczka wrzeszczy „ojej!” bez mała co chwila, jakie wrzeszczy, kwiczy i piszczy, aż uszy bołą. Diabli wzięli całość, której szkoda tym bardziej, że była naprawdę świetna.

Jak zwykle, zostałam postawiona wobec faktu dokonanego, dopuszczono mnie do gotowego, skończonego słuchowiska. Gdybym wysłuchała tego wcześniej, na początku...! Wszyscy się później zgodzili, że pisk Janeczki psuje sztukę, należało zmienić interpretację od razu, rzuciłabym się na to z wyszczerzonymi zębami! No tak, ale radio i telewizja nie lubią autorów...

Rozzłościłam się tak, że zostało mi na długo. Zapowiedziałam, że napiszę ciąg dalszy, w którym wystąpi właśnie kwikliwa dziewczynka, i chciałam zobaczyć, co wtedy zrobią. Znajdą coś jeszcze gorszego niż te piski Janeczki? To już chyba tylko nietoperza...! Po napisaniu żądam słuchowiska...

Radio miało moje żądania nie powiem gdzie, ale ów dalszy ciąg napisałam i są to *Wielkie zasługi*. Cała książka powstała na bazie cholernej Mizi i fakt, to kwikliwe „ojej!” stanowi chyba połowę tekstu. Mogło sobie radio używać, ale, oczywiście, nie skorzystało z okazji.

Boże drogi, nawet „Klimek”... No nie, Klimek jest bardzo ładny, nie czepiam się, ale jak się nie ma furtki, to się nie ma. Jeśli nie w meritum, to chociaż przy odbiorze! Oglądałam go, kiedy akurat w telewizorze wysiadły wszystkie kolory, z wyjątkiem zielonego, całe dzieło było zielone, szczęście jeszcze, że większość akcji toczy się w plenerze i zieleń do roślinności pasuje.

Stawianie ofiary zwanej autorem w obliczu faktów dokonanych przytrafiało się nagminnie, a w moim wypadku na szczyty wspięło się przy Skarbach. Pokazano mi ilustracje i okładkę i o mało trupem nie padłam. Zaprotestowałam przeciwko tym straszliwym bohomazom bardzo gwałtownie i bez żadnego skutku, okazało się bowiem, że dzieci to lubią. Tak zostałam poinformowana. Nie uwierzyłam w ten osobliwy dziecięcy gust, awanturowałam się nadal, pani redaktor ze skrywaną ulgą obiecała, że postawi sprawę na kolegium, złamała się nawet i wyznała, że jej też się to wydaje okropne, spróbuje przeciwdziałać, mając moje poparcie.

Koszmarne mazepy pozostały. Od jednego spojrzenia na obrazek wszystko się w człowieku wzdryga. Wzburzona pani redaktor zdradziła mi później tajemnicę, otóż po pierwsze, kolegium odbyło się w czasie jej nieobecności i paranoiczne dzieło

zatwierdzono, po drugie zaś grafik jest siostrzeńcem naczelnego. Czy tam prezesa, wszystko jedno. Zatem nie ma o czym gadać...

Od tamtej chwili moim marzeniem było wznowienie *Skarbów* w jakiejś ludzkiej postaci...

Właśnie mi się przypomniało, że napisałam kiedyś jeszcze jeden utwór, który nie zyskał powodzenia, z tym że nie jestem pewna, czy komukolwiek go pokazywałam. Była to groteska, to znaczy mam wrażenie, że wyszła mi z tego groteska, aczkolwiek starań w tym kierunku wcale nie czyniłam, a jak teraz to czytam, wyraźnie widzę, że nie powieść to jest, tylko zwyczajny, najprawdziwszy scenariusz.

Tytuł brzmiał: „Lądowanie w Garwolinie”, treścią zaś były nietypowe może nieco poczynania dziennikarskie. Chłopcy z redakcji, wszystko jedno jakiej, postanowili z nagle włączyć się czynnie w sprawę badania opinii publicznej i dostarczyć owej opinii zeru.

Korci mnie strasznie, żeby zacytować tu początek. Skoro mnie korci, zrobię to, niech mam jakąś korzyść z tej autobiografii. Zwracam tylko uwagę, że pisałam to w czasach, kiedy była moda na kosmos i nikt jeszcze nie wierzył w latające talerze.

„Sekretarz redakcji oderwał wzrok od rozłożonego przed nim na biurku czasopisma i utkwiał zadumane spojrzenie w siedzącym naprzeciwko niego satyryku.

— Mars to była moja ostatnia nadzieja — powiedział melancholijnie. — Jeśli tam nie ma ludzi, to już nigdzie nie ma.

— Jak to? — spytał z niejakim zaskoczeniem fotoreporter, odwracając się od okna, przez które obserwował ruch uliczny. — Na ziemi ludzie raczej są.

— Mało ci ludzi? — zdziwił się równocześnie satyryk z wyraźnym niesmakiem.

— Nie ma w naszym układzie słonecznym — wyjaśnił pouczająco doradca do spraw technicznych. — W innych mogą być.

Doradca do spraw technicznych ukończył przed laty politechnikę, dawno już jednak zrezygnował z wykonywania wyuczonego zawodu, znęcony urokami dziennikarstwa. Jego wykształcenie techniczne jednakże było w redakcji wysoce użyteczne. Służył światłą radą we wszystkich dziedzinach oraz korygował błędy i niedopatrzania kolegów, posiadających wykształcenie raczej humanistyczne, twórczej pracy pisarskiej oddając się samodzielnie z rzadka i niechętnie. W lokalu redakcji przebywał bardzo różnie, ponad inne pomieszczenia przedkładając pokój sekretarza, wokół którego piętrzyły się, gromadziły i wikłały wszelkie możliwe problemy. Teraz siedział na krześle pod ścianą, z nogami wyciągniętymi na środek pokoju i po raz czwarty odczytywał korespondencję



skrytykowanego niedawno zakładu produkcyjnego, usiłując zrozumieć bodaj część zawartych w niej wyjaśnień. Z prawdziwą przyjemnością oderwał się od tego zajęcia.

— Inne układy słoneczne nie są jeszcze dokładnie zbadane — oznajmił stanowczo.

Sekretarz redakcji skrzywił się z niesmakiem, odsunął czasopismo i sięgnął po szklankę z herbatą. Przyjrzał się jej nieufnie, wrzucił do środka kostkę cukru i plasterki cytryny i zaczął ją mieszać.

— Podobno nigdzie nie ma — rzekł ze zniechęceniem. — Wszystkie badania wykazują, że z tym żywym białkiem w kosmosie nie jest dobrze...

— Mylisz fikcję z rzeczywistością — przerwał satyryk. Odsunął krzesło, wstał i z leżącej na biurku aktówki wyciągnął torebkę z drugim śniadaniem.

Z torebki wyjął jajko.

— O tym, że w kosmosie nie ma białka, pisał Lem w opowieściach o kadecie Pirxie — kontynuował. — Naukowo to jeszcze nie zostało stwierdzone. Gdzie moja herbata?

— Tutaj — odparł fotoreporter i odsunął się od parapetu, ukazując do połowy opróżnioną szklankę.

— Świnia — powiedział satyryk z rezygnacją. Zabrał szklankę z parapetu, postawił na biurku, obejrzał jajko i mimochodem zastanowił się, kiedy na widok jajek na twardo zacznie dostawać konwulsji. Jego żona, kobieta o stanowczym charakterze, stosowała dietę odchudzającą, żywiąc męża tym samym co i siebie. Drugie śniadanie zostało dla niego przygotowane przez nią. Spojrzał w okno, ale uporczywa wiosenna mżawka zniechęcała do wyjścia, zdecydował się zatem jeszcze tym razem to zjeść. Niemrawo popukał jajkiem w niewielki stosik teczek na biurku.

Sekretarz redakcji mechanicznie mieszał herbatę, patrząc w dal niewidzącym spojrzeniem.

— Parę innych osób też pisało to samo — mruknął posepnie.

Satyryk popukał jajkiem mocniej, bez rezultatu. Rozejrzał się w poszukiwaniu twardego przedmiotu, uczynił krok, potknął się o wyciągnięte nogi doradcy do spraw technicznych i z rozmachem wyrzucił jajkiem w maszynę do pisania na biurku sekretarza redakcji. Surowa zawartość jajka równomiernie spłynęła na klawiaturę i czcionki.

— O, cholera... — powiedział zaskoczony satyryk.

— Zwariowałeś czy co? — zirytował się sekretarz, gwałtownie odsuwając krzesło od biurka. — Nie możesz tego rozbijać o swoją maszynę?

— Myślałem, że jest na twardo — powiedział bezradnie satyryk. — On mi nogę podstawił. Weź te kopyta ze środka, co?

— Chciałeś przecież żywego białka — zauważył fotoreporter.

— Ale nie tu, tylko w kosmosie! Poza tym ono nie jest żywe, tylko surowe! Wytrzymaj to, do cholery! Ja się brzydzę!

— Zachowuje się jak żywe... Co ty myślisz, że ja się nie brzydzę? To przez Tadeusza, niech on wytrze!

— Ja też się brzydzę — zaprotestował doradca do spraw technicznych. — Po diabła w ogóle przynosisz surowe jajka?!

— To nie ja, to moja żona... Rusz się, daj coś!

— Papierem toaletowym...

Wśród wyraźnych objawów wstępu wszyscy trzej przystąpili do wycierania maszyny. Czynność była dość skomplikowana. Fotoreporter przyglądał się temu z zainteresowaniem.

— Wracając do żywego białka... — powiedział doradca do spraw technicznych. — Cholera, rozmazało mi się w rękawie... To w innych układach słonecznych nie wiadomo dokładnie, co się dzieje, i jest możliwość, że gdzieś tam istnieje taka sama planeta jak nasza, i na niej podobne istoty...

— Też tłuką surowe jajka o maszyny do pisania? — spytał zgryźliwie sekretarz.

— Na pewno — powiedział stanowczo satyryk. — Niech cię pocieszy, że, być może, gdzieś w kosmosie siedzi taki sam facet jak ty i rozmazuje sobie takie gluty po klawiaturze...

— Możliwe, że te istoty stłukły sobie na maszynie nawet dwa jajka — podsunął usłużnie fotoreporter.

— Kope! — warknął sekretarz. — Dwie kopy!

— Sto kóp — zgodził się doradca do spraw technicznych, ścierając białko z mankietu papierem toaletowym i chustką do nosa. — W ogóle byłoby dziwne, gdyby tak nie było...

— Gdyby nie tłukły tych jajek?

— Nie, gdyby nie było takiej samej planety. W końcu nie możemy być przecież pępkiem wszechświata!

— No pewnie — przyświadczył satyryk. — To byłoby kretyństwo...

Wyjął z torebki drugie jajko, przyjrzał mu się i niepewnie popatrzył dookoła. Fotoreporter pośpiesznie przysunął ku sobie aparat fotograficzny.

— Lepiej idź to tłuc od razu nad sedesem — poradził sekretarz gniewnie i ostrzegawczo.

— Co go napadło z tymi jajkami? — zdenerwował się doradca do spraw technicznych.  
— Masz] hodowle drobiu, czy jak?

— Mówiłem wam, że to moja żona — odparł zniecierpliwiony satyryk i ostrożnie popukał jajkiem w ścianę. — To jest na twardo.

— Ty, a właściwie po co ci to życie w kosmosie? — zaciekawiał się fotoreporter.

Sekretarz redakcji westchnął i przestał obserwować w napięciu poczynania satyryka, który wreszcie usiadł po drugiej stronie biurka i przystąpił do spożywania posiłku.

— Byłoby coś ciekawego — powiedział, ożywiając się nieco. — Mogliby robić większe postępy... szybciej rozwijać cywilizację, nie wykańczać się wzajemnie w takim stopniu jak my... Byłaby nadzieja, że przylecą do nas z wizytą i w ogóle coś będzie...

— Nie jestem pewien, czy by mi się to podobało — mruknął fotoreporter. — Właśnie ostatnio miałem gości.

— Mnie by się podobało, owszem — zamamrotał niewyraźnie satyryk. — Gości moja żona nie mogłaby karmić wyłącznie jajkami na twardo.

— Jeśli nawet są, to cholernie daleko od nas — powiedział sekretarz redakcji i na nowo popadł w posępną zadumę.

Od najwcześniejszych lat, od chwili niemal kiedy nauczył się czytać, perspektywa podróży kosmicznych jaśniała przed nim jak zorza. Zależnie od postępującego wieku, stanu ducha i nabywanego stopniowo wykształcenia wyobrażał sobie już to siebie, lądującego kosmicznym pojazdem na nie znanej planecie, już to istoty z nie znanej planety, lądujące mu przed nosem na Ziemi. Algebry i geometrii uczył się w szkole wyłącznie w celu ewentualnego porozumienia się z owymi istotami, których poziom inteligencji wahał się od absolutnego prymitywu do niedosiężnych szczytów. Z wiekiem zaniechał myśli o osobistym uczestnictwie w ryzykownych wożach i poprzestał na nadziejach, iż wymarzone istoty zdecydują się wreszcie przebyć dzielącą je od niego przestrzeń.

Wszystkie zdobycze wiedzy i kolejno następujące po sobie odkrycia naukowe systematycznie i bezlitośnie jego nadzieje niszczyły, tłamsiły i wdeptywały w błoto. Z rozgoryczeniem doszedł do wniosku, że właściwie nie ma już na co liczyć, zdusił w sobie uczucie radosnego oczekiwania, wyzbył się złudzeń i pozostał już tylko przy masochistycznym zainteresowaniu tematem, który przez całe życie przynosił mu wyłącznie rozczarowania.

Doradca do spraw technicznych kontynuował jego myśl.

— Wy macie pojęcie? — mówił w przypiływie nagłego natchnienia. — Całkowita zmiana oblicza politycznego i gospodarczego świata! Postęp techniczny...

— A jakie straty! — przerwał mu satyryk z zachwytem.

— Jakie straty?

— Wszystko, co by uległo zdemolowaniu na skutek paniki...

— Jakiej paniki? — przerwał z kolei z oburzeniem sekretarz. — Teraz już o panice nie ma mowy! Ludzie byliby zainteresowani, nic więcej!

— Jacy ludzie? — skrzywił się satyryk. — Ja nie mam na myśli świata naukowego, tylko zwykłych facetów byle gdzie. Przeciętnych ludzi!

— Tych co lecieli z kłonicami pobić motocyklistę w hełmie? — zainteresował się fotoreporter.

— O ile wiem, to przeciętny człowiek rzadko nosi przy sobie kłonicę. Nie głucha wieś i nie metropolia, Coś pośredniego...

— I tam panika i popłoch, co?

— Przeciwnie, zaciekawienie. Macie pojęcie? Ląduje takie coś ni przypiął, ni wypiął, wysiadają tacy trochę podobni do ludzi, a trochę nie...

— Dlaczego zakładasz, że jednak trochę podobni do ludzi? — spytał doradca do spraw technicznych z narastającym zainteresowaniem.

— Jeżeli zakładamy istnienie w innym układzie słonecznym podobnej planety jak nasza, to musimy założyć podobne warunki egzystencji. Czyli powinien się tam wykształcić stwór człekopodobny. W żadną myślącą plazmę nie wierzę, myśleć ta plazma może sobie do upojenia i niby co z tym zrobi? Co jej z tego myślenia przyjdzie?

— Pewnie, co komu kiedy przyszło z myślenia...

— No więc właśnie. Wysiadają podobni do człowieka i co...?

Sekretarz redakcji urwał i popatrzył pytająco na obecnych. Przyglądali mu się wzajemnie, zainteresowani roztoczonym przezeń obrazem. We wszystkich duszach załęgła się z nagłą nieopanowana chęć ujrzenia czegoś takiego. Wysiadają podobni do ludzi i co...?

— A cholera wie... — powiedział satyryk niepewnie.

— Takie rzeczy powinien wiedzieć Ośrodek Badania Opinii Publicznej — obwieścił stanowczo fotoreporter.

— Może i powinien, ale niech ja kaktusami porosnę, jeśli wie... — mruknął doradca do spraw technicznych.

Sekretarz redakcji patrzył na nich jeszcze przez chwilę, po czym bez słowa sięgnął po słuchawkę telefonu...”

Tym sposobem wyłączył się pomysł symulacji lądowania na Ziemi istot z innej planety. Miejscem lądowania miał być rynek w Garwolinie, który miałam w oczach, bo krótko przedtem, kiedy wracałam z Lublina z technologiem ze służby zdrowia, uciekł nam tam autobus i goniliśmy go milicyjnym radiowozem. Pamiętałam, jak wyglądał, i nadawał mi się doskonale.

Utwór coraz bardziej nabierał cech scenariusza. Zespół redakcyjny dokooptował własnego grafika i socjologa z Ośrodka Badania Opinii Publicznej, rzecz utrzymano w absolutnej tajemnicy nawet przed żonami i kolegami po fachu i przystąpiono do przygotowań. No i teraz już przepadło, czuję się zmuszona zacytować dalsze fragmenty.

...” — Jasiu, kombinuj! — zażądał sekretarz redakcji. — Uważasz, kochany, mało, że lądujemy, to jeszcze musimy wysiąść. Zaprojektujesz ubranka. Rozumiesz, musi być coś podobnego do człowieka, ale tak, żeby od razu było widać, że to nie człowiek, żeby nikomu nie wpadło do łba dokładnie sprawdzać. Wzoruj się, na czym chcesz, byle ci wyszło!

— Dobra — powiedział grafik. — Ja mogę, ale po cholere to wszystko?

— Jak to po cholere, a co ty sobie wyobrażasz, że się doczekamy na tych prawdziwych? W duchy wierzysz? A w ten sposób przynajmniej zobaczymy, jak to będzie wyglądało!

— Ale i tak będziemy wiedzieli, że to lipa...

— No to co? Inni nie będą wiedzieli i zareagują tak samo jak na prawdziwe lądowanie. Nie wymagaj za wiele, chryja dookoła będzie autentyczna, a o to przecież chodzi!

Grafik dał się przekonać. Kiwnął głową.

— Skąd weźmiemy pojazd? — spytał rzeczowo. — I w ogóle co to będzie? Ja muszę ubranka dopasować do środka lokomocji.

— Pojazd, mówisz... No... Właśnie nad tym myślimy...

— To musi być dostosowane do wyobrażeń społeczeństwa — powiedział stanowczo fotoreporter. — Krzysiek ma rację, trzeba wykluczyć wątpliwości, W końcu mamy przecież jakieś wzory, literatura ugruntowała w ludzkich umysłach jakieś obrazy pojazdów z kosmosu. Musimy się do tego dostosować. Kto i co tam o tym pisał, nie pamiętacie?

— Mamy Lema — powiedział doradca do spraw technicznych. — Mamy Wellsa. Bradbury pisał... Nie pamiętam dokładnie, co tam było o wyglądzie zewnętrznym. I ten pisał, zdaje się, najwięcej, ten... No, jakże on się nazywał? Na samo «H»... no!

— Horacy — odpowiedział bezmyślnie satyryk.

— Co...? Zwariowałaś, Horacy o pojazdach kosmicznych...?!

— Chciałaś na samo «H»...

— O rany boskie, ten, jakże mu tam, no, ten, który pierwszy zaczął, wystrzelili się na księżyc w kuli armatniej...

— Verne — powiedział sekretarz redakcji. — Rzeczywiście, na samo «H» i przez «ó» kreskowane.

— Zgłupiałaś czy co? — zirytował się fotoreporter. — W armatnim pocisku chcesz lądować?!

Doradca do spraw technicznych zdenerwował się nieco.

— Zamknijcie się, bo nie dacie myśli zebrać. Ja snuję propozycje... To musi być coś, co się swobodnie i powoli porusza w pionie i w poziomie, może lądować na małym odcinku, startować bez rozbiegu i w ogóle musi to być pojazd powietrzny!

— Co ty powiesz? — zdziwił się jadownicie fotoreporter. — A ja już myślałem, że może się nada łódź podwodna.

— Powoli się poruszać w pionie i w poziomie i może jeszcze wisieć w miejscu, co? — zadrwił satyryk. — Ciekawe, skąd coś takiego weźmiesz.

— Nie wiem, trzeba się zastanowić. Może by coś przystosować? Czyja wiem... Coś na zasadzie odrzutu...?

W głosie doradcy do spraw technicznych brzmiała niepewność. Sekretarz redakcji zmarszczył czoło. — Szybowiec...? Awionetka...? Spadochron...? — mamrotał półgłosem.

Grafik patrzył na nich z wyrazem absolutnego osłupienia.

— Czyście zgłupieli wszyscy? — spytał, oszołomiony zdumieniem. — Macie jakieś zaćmienie umysłowe? Przecież jest takie coś! Zwyczajny helikopter!

— Jasiu, jesteś genialny! — krzyknął sekretarz redakcji z wdzięcznością i rozculeniem”...

Helikopter został wynajęty od wojska i przystosowany do zadań kosmicznych. Grafik skomponował stroje, które składały się głównie z dobrze napompowanych dętek samochodowych i rowerowych z licznymi ozdobnikami. Zakupów, w rodzaju stu sztuk drutów do wełny numer trzy i pół, dużej ilości dur—szlaków i tym podobnych utensyliów,

dokonywała sekretarka, potajemnie zakochana w fotoreporterze, który bezlitośnie wykorzystywał jej uczucia.

...” — Marysieńko, kochanie, tasiemki, pięćdziesiąt metrów — mówił czułym głosem fotoreporter. — Weź taksówkę na mój koszt i zaraz przywieź. Złota moja, ty jedna na świecie możesz to załatwić!

Przez głowę sekretarki przeleciała straszna myśl, że następnym razem ten człowiek każe jej wykonać z owej tasiemki sweterek na uprzednio zakupionych drutach, równocześnie jednak zaświtała jej nadzieja dokonania, dzięki przybyciu do redakcji, jakiegoś cennego odkrycia, nie protestowała więc zbyt gorąco”...

Strój kosmiczny należało na kimś przymierzyć. Pociągnięto losy, padło na satyryka. Z ogromną niechęcią, dla dobra sprawy, poddał się roli modelki.

W ogóle tego utworu nie umiem streścić, a skoro go już napoczęłam, muszę cytować dalej.

„Owinięty dętkami rowerowymi i powiązany tasiemkami satyryk wyglądał coraz lepiej. Durszlaki miał na obu ramionach. Na lewym biodrze sekretarz redakcji mocował mu zdjętą z rączki trzepaczkę do bicia piany. Doradca techniczny pompował dętki samochodowe, nie odrywając oczu od modela.

— Kto by pomyślał, że te wszystkie narzędzia kuchenne są takie awangardowe — wysapał z podziwem.

— Ty, pomóż mi — zażądał sekretarz redakcji, widząc wracającego fotoreportera. — Nie chce się trzymać. Spławiłeś ją?

— Pojechała. Wiecie, że to świetna dziewczyna, nie zadaje głupich pytań i w ogóle zgodna...

Trzepaczka została przymocowana. Sekretarz redakcji odstąpił krok w tył i przyjrzał się satyrykowi.

— Znakomicie wygląda! — ocenił z satysfakcją. — Znakomicie! Jeszcze jak przyjdzie ta bania na łeb...

— Żebyście pękli — powiedział satyryk z całego serca.

Fotoreporter wyobraził sobie nagle swoje przyszłe zdjęcia i poczuł wybuch zapalu.

— No, to teraz to! — powiedział niecierpliwie, wskazując napompowane dętki samochodowe. — Jak mu to nakładamy, górą czy dołem?

— Nie wiem, trzeba spróbować. Jasiu, co z tym ogonem?

Grafik od dłuższej już chwili siedział przy stole, korygując projekt.

— Właśnie nie wiem — rzekł w zadumie. — Ogon, czy może lepiej, żeby wyglądało jak trzecia noga?

Fotoreporter zajrzał mu przez ramię.

— Bezwzględnie trzecia noga! — zawyrokował stanowczo. — Ogon w żadnym razie! Ja bym tam nawet dał takie małe światełko.

— Żeby błyskało, co? — ucieszył się grafik. Doradca techniczny przypomniał sobie nagle, że już w czasie wstępnych rozmów elektryk okazywał pewne niezadowolenie i powątpiewał w możliwość realizacji przedstawionych mu propozycji. Zaniepokoił się.

— Nie wiem, czy elektryk przetrzyma — powiedział niepewnie i otarł pot z czoła. — Grymasi, że ma same nietypowe instalacje.

— Co to znaczy grymasi, zwracanie głowy! Przy dzisiejszym rozwoju techniki nie ma nietypowych instalacji!

— Pośpieszcie się, do diabła, nie elektryk nie przetrzyma, tylko ja! — powiedział z gniewem satyryk. — Co wy sobie wyobrażacie...!

— Dobra, dobra, już przymierzamy... Wnętrze pokoju wyglądało oryginalnie. Owinięty dętkami i przyozdobiony durszlakami satyryk stał na środku. W kącie piętrzył się stos napompowanych dętek samochodowych i leżały zwinięte na kształt węża dętki rowerowe. Na biurku grafika, oprócz stosu szkiców i rysunków, leżało pięć hełmów motocyklowych, radiofonizowanych i podwyższonych dziwną konstrukcją, wykonaną z pleksiglasu i niklowanej blachy. Sprężyny niewiadomego pochodzenia, durszlaki, druty, trzepaczki do bicia piany i inne narzędzia kuchenne spoczywały na krzesłach i podłodze. O ścianę oparte było kilka zdekompletowanych lamp stojących. Cały ten sprzęt kosmonautyczny sprawiał, że w pomieszczeniu nie było się gdzie ruszać.

Energiczne pukanie do drzwi, które rozległo się z nienacką, zadziałało jak wybuch bomby. Pewność, że wszystkie, drzwi, zaczynając od zewnętrznych na dole, są zamknięte, była tak silna, że czyjaś obecność w budynku wszystkim wydała się niepojętym kataklizmem. Na myśl, że za chwilę niepowołany świadek odgadnie tajemnicę, cały zespół wpadł w panikę. Sekretarz redakcji wypuścił z rąk kolejną dętkę samochodową i runął na drzwi, usiłując je przytrzymać. Grafik zgarnął ze stołu rysunki, starając się zasłonić je własnym ciałem. Fotoreporter z furją jął wpychać satyryka pod biurko.

— Schowaj się! Rany boskie...! Zegnij się trochę, do cholery!

— Sam się zegnij, kretynie...!

— Niech stanie tyłem, nikt nie pozna, że to człowiek! — syczał spod drzwi sekretarz redakcji przenikliwym szeptem. — Tylko z głową coś zrobić...



— Uciąć mu...?

— Hełmy...! — wyjącał dramatycznie doradca do spraw technicznych. — Schowajcie hełmy...!

Jedna ze zdekompletowanych lamp przewróciła się na stos dętek. Z dwóch dętek ze świstem uszło powietrze. Fotoreporter wyrznięł hełmem w żarówkę lampy stojącej na biurku i żarówka huknęła niczym wystrzał armatni.

Stojący za drzwiami socjolog słucał odgłosów z pokoju jak muzyki niebiańskiej. Chciał zawołać, że to on, ale z przejęcia głos jego stał się cichy i drżący.

Zapukał ponownie.

Ulga, jakiej doznał sekretarz redakcji, ostrożnie uchylwszy drzwi, była nie do opisanania. Cała sprawa miała sens wyłącznie w wypadku zachowania absolutnej tajemnicy. Nie tylko ujawnienie przygotowań, ale nawet cień podejrzenia, że coś takiego się robi, niweczył wszystko. Wiadomo przecież było, że lądowanie przybyszów z innej planety obudzi przede wszystkim niedowierzenie. Niedowierzenie, poparte spo— strzeżeniami, że już wcześniej w redakcji działało się coś, co wskazuje na wielki kant, wypaczyłoby gruntownie reakcję społeczeństwa. Ludzie, mający dostęp do tego budynku, to byli wszak przedstawiciele prasy...

Jak dotąd, garnki, druty i badania przyrodnicze maciły obraz prawdziwych poczynań i nie nasuwały nikomu niepożądanych skojarzeń. Dopiero teraz, w tym pokoju, widok nadmuchanego satyryka mógł stać się przyczyną klęski.

Nigdy w życiu sekretarz redakcji nie był tak bliski rzucenia się na szyję mężczyźnie. Z okrzykiem, który przypominał radosne, uszczęśliwione gruchanie, wciągnął socjologa do środka.

— O, niech ja skonam... —jęknął fotoreporter.

— Dobry wieczór panom — powiedział socjolog, usiłując w pośpiechu wyjaśnić wszystko naraz. — Miałem nadzieję, że panów zastanę, chodzi mi o to, że zgłaszam swój udział, jeśli można, szalenie mi na tym zależy, jeśli można, chciałbym lądować...

— Zawału dostanę — mruknął doradca do spraw technicznych. — Stresy skracają życie...

— Jak pan tu wszedł? — spytał podejrzliwie grafik.

— Chodzi mi, rozumieją panowie, niejako o obce społeczeństwo, widziane oczyma przybysza z kosmosu — ciągnął socjolog nieprzerwanie. — Jeśli można, to chciałbym być w tej grupie, co wyląduje, twarzą w twarz, jako ta istota, jeśli można...

— Ależ można, kochany, można! — zawołał sekretarz z rozczuleniem. — Z nieba nam pan zleciał! Za mało mamy tych astronautów, bo każdy woli latać po rynku! Proszę, proszę...

— Teoretycznie niczego nie można wywnioskować — powiedział jeszcze socjolog z rozpedu i wzrok jego padł na satyryka, co sprawiło, że wreszcie zamilkł.

— Jak pan tu wszedł?! — wrzasnął rozpaczliwie grafik.

Wszyscy spojrzeli na niego, nieco zaskoczeni.

— Rzeczywiście — powiedział niepewnie sekretarz redakcji. — Jak pan tu wszedł?

— Przez drzwi — odparł uprzejmie socjolog.

— Przez jakie drzwi?

— Proszę...? No, różne drzwi, kolejno, było kilkoro drzwi...

— Ta jełopa nie zamknęła za Marysią — powiedział ze zgrozą doradca do spraw technicznych.

Sekretarz redakcji odzyskał przytomność umysłu.

— No nie, panowie, jeśli będziemy robili takie numery, to chała wyjdzie, a nie eksperyment. Zgłupiałeś czy co? Masz zaćmienie umysłu...?

Usprawiedliwienia skruszonego fotoreportera przerwał rozwścieczony satyryk.

— Zostawcie go, do cholery, zamknijcie te drzwi i pośpieszcie się trochę! Ja dłużej nie wytrzymam! Modelkę sobie znaleźli, psiakrew...!

— Cicho, nie margaj, może zrobisz karierę w tym zawodzie...

Socjolog chłonał wzrokiem urzekające wyposażenie wnętrza pokoju. Satyryk wydał mu się nieco szary, co stanowiło niejaką sprzeczność z obrazem istot z innej planety, jaśniejących na ogół blaskiem srebrzystych metali. Chciał o to spytać, ale równocześnie chciał spytać o mnóstwo innych rzeczy, zaczynał zatem mówić różne wyrazy, z których żadnego nie kończył.

— Pomóście mi! — zażądał sekretarz redakcji.

Fotoreporter i grafik porzucili stojącą lampę z przegubem, z której konstruowali trzecią nogę, i wzięli udział w nakładaniu na satyryka dętki samochodowej. Najpierw spróbowano dołem. Spętany dętkami rowerowymi satyryk z pewnym wysiłkiem wlaź do środka, fotoreporter zaś usiłował przepchnąć nadętą bułę ku górze.

Wrażenie nie było najlepsze, satyryk wyglądał jak w dziwnego fasonu krynolinie.

— Mówiłem, że to ma być w górze! — zirytował się grafik. — Wiem, co robię, a wy nie słuchacie!

— Głupio jakoś wygląda — ocenił krytycznie sekretarz. — Nie, to na nic, on ma rację. Wylaż z tego!

— Ale jak to będzie górą, to dołem będzie widać, że ma zwyczajne nogi! — zaprotestował fotoreporter.

— Do dwóch nóg ma prawo! Zdecydowaliśmy się na istoty człekopodobne, nie? A zresztą, to wcale nie będą zwyczajne nogi...

Grafik wlażł pod biurko i wyciągnął gigantycznych rozmiarów płetwy.

— O! Masz, zakładaj to! Zobaczycie, jak pięknie wyjdzie!

Założenie płetw przez satyryka własnoręcznie było wykluczone. Imponująca buła skutecznie ograniczała jego ruchy. Usiłował się popukać palcem w czoło, ale udało mu się tylko pokiwać uwieczoną w zwojach dętek dłonią. Sekretarz redakcji i grafik padli przed nim na kolana.

— Unieś to kopyto, jak rany, nie przyrosłeś przecież do podłogi!

— Do parteru niedługo przyrosnę! Korzenie zapuszczę i zakwitnę! — warczał satyryk w furii. — Czyście na łeb upadli, co robicie?!

Ubranie go w płetwy wydawało się niezwykle skomplikowane, ponieważ obaj usiłowali założyć mu je równocześnie. Zapatrzony w ich wysiłki socjolog zdążył chwycić w objęcia zaziemską istotę”...

Ubranka wreszcie skompletowano, kłopoty w tej kwestii sprawił tylko pilot.

„Na stojącą przed hangarem ciężarówkę ładowano fragmenty dekoracji helikoptera. Z hangaru wyszedł pilot i wsiadł do samochodu, w którym czekali już sekretarz redakcji, socjolog i fotoreporter.

— Rzeczywiście, bardzo dobrze wygląda — przyznał. — Sam bym w życiu nie poznał, że to helikopter. Ale ręce i nogi to ja, proszę panów, muszę mieć wolne, nie da rady inaczej. Na te poduchy się zgadzam I na tę banię też. Tylko ręce I nogi.

— Wszystko panu potrzebne na ten mały kawałek? — zdziwił się z niesmakiem sekretarz.

— I z powrotem — powiedział pilot. — Jakoś tak to jest urządzone, że wszystko.

— Zrobi się — powiedział fotoreporter. — Dopompuje się pana w ostatniej chwili, po wylądowaniu. Zawsze tak jest, że lądują i z początku nikt nie wychodzi.

— A potem wychodzą z miotaczem w rękę — powiedział marząco socjolog.

— A, właśnie! — ożywił się pilot. — A co z bronią? Jakaś broń przecież muszą mieć?”...

W ten sposób pojawił się problem broni zaczepnej i odpornej. Produkcję oręża zaprezentowałam już zupełnie filmowo, na zasadzie małych scenek, i zastanawiam się właśnie, skąd mi się to w ogóle wzięło. ... „Żona socjologa usłyszała dziwny hałas w przedpokoju i poszła zobaczyć, co robi jej mąż. Socjolog, z natchnionym wyrazem twarzy, wywlókł właśnie z szafki nietypowy, amerykański odkurzacz i przymocowawszy doń rurę, w miejsce szczotki usiłował wetknąć dwa prawidła do butów. Prawidła nie chciały się trzymać. Socjolog zajrzał do rury, obejrzał się wokół i zastąpił prawidła metalowym składanym wieszakiem.

— Na litość boską, co ty robisz? — spytała żona, niebotycznie zdumiona.

Socjolog obrzucił ją roztargnionym spojrzeniem.

— Broń — odparł krótko i po namyśle dodał: — Zaczepną.

— Do czego...?!

Socjolog spojrział na nią ponownie i nagle w oku mu błysnęło. Chwycił rurę z wieszakiem w prawą dłoń i warcząc chrapliwie, wystartował do ataku, nie biegiem jednakże, ale dziwnym, drobnym kroczeniem, tak jakby miał nogi spętane w kolanach.

Żona krzyknęła okropnie i zabarykadowała się w łazience”.

...”Pogwizdując z zapalem «Walentyna–twist», pilot przeprowadzał remanent w stosie dziecinnych zabawek. Z dna stosu wywlókł stare podwozie wielkiego drewnianego samochodu. Przyjrzał mu się w zadumie, po czym popchnął po podłodze tam i z powrotem. Podwozie, jadąc, grzechotało przeraźliwie. Pilot kiwnął z zadowoleniem głową i udał się do kuchni, gdzie żona nakłaniała dziecko do spożycia kolacji.

— Myłaś głowę ostatnio, kochanie? — spytał czule, acz odrobinę niepewnie.

— Nie, byłam u fryzjera. Bo co?

— Nic. To pewnie teraz nie będziesz myła głowy przez parę dni?

— Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz? Nie podoba ci się moje uczesanie?

Żona pilota była kobietą młodą i piękną, nie dziwiło jej zatem zainteresowanie męża. Pytania uważała za naturalne.

— Ależ przeciwnie — powiedział pilot z pośpiechem. — Jest prześliczne! Powinnaś je zostawić na dłużej. W ogóle najlepiej niech cię znów uczesze ten sam fryzjer.

Żona uśmiechnęła się błogo, wciąż zajęta posiłkiem dziecka.

— Nie podnoś noża do buzi, tylko widelec. O, tak...

— Słuchaj, kochanie — powiedział znów pilot. — Ty miałaś coś takiego na głowę. Nie, nie kapelusz. Posypywałaś sobie głowę czymś takim, jak szliśmy na bal...

— Nie żądasz chyba, żebym sobie posypywała zwyczajne uczesanie brokatem fryzjerskim...?!

— Co...? A, nie. Brokat fryzjerski, mówisz? A masz to jeszcze?

— Zostało mi trochę, pewnie jest w szafce, w łazience. Po co ci to, na litość boską?!

— Po nic. Tak się tylko pytam...

Kolacja dziecka przeciągnęła się nieco. Pilot zdążył przymocować do podwozia samochodowego suszarkę do włosów żony, znaleźć w szafce srebrny proszek, wsypać go do suszarki i przyczepić do urządzenia długi kijek”...

... „Kąpiąca się w łazience żona miała wrażenie, że z głębi mieszkania dobiega jakiś dziwny hurgot. Skróciła kąpiel, wyszła i ujrzała pół mieszkania obsypane srebrnym proszkiem, który jej mąż bezskutecznie usiłował pozmiatać...”

... „Satyryk zużytkował do celów wojennych wielką gruszkę do lewatywy. Po długich wysiłkach i licznych próbach, przeprowadzanych w łazience, osiągnął wreszcie właściwą ilość wody wewnątrz i właściwe nachylenie przyrządu, które razem dawały nie jednolity strumień, tylko mglisty rozprysk. Wówczas napełnił gruszkę atramentem.

Resztę wieczoru poświęcił na zmywanie z wanny, sedesu, podłogi i ścian miliona czarnych kropek...” Widać, że pisałam to dawno, bo w czasach obecnych użycie atramentu nie przyszłoby mi do głowy. Atramentu na oczy nie widziałam od wieków i w ogóle nie wiem, czy można go gdzieś dostać.

No dobrze, przestanę już cytować ten utwór, zespół kosmonautów zrealizował plany i wylądował na garwolińskim rynku, a zakończenia nie zdradzę na wszelki wypadek. Kto wie, może jednak napiszę to porządnie i przekształcę w książkę...?

Najchętniej zrobiłabym z tego film, ale z opisanych już przykładów wyraźnie wynika, że byłoby to przedsięwzięcie ryzykowne. Wątpię, czy mój niefart już się przełamał, i nie mam pojęcia, skąd wziąć reżysera, który by popatrzył na dzieło moimi oczami. Przepelniają mnie obawy, że albo zrobiłby z tego romans fotoreportera z sekretarką i cztery piąte filmu prezentowałyby ekscesy erotyczne, albo przeistoczyłby całość w kompletnie niezrozumiałą konferencję naukową. Albo spaskudziłby generalnie w sposób dla mnie nie do przewidzenia. Optymizm w tej dziedzinie naprawdę już ledwo we mnie zipie.

Co gorsza, od pewnego już czasu opętał mnie niepokój na tle dodatkowym. Pomysł tego kosmicznego lądowania jest, co tu ukrywać, zupełnie obłąkańczy, a jego realizacja jeszcze głupsza. A gdzie te wzniosłe wartości, ukryte w wielkich dziełach? Każdy autor pcha się do nich, marząc o utworze wiekopomnym i tego Nobla wypatrując na horyzoncie,

niezdolna w głębi duszy do takich zamierzeń, czuję się wręcz nieswojo. Powinnam może dać sobie spokój z rozweselaniem społeczeństwa i przystąpić do uszlachetniania, które, nie wiadomo dlaczego, u nas jest równoznaczne ze śmiertelną powagą i strumieniami łez na ponurych obliczach.

Powaga jest tarczą głupców, a strumieni łez osobiście nie lubię.

Zapewniam uroczyście, iż utwór pełen nieszczęść, kataklizmów i rozpaczy potrafię napisać bez trudu, już próbowałam i sama się nad nim popłakałam bez opamiętania. Przygłębił mnie bezdennie. Musiałyby się we mnie rozszaleć skłonności sadystyczne, żebym czymś takim obdarowała bliźnich, mowy nie ma i w ogóle wykluczone, a reszta świata niech sobie myśli, co chce.

Wielką pociechą jest dla mnie w tej kwestii scena sprzed lat. Już na samym początku mojej kariery pisarskiej te przecudowne panie w „Czytelniku” powiedziały do mnie wyraźnie:

— Tylko niech pani, na litość boską, nie zrezygnuje z tego stylu i nie zacznie przypadkiem pisać na poważnie!

Rada ucieszyła mnie niezmiernie i zastosowałam się do niej z wielką łatwością, bo już chyba wszyscy widzą, że gniot psychiczny to nie jest ulubiony stan mojej duszy. No dobrze, powiem to, bo niektórym osobom mogło umknąć. Jakieś cechy płci posiadam i wszystko, co robię, nie jest wynikiem działalności tych małych szarych kawałków na górze, a wyłącznie rezultatem nakazów duszy, która ma swoje wymagania i pcha się w ich kierunku z wściekłą siłą. Z kim jak z kim, ale z duszą się sprzeczać nie będę! Zatem o lądowaniu w Garwolinie chyba jednak napiszę i znów będzie to utwór historyczny, tak jak *Dziki białko*.

No i o mała nie zapomniałam napisać o nomadzie. Nic z tym nomadą nie było szczególnego, ale skoro obiecałam wyjaśnić w aneksie, wszyscy wyobraźliby sobie Bóg wie co.

Jechaliśmy we trójkę, Robert, Marek i ja, w celach turystyczno–krajoznawczych i natknęliśmy się na wielkie stado wielbłądów. Widok wydał nam się niezmiernie egzotyczny, Robert zatrzymał samochód, wysiedliśmy, a działo się to, oczywiście, w Algierii.

Najpierw zainteresowało nas, co też one jedzą, bo błonie składało się głównie z zaschniętej gliny. Potem jeden wielbłąd ruszył ku szosie i Robert za nic w świecie nie chciał odjechać, istniała bowiem szansa, że nie podobamy mu się i zamierza na nas na—

pluć, moje dziecko zaś koniecznie chciało zobaczyć, jak to zwierzę pluje. Nawet nie zauważyliśmy, że razem z wielbłądem zbliża się nomada.

Z plucia nic nie wyszło, wielbłąd miał co innego na głowie, szukał pożywienia, nomada natomiast podszedł do nas i rozpoczął pogawędkę. Robert już umiał trochę po arabsku, ale za cholere go nie mógł zrozumieć, sam też wypowiadał jakieś słowa i wyglądało na to, że owszem, nomada pojmuje.

— On czegoś chce — rzekł mój syn. — Ale zabijcie mnie, nie wiem czego.

Spróbowaliśmy poczęstować go papierosami. Nie chciał. Daliśmy mu pięć dinarów. Odmówił przyjęcia z uśmiechem. Uparcie pokazywał rękami dziwną kupę szmat, leżącą na środku pola, i wreszcie udało nam się odgadnąć. Zapraszał nas do siebie w gości!

Marek, nie zmieniając przyjemnego wyrazu twarzy, ostrzegł przed tą wizytą. Kupa szmat była jurta nomady, w jurcie zaś musiały koniecznie szaleć pchły, pasożyty, ameby i obca flora bakteryjna. Nie daj Boże, jeszcze by usiłował dać nam coś do zjedzenia.

Wyjaśniając mu obrazowo, że się strasznie śpieszymy, nie przyjęliśmy zaproszenia i pożegnaliśmy go bardzo przyjacielsko, co widać na zdjęciu w czwartym tomie.

Przy okazji przypomniało mi się osobliwe zjawisko w naszym ogrodzie zoologicznym. Iwona przyjechała do Warszawy z Karoliną, poszłyśmy do zoo, żeby zabawić dziecko, był jeszcze ktoś z rodziny. Za siatką leżał wielbłąd, tak blisko, że przez oczka można było go dotknąć. Spoczywał nieruchomo i patrzył w dal. Na nikogo nie zwracał uwagi, tylko zaczynał warczeć, kiedy podchodziła do niego Iwona. Jak Boga kocham, wydawał z siebie głuchy równy warkot pochodzący jakby z brzucha, podobny nieco do psiego, ale musiałby to być bardzo duży i leniwy pies. Nie wierzyłyśmy własnym uszom, uczyniłyśmy mnóstwo prób, wciąż było to samo. Wpatrzony w przestrzeń wielbłąd nie reagował na nic, warczał wyłącznie na Iwonę, konsekwentnie i wytrwale. Uznałyśmy w końcu, że chyba mu śmierdziała Algieria, ale tak naprawdę, do dziś nie wiemy, co to mogło oznaczać.

Oczywiście muszę tu naprawić jeszcze jeden błąd, który, można powiedzieć, rzuca się w oczy. W drugim tomie napisałam, że moja przyjaciółka, Janka, szła do ślubu rozwścieczona, ponieważ zamiast kremowych róż dostała różowe. Jedyne, co się zgadza, to kolor, ale na zdjęciu widać, że nie były to żadne róże, tylko goździki. Na tym polegał cały dowcip, do kremowego kostiumu miała zamówione kremowe róże, dostarczono różowe goździki i o mało jej szlag nie trafił. Błąd zaś wziął się stąd, że najpierw tekst poszedł do druku, potem wydarłam jej zdjęcie, a jeszcze później popatrzyłam na nie uważnie i zrobiło mi się chyba trochę niedobrze. Goździki widać gołym okiem. W

pamięci miałam wyłącznie to, co najbardziej zdenerwowało tak ja, jak i mnie, mianowicie zgryzotę kolorystyczną, rodzaj kwiatów był mi obojętny. Dopiero na widok kwiecica na podobieżnie przypomniało mi się wszystko dokładniej. Niniejszym zatem ze skruchą dokonuję sprostowania.

Nie napisałam także, dla odmiany w tomie pierwszym, co miałam na sobie. Zamierzałam podać informację pod zdjęciem, ale najzwyczajniej w świecie wyleciało mi z głowy. Zjawisko takie nosi nazwę sklerozy.

Otóż tam, gdzie obie z Lilką znajdujemy się na kładce, nad potokiem, widoczny na mnie strój jest wręcz historyczny, został bowiem wykonany z owej niezmiernie wytwornej szaty Lucyny, tej, w której w czasie powstania szła na Sadybę. Przypominam, że była to biała kiecka w czerwone kropki i czerwony płaszczyk w białe kropki i wyszło z tego takie coś, jak na zdjęciu widać. Dlaczego nie wyszło nic więcej, pojęcia nie mam, bo zdawałoby się, że z dwóch sztuk garderoby można wykonać co najmniej półtorej sztuki czegoś innego, ale może to pierwotne miało wymyślny krój.

Chciałam koniecznie podać tu jeszcze jeden komunikat, z tym że zależało mi na ścisłości i do samego końca, to znaczy do chwili bieżącej, czekałam, aż Marła znajdzie list ode mnie. Wszystko tam było opisane z detalami.

Drobnostka miała miejsce w Toronto na kongresie IBC. Posiłki, rzecz jasna, mieliśmy zapewnione, a wolny stół pozwalał na wszelkie fanaberie. Podszedł facet z talerzem, usiadł obok mnie, spojrzałam tak sobie, bez istotnego powodu, i sparaliżowało mi szczęki.

Talerz był duży. Facet też, ale nie miało to znaczenia. Zawartość talerza właśnie opisałam jej zaraz potem, specjalnie starając się wszystko porządnie zapamiętać, i chciałam teraz odtworzyć z korespondencji. Niestety, list jej gdzieś zginał, co mnie trochę dziwi, bo pisany był na materiałach kongresowych i wyglądał nader dziwnie. Nic innego akurat nie miałam pod ręką. No trudno, przepadło, spróbuję podać produkty z pamięci.

Otóż gwarantowanie pamiętam mięso na gorąco w sosie, zimne wędliny różnych rodzajów, makaron, sałatkę z kartofli, zielonego melona, najśłodsze ze wszystkich, krojonego w kostkę, i tort czekoladowy z bitą śmietaną. Było na tym talerzu więcej, ale czy były to ogórki, czy jajecznicza, czy serek, za to już głowy nie dam, majaczy mi się jeszcze sałata, oliwki i sałatka owocowa. Przenikało się to wzajemnie, co mu w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało, bo i tak, jak Boga kocham, wymieszał to wszystko ze sobą i zjadł. Przez długą chwilę oczu od jego widelca nie mogłam oderwać, po czym przyszło mi coś do głowy. Spojrzałam na plakietkę przy koszuli. Oczywiście, Amerykanin!



Nie do wiary, do czego oni są zdolni...

A propos Marii, to przy niej widzę dwa mankamenty. Jeden — nie napisałam o Mici. Odpychało mnie, ponieważ Micia już nie żyje, a była cudem absolutnym. Jej poprzednia właścicielka opuszczała kraj i ktoś musiał zaopiekować się kotką, wówczas sześciolletnią, posiadającą już ukształtowany charakter i ugruntowane przyzwyczajenia. Obie z Marią znały się i kochały wzajemnie, ale poglądy miały różne, co sprawiło, że przez pół roku trwała walka. Maria swoje, Micia swoje, w końcu obie poszły na kompromis, z tym że chyba Micia wywalczyła więcej.

Była stworzeniem absolutnie pokojowym, na spacer wychodziła rzadko i wyłącznie na klatkę schodową, z racji wieku średniego nie miała już skłonności do przesadnego ożywienia i swawoli, a jednak...

Któregoś wieczoru wyszła, odbyła przechadzkę i wróciła wyraźnie przejęta. Latała po mieszkaniu, miauczała wściekle, pchała się do pani, różne sztuki czyniła, czegoś chciała.

— O co ci chodzi? — pytała Maria, w końcu zniecierpliwiona. — Czego się awanturujesz? Coś ci się stało? Pokaż...

Usiłowała kotkę dokładnie obejrzeć, Micia wyrwała się jej z rąk, oburzona i rozgniewana. Uspokoiła się wreszcie, ale nazajutrz rano czatowała pode drzwiami i kiedy Maria wychodziła do pracy, wybiegła razem z nią. Z niejakim wysiłkiem odsunęła wycieraczkę i zaprezentowała zdobycz pod spodem. Złapała mysz!

Złapała ją poprzedniego wieczoru i chciała się pochwalić. Wyraźnie o rym mówiła, niezmiernie przejęta sukcesem, a pani, jak każda istota ludzka, oczywiście głupia, nie rozumiała, co się do niej mówi. Maria spóźniła się do pracy, bo Micie należało pochwalić i uczcić.

Sto pociech z nią było przez całe lata, rozróżniała, kto jest porządnym człowiekiem, a kto nie, obrażała się na zbyt długą nieobecność pani, nie znosiła jazdy samochodem, ludzki język znała doskonale i pojmowała każde słowo. Kiedyś przyczyniłam jej zdenerwowania, czytając moją książkę Maria zaczęła się okropnie śmiać, zaintrygowana zjawiskiem Micia wlaźła jej na gors i próbowała zaglądać do ust, słusznie tam widząc źródło dźwięków. Umarła, niestety, nie tak dawno temu, bo była już stara i chora.

Drugim mankamentem jest moja własna pomyłka, pomieszałam wydarzenia zapewne ze zdenerwowania. Te ryby pod parasolką w Tleniu i moje tajemnicze zaginięcie nastąpiło przy naszym pierwszym wyjeździe, Tadeusz natomiast umarł przy drugim, kiedy w Tleniu znalazło się większe towarzystwo, bo pojechały także moje dzieci, Jerzy, Iwona i Karolina. Karolina doprowadziła wówczas wszystkich wędkarzy do istnego szaleństwa.

Oddalona od nich zaledwie o kilkanaście metrów, łapała ryby jedną za drugą, podczas gdy ani Marii, ani Maćkowi, ani Jerzemu spławik nawet nie drgnął.

— Zabierz stąd tego wstrętnego bachora!!! — ryczał do mnie rozwścieczony tatuś dziecka, a Karolina omal się nie udusiła ze śmiechu.

W dodatku łapała te ryby na co popadło, zakładała na haczyk kawały kiełbasy jak pięść, zlatywały jej przy zarzucaniu, ryby musiały chyba zgłupieć. Przeżyłam to ciężko, bo wszystkie musiałam jej zdejmować z haczyka, sama nie chciała, twierdząc, że się brzydzi. Wyłowiła prawie całą kolację...

Wyjawiłam bez oporu tak zwaną tajemnicę warsztatu i mnóstwo osób ma obawy, czy może nadzieje, że już niczego więcej nie zdołam napisać. Wszystkie moje książki oparte były na większej czy mniejszej ilości autentyku, faktów, wydarzeń prawdziwych, na bohaterach istniejących w naturze. Wyeksploatowałam tworzywo i nic mi już nie zostało. A cha cha!

Teraz dopiero widzę, ile wszystkiego przepuściłam. Ilu osób nie tknęłam, ile kryminalnych wątków mam jeszcze w zapasie, ile nie rozwikłanych tajemnic zostało! Chociażby dziewczyna w Łodzi...

Stało się to bardzo dawno temu, mniej więcej dwadzieścia pięć lat, i jest już oczywiście przedawnione, bo przedawnieniu nie ulegają tylko zbrodnie wojenne, a to była zbrodnia prywatna. Morderca mógłby ogłosić się w prasie, podając imię, nazwisko i adres, i prawo nie zdołałoby mu zrobić nic złego.

Sprawę znam stąd, że w tamtym czasie prowadził ją Wojtek i poniósł klęskę absolutną. Zamordowana została szesnastoletnia dziewczyna, córka zamożnych rodziców, jedynaczka, nie żadna lafirynda, tylko jednostka przyzwoita, dobra uczennica, unikająca złego towarzystwa. Nastąpiło to w niedzielę, rodzice wyjechali na jakiś weekend, może do rodziny, córka wybierała się w plener z przyjaciółmi, dom został pusty. Po powrocie wieczorem rodzice zastali w mieszkaniu zwłoki córki.

Dochodzenie ustaliło, co następuje:

Dziewczyna wróciła wcześniej, z powodów niedokładnie sprecyzowanych. Może nie spodobała się jej wycieczka, może zapomniała czegoś i chciała to zabrać, w każdym razie znalazła się w domu koło południa. Ktoś przyszedł. Nie stwierdzono, czy był to ktoś znajomy, komu sama otworzyła drzwi, czy też ktoś obcy, włamywacz na przykład, który wdarł się tam przed nią. Wyglądało raczej na znajomego i pojawiło się przypuszczenie, że jakiś osobnik z grona zaprzyjaźnionej młodzieży zdołał dorobić sobie klucze i przyszedł

okraść bogate mieszkanie. Może przy okazji chciał zgwałcić ofiarę, piękną dziewczynę, ale to już była luźna myśl, bo nie uczynił tego. Co się tam działo dokładnie, nie zdołano odgadnąć, wywiązała się jakaś walka, dziewczyna biegła w kierunku balkonu, zamierzając zapewne wzywać pomocy, złoczyńca rzucił w nią kryształową popielniczką, trafił i rozbił jej głowę.

Milicja czyniła wysiłki naprawdę rzetelne, dla Wojtka była to sprawa prestiżowa, mimo starań sukcesu nie osiągnięto. Mikroślady w owym czasie istniały u nas w powijkach, jakieś tam inne możliwości techniczne w rodzaju podczerwieni, promieniowania ciepła i tym podobnych sztuk jeśli nawet były znane, to nie stosowane, dochodzenie diabli wzięli i zbrodnia poszła do archiwum. Nie została wykryta.

A dwóch braci, z których jeden zabił faceta? Obaj, nie razem, a oddzielnie, znaleźli się na miejscu przestępstwa, obaj mieli możliwość i motyw, obaj poszli siedzieć, po czym, na zmianę, obaj się przyznawali i obaj deklarowali niewinność. Ofiara padła od jednego ciosu, nie mogło jej zabić dwóch ludzi, w obliczu całkowitej niemożności stwierdzenia, który z nich był sprawcą, obydwóch uniewinniono.

A dziewczyna, której facet winny–niewinny przez osiemnaście lat musiał płacić alimenty? Moim osobistym zdaniem, zaniedbano podstawowych elementów śledztwa, za późno było, żeby to nadrobić, facet płacił, a może niesłusznie...?

Wszystkie te sprawy stanowią dla mnie żer, na który rzucam się niczym hiena cmentarna. Skąd mam wiedzieć, co jeszcze mi się przypomni i co ni z tego, ni z owego ukaże mi moja upiorna wyobraźnia w postaci obrazu nie do zwalczenia?

A propos hieny cmentarnej...

W latach czterdziestych zdarzały się historie przedziwne. Pojęcia nie mam, dlaczego i jaką drogą dotarło to do mnie od razu, można powiedzieć w pierwszej chwili. Gdzie ja wtedy byłam, w Bytomiu, we Wrocławiu...? Nie ma znaczenia, dość, że dowiedziałam się o wydarzeniu jako o czymś, co przytrafiło się osobom prawie znajomym. Może nieboszczka zaliczała się do bliskiego grona...? No, nie złodziej chyba...

Było tak:

Facetka jedna umarła i pochowano ją. Pogrzeb się odbył jak należy, trzeciego dnia, na jednym z wrocławskich cmentarzy. Była to kobieta w średnim wieku, osierociła męża i dzieci, żal wielki po niej zapanował. Rodzinę w ogóle miała dość obfitą, po pogrzebie nastąpiła stypa, w mieszkaniu nieboszczki zgromadziło się dość dużo osób i wszyscy byli trzeźwi i smutni.

Stało się to w okresie jesienno–zimowym, ciemności zapadały wczesnie. Na zakończenie uroczystości pogrzebowych czyhała zawodowa hiena cmentarna, normalny złodziej, okradający zwłoki z czego popadło, głównie ze złotych zębów. Tak na marginesie, zastanawiam się, skąd taki facet wiedział, kto ma złote zęby, a kto nie, ale może działał na los szczęścia.

Odczekał ile trzeba, zabrał się do roboty, odkopał grób, otworzył trumnę i przystąpił do delikatnego puk puk młoteczką. Złote zęby nieboszczka miała, aczkolwiek może nie tyle co Pstrowski i różni ludzie radzieccy. Pod wpływem puk puk nagle usiadła w trumnie.

Złodziej nie zastanawiał się długo, tylko od razu zemdłał. Nieboszczka również nie trwała w zamyśleniu, poderwała się i wyskoczyła z grobu, nader oszołomiona i przerażona. Z tego strachu uciekła z cmentarza natychmiast i pośpiesznie, nie bardzo pojmując, co się stało, wyleciała na ulicę, przypuszczam, że było jej zimno, trafiła na tramwaj i do tego tramwaju wsiadła z rozpędu.

Konduktor zażądał pieniędzy za bilet.

— Ja nie mam pieniędzy — powiedziała pokornie osoba z tamtego świata. — Ja, widzi pan, wracam z cmentarza.

— To co z tego? — spytał konduktor. — Jak pani jechała na cmentarz, to pani miała pieniądze, nie?

— Nie. Bo widzi pan, ja leżałam w grobie... Pochowali mnie...

Wariatów boi się każdy, konduktor zamilkł i przestał domagać się opłaty za przejazd. Zmarła kobieta dojechała bez przeszkód do właściwego przystanku, wysiadła i poszła do domu. Zadzwoiła do drzwi mieszkania, otworzył jej mąż, ściśle biorąc wdowiec, i też zemdłał. Zemdlało jeszcze parę osób, ktoś tam jednak okazał się odporny, zadzwoniono wszędzie, po lekarza i po milicję, właściwe ekipy przyjechały.

Okazało się, że wcale nie umarła, tylko była w letargu. Jakoś tam to udowodniono naukowo, nie wdawałam się w te rozważania, lekarz, który stwierdził zgon, był młody i niedoświadczony. Równocześnie gliny podążyły na cmentarz, gdzie złodziej nadal leżał bez przytomności, zgarnęły go, bardzo zadowolone, po czym odbyła się sprawa sądowa.

Na tej sprawie zeznająca nieboszczka bardzo prosiła o łagodny wymiar kary, bo ten złodziej uratował jej życie. Złodziej zaś padł na kolana i w obliczu licznych świadków złożył uroczystą przysięgę, że noga jego nie postanie na żadnym cmentarzu do końca życia i za żadne skarby świata.

Nie jest to żaden mój wymysł, tylko fakt, a kto nie wierzy, niech sobie grzebie w dokumentacji lat czterdziestych na Śląsku. „Przekrój” opublikował kiedyś najmądrzejsze hasło świata: „Nie ma nic bardziej nieprawdopodobnego niż rzeczywistość”.

Bóg jeden raczy wiedzieć, co mi się jeszcze przypomni. Teraz na przykład, rychło w czas, pamięć podsunęła straszne przeżycie z dzieciństwa.

Nie mam pojęcia, co mogłam zrobić, ale doszłam do przekonania, że zgrzeszyłam i zawiniłam ciężko. Miałam wtedy mniej więcej dziesięć lat i, jak już pisałam, byłam dzieckiem czytającym. Postanowiłam ukarać się za przewinienie, a może w ogóle uznałam się za jednostkę godną potępienia, może przy okazji chciałam ćwiczyć silną wolę, w każdym razie złożyłam solenne ślubowanie, że przez cały jeden dzień nic nie przeczytam, ani jednej litery.

Zmiłuj się, Panie, nade mną. Do dziś pamiętam przeraźliwe udręki tej jednej doby. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że osacza nas taka ilość słowa pisanego, gdziekolwiek spojrzalam, widniały przede mną jakieś teksty. Byłam uczciwa, jak ani słowa, to ani słowa, tymczasem waliły się na mnie nawet szyldy sklepowe, świat składał się z gazet, szafa biblioteczna rzucała się w oczy, tytuły książek w niej wręcz wrzeszczały. Ile się umęczyłam, żeby niczego nie przeczytać, ludzkie słowo nie wypowie!

Przetrzymałam ten dzień, ale na moje oko, trwał ze dwa lata. W głębi duszy cieszyłam się bardzo, że nie ślubowałam, na przykład, tygodnia...

Różne osoby podsuwają mi wspomnienia, w pamięci błyskają tysiączne duperele, nieważne kompletnie, ale prawie każdy z tych strzępków nadaje się do wykorzystania i może stanowić źródło inspiracji. Ostrzegam wszystkich, że zamierzam pohamować prawdomówność i nie przyznać się już nigdy i nikomu, co się wydarzyło naprawdę, co wymyśliłam i kto jest prawdziwy.

A chociażby taka heca z Maćkiem. No dobrze, ostatni raz wyjawiam, że chodzi o Maćka, który występuje w *Szajce bez końca* i z którym pracowałam w „Energoprojekcie”. Zlot młodzieży odbywał się wtedy u nas, czy może był to zjazd, gdzieś w okolicy pięćdziesiątego ósmego roku, daty mogą mi się trochę mylić, przyjechało młode pokolenie z całego świata, przeżyłam ciężkie chwile widząc, jak są ubrane dziewczyny w moim wieku, ale nie w tym dzieło. Tańce, hulanki, swawole organizowano gdzie popadło, na placach i ulicach, zespoły kubańskie i brazylijskie stwarzały nastrój karnawału w Rio de Janeiro, sama radość i beztroska.

Maciek znał angielski język, a młodzi byliśmy wtedy, wplątał się w roztańczone tłumy, zaczął podrywać dziewczynę i odruchowo, z rozpedu, odezwał się do niej po angielsku. Dziewczyna była nasza, na dźwięk obcego języka rozkwitła nadprzyrodzonym blaskiem. Maciek, nie w ciemię bity, widząc reakcję rodaczki, wykorzystał to natychmiast i ojczystego języka całkiem zaniechał. Aż do następnego dnia. O poranku, jeszcze nieco zaspany, zapomniał się głupio i wyrwało mu się coś po polsku. Rezultat był taki, że wykantowana heroina gonila go w szlafroku, on zaś uciekał, trzymając buty w ręku.

Dam już spokój przykładom zaniedbań natury prywatnej, bo przypomniała mi się nasza hańba ogólnopństwowa. Mam tu na myśli obelżywe świństwo, noszące nazwę poświadczania podpisu.

Chciałabym bardzo wiedzieć, jak długo jeszcze będziemy znosić tę zniewagę. Z przerażającym uporem nasza administracja domaga się na każdym dokumencie poświadczania podpisu autora, aczkolwiek wszędzie pojawia się paragraf o karalności fałszywego zeznania. Facet zełgał i podał nieprawdziwe informacje, podpisał się w oczach administracji, administracja poświadczyła, łgarstwo wyszło na jaw. Kto, teoretycznie, pójdzie siedzieć albo zapłaci karę? Ten podpisany? A z jakiej racji? Skoro jego podpisu nie uznano, okazał się niewystarczający, skoro potraktowano go jak nieodpowiedzialnego półgłówka, siedzieć powinna ta poświadczająca administracja!

Człowiek dorosły, pełnoletni, samodzielny, nie karany, traktowany jest jak potencjalny przestępca, a przy okazji może także debil, który sam nie wie, co mówi i robi. Celem jego życia jest oszustwo. Tak to wygląda w świetle przepisów, pochodzących z dawnych czasów, których to przepisów najwyraźniej w świecie wielce szanowna administracja nie zamierza zmienić. Może nadal jest to obliczone na zatruwanie życia społeczeństwu, niech przełażą przez te kłody rzucane pod nogi, bo jeszcze by im się we łbach poprzewracało. Każde załatwianie czegokolwiek, każdy drobiazg, każde pismo wystosowane do władz administracyjnych napotyka kretyńską przeszkodę w postaci poświadczania podpisu. Traci się czas i zdrowie, przeżywa się upokorzenie, zebrze się bez mała o dowód istnienia! Jak długo jeszcze...?!

Nie mówię o kwestiach ewidentnie notarialnych, testamenty, sprzedaż nieruchomości, jakieś przesunięcia hipoteczne i tym podobne. Mówię o zwykłych papierach, krążących po rozmaitych biurach i administracjach, też zresztą wynikłych z dawnych przepisów biurokratycznych i potrzebnych jak dziura w moście. Nie dość, że niepotrzebne, to jeszcze człowiek lata i szuka możliwości poświadczania podpisu.

Trochę zgadłam. Otóż istnieje szansa, że jakiś łobuz sfalszuje podpis porządnego człowieka i z tego wynikną karalne komplikacje. Falszerstwo łatwo stwierdzić, istnieje takie coś jak grafologia. Instytucje administracyjne nie mają najmniejszej ochoty dowalać sobie roboty, angażować grafologa, odkręcać sprawy, zwalają zatem wszystko na tego porządnego człowieka, niech on się martwi i stara. Proszę porządnych ludzi, dlaczego, do wszystkich diabłów, pozwalamy sobą pomiatać...?!

Tak na marginesie, w chwili ujawnienia wreszcie bezrobocia znalazłam się w budowli, zajętej wyłącznie przez administrację, na Krakowskim Przedmieściu, gdzie na samej górze mieścił się dział filatelistyczny „Ars Polony”. Szłam po schodach na trzecie piętro i trwało to dość długo, bo chodzenie po schodach nie zalicza się do moich największych przyjemności. Na piętrze pierwszym stał sobie stoliczek i krzeselczka, przy stoliczku i na krzeselczkach zaś siedziały panie urzędniczki i piły kawkę. Dotarłam do owej filatelistyki, załatwiłam sprawę, ściśle mówiąc, zakup katalogów, odczekałam ile trzeba, zamówiłam sobie następne, udałam się do kasy, zapłaciłam, pogawędziłam i zesłam na dół, nieco szybciej niż pod górę, ale też mi w oczach nie migąło. Na pierwszym piętrze nadal siedziały sobie przy kawce te straszliwie zapracowane panie...

W dodatku tymi wszystkimi poświadczeniami zdejmuję się z ludzi poczucie odpowiedzialności. Odpowiedzialność, jako taka, i tak w tym kraju nie egzystuje. Cała działalność wyższych wymiarów sprawiedliwości, rzekomo istniejących, stanowi pić na wodę, bo kto, pytam się grzecznie, poniósł konsekwencje skandalicznych decyzji, które zniszczyły naszą gospodarkę, roztrwoniły pieniądze i zmuszają teraz ministrów do dojenia najniższych warstw społeczeństwa, żeby nikt z elity nie musiał rezygnować z premii? Metoda niweczenia poczucia odpowiedzialności opracowana jest, jak widać, doskonale i nawet, muszę przyznać, napawa otuchą. Coś przecież jednak umiemy zrobić doskonale...

A przykład, prosty i zgoła prymitywny, niech będzie, mogę jeszcze podać.

Syn Heńka i Hanki, Jurek, ten co wymiatał, względnie wyrzekał, na weselu Lilki, zgodnie z naturą podrósł i dobiegł wieku lat czternastu. Akurat byłam tam u nich i Hanka wylała mi na łonie skargi na dziecko. Co za okropny chłopak, nie chce się uczyć, lekcje odrabia wyłącznie pod przymusem, ona go musi pilnować pazurami i zębami, sama sprawdza, co ma zadane, i wisi mu nad głową niczym sęp, bo inaczej podlec nic nie robi i znów dwóję przyniesie. Plan lekcji ma w domu, książki i zeszyty sama pakuje mu do teczki...!

Złapałam Jurka w cztery oczy. Taka znowu pedagogiczna nigdy w życiu nie byłam, ale zaciekało mnie, w czym rzecz.

— Czyś zgłupiał? — spytałam ze zgorzaniem. — Szkoła to jest coś, co trzeba odwalić, i wiesz o tym bardzo dobrze. Dlaczego lekceważysz to sobie tak przeraźliwie?

— Matka pilnuje, to co mnie to obchodzi? — odparł Jurek beztrąsko, ale z cieniem jakby rozgoryczenia. — Jakby mnie zostawiła w spokoju, to bym musiał sam, a tak, to co mam sobie życie zatruwać?

No właśnie. Pilnować człowieka na każdym kroku i jego poczucie odpowiedzialności mamy z głowy.

Kiedy, do pioruna, przyjdzie wreszcie komuś do głowy, że wysokie stanowisko to nie tylko splendor i forsa, ale także odpowiedzialność? Nie ma cięższej niż władza...

Na zakończenie upiekę przy tym ogniu swoją prywatną pieczeń.

Wychodzi nareszcie *Pafnucy*. Opowieści o niedźwiedziu Pafnucym nie miały szczęścia. Zaczęła je wydawać łódzka „Egida”, oprawa, acz efektowna, nie zdała egzaminu, okazała się upiornie droga i do tego spotkała się z krytyką nabywców. Dzieci z zapalem wrywały kartki, które aż się o to wrywanie prosiły, niszczyło się jedno, zanim ktokolwiek zdążył kupić drugie, w rezultacie zrezygnowano z druku, później zaś „Egida” znikła z horyzontu, jeśli nie całkowicie, to w każdym razie w odniesieniu do Pafnucego. Przejął go Polski Dom Wydawniczy i już zaczęło być fajnie, ale zabrakło grafika, a dzieło dla dzieci nie mogło nie zawierać obrazków. Dwa pierwsze opowiadania obrazki miały, ale i tak w Kanadzie wszyscy zgłaszali do mnie pretensje, że jest ich za mało. Dla dzieci powinny być na każdej stronie, niekoniecznie kolorowe, byle były, jest to zachęta i tak dalej. Zgadzam się z poglądem, ale co niby mogłam na to poradzić?

Martwiłam się ogromnie, bo na żadnym utworze nie zależało mi tak jak na *Pafnucym*. Zaczęłam go pisać w charakterze korespondencji do Karoliny, która znajdowała się wtedy w Algierii. Iwona chciała zachęcić dziecko do czytania, domagała się ode mnie stosownego tekstu, w rezultacie zaczęłam wysyłać do nich powieść w odcinkach. Pierwsze zdanie pisałam drukowanymi literami, potem traciłam cierpliwość do tej mordęgi i reszta była na maszynie, czytała na głos Iwona. Wyszło na jaw, że nie wiadomo, która z nich bardziej czeka na dalszy ciąg, matka czy córka. Pisałam zatem dalszy ciąg.

Opowiadań jest siedem i ukrytym tematem wszystkich jest ochrona środowiska. Ochrona lasu. Ochrona dzikich zwierząt i przyrody. Jest to temat, za który dam się zabić i dlatego tak okropnie chciałam, żeby *Pafnucy* poszedł w naród. Poglądy, charakter i osobowość zaczynają się kształtować w dzieciństwie, czym skorupka, czego się Jaś i tak



dalej, chciałam trafić do dzieci, bo z dzieci wyrastają dorośli ludzie. Optymizm pozwala mi żywić nadzieję, że ci dorośli ludzie coś tam z tego *Pafnucego* zapamiętają.

Moja przyjaciółka, Maria, powiadomiła mnie, że pod wpływem lektury drugiego opowiadania, znalazłszy się w lesie, kapsel od piwa schowała do kieszeni. Błogość niebiańska spłynęła na moją duszę i tym bardziej zaparłam się przy publikacji książki. Informacja, że dobrowolnie zrezygnowałam z części honorarium na korzyść formy, jest intymna i nieprzyzwoita, ale prawdziwa i niewątpliwie o czymś świadczy.

Zważywszy, iż jeszcze nie tylko żyję, ale miewam głupie pomysły, Bóg raczy wiedzieć, co może być dalej. O starości nie ma mowy, wiek mieści się w duszy. Kadłub przywiedły, ale dusza młoda. I przejawem tego niekoniecznie musi być namiętność do ogłuszających dźwięków w dyskotecie albo rąbania drzewa. Chociaż i drzewo lubię, i tańczyć chętnie pójdę, jeśli mnie ktoś zaprosi, ale musiałby to być osobnik nieco przechodzony, bo stanowczo wolę tango niż psychodeliczne wygibasy.

Starości zaś, proszę państwa, nie było, nie ma i nie będzie.

Serdeczne pozdrowienia

Joanna Chmielewska